

KIRYL BUŁYCZOW

**DZIKUSY.
BIAŁE SKRZYDŁA
KOPCIUSZKA.**

**TYTUŁ ORYGINAŁU: PIERIEWAŁ, BIELJE KRYLJA ZOLUSZKI
PRZEŁOŻYL TADEUSZ GOSK.**

DZIKUSY.

W domu było wilgotno, meszka krążyła wokół kaganka, który dawno już należało zgasić, ale matka naturalnie zapomniała... Na dworze padało, było mroczno. Oleg niedawno się obudził i teraz po prostu wylegiwał się na pryczy. W nocy stał na warcie i bardzo się zmęczył, odpędzając szakale, które całym stadem pchały się do spichrza, o mało go przy tym nie zagryzły. W ciele czuł pustkę i powszedniość, chociaż spodziewał się raczej zdenerwowania, niepokoju, może strachu. Przecież to na dwoje babka wróżyła — wrócisz czy nie wrócisz. Pięćdziesięcioprocentowa szansa. A pięćdziesiąt — do kwadratu? Do sześcianu?... Powinny być jakieś wzory, tablice, bo tak to człowiek wciąż od nowa wynajduje rower. A propos, ciągle zapominał zapytać Starego, co to jest rower. Paradoks. Rower jeszcze nie został wynaleziony, a Stary ciągle powtarza to zdanie, nie zastanawiając się nad jego sensem.

Z kuchni dobiegł kaszel matki. Okazuje się, że jest w domu. A Oleg myślał, że poszła na grzyby.

— Dlaczego jesteś w domu? — zapytał.

— Obudziłeś się? Chcesz zupy? Właśnie ją odgrzałam.

— A kto poszedł na grzyby?

— Marianna z Dickiem.

— Nikt więcej?

— Może któryś z chłopaków.

Mogliby przecież obudzić, zawołać. Marianna wprawdzie tego nie obiecywała, ale byłoby naturalne, gdyby przynajmniej spróbowała go obudzić.

— Nie chce mi się jeść.

— Za długo spałeś — powiedziała matka. — Jeśli nie przestanie padać, to ogórki do mrozów nie zdążą dojrzeć. Niedługo wszystko zarośnie pleśnią.

Matka weszła do pokoju, rozpędziła dłonią meszkę, zdmuchnęła kaganek. Oleg gapił się w sufit. Żółta plama pleśni powiększyła się, zmieniła kształt. Jeszcze wczoraj przypominało zadartonosy profil Tomasza, a dzisiaj nos spuchł jak od ukąszenia osy, a na czole pojawiło się garbata narośl. Zupełnie niepodobna do Tomasza. Przecież Dicka las nudzi. Po co niby ma zbierać grzybki? Dick jest myśliwym, człowiekiem stepu, sam to ciągle powtarza. Może Marianna go poprosiła?

— Okropnie dużo meszki — powiedziała matka. — Zimno jej w lesie.

— Musisz akurat nad nią się rozczulać?

Dom był przedzielony na pół i w drugiej połowie mieszkał Stary i bliźniaki Durowów. Przygarnął ich, kiedy starsi umarli. Bliźniaki ciągle chorowały, kiedy jeden wyzdrowiał, to drugi zaczynał, i gdyby nie ich nocne piski, Oleg nigdy w życiu nie zgodziłby się na wartowanie w ciemnościach. Teraz znów rozwrzeszczały się chórem, chyba z głodu. Niewyraźny, daleki, powszedni jak szum wiatru monolog Starego urwał się, skrzypnęła ławka. To znaczy, że Stary poszedł do kuchni i zaraz podnieśli krzyk malcy, jego uczniowie.

— I po co ty tam idziesz? — powiedziała matka. — Przecież nie dojdziecie! Dobrze będzie, jeśli w ogóle sami stamtąd wrócicie!

Teraz matka się rozpłacze. Często ostatnio płacze. Prawie co noc. Mruczy coś pod nosem, przewraca się z boku na bok, a potem zaczyna cicho płakać. Można się tego domyślić, bo pociąga nosem. Później zaczyna szeptać jak zaklęcie: „Ja tak dłużej już nie mogę, nie mogę! Wolę umrzeć...” Oleg wtedy nieruchomieje, bo wstyd mu, że nie śpi, że jakby podgląda to, czego widzieć nie powinien. Olegowi wstyd się przyznać, iż żal mu matki, która rozpaczliwie tęskni za tym, co dla niego nie istnieje. Lamentuje na myśl o krajach, których nie można zobaczyć, o ludziach, których nigdy tu nie było. Oleg nie pamięta matki innej niż taką, jaka jest dzisiaj. Chuda, żyłasta kobieta z przetykanymi siwizną włosami, zebranymi w węzeł na karku. Włosy jednak stale wymykają się z tego węzła i spadają ciężkimi pasmami na policzki, więc matka ciągle zdmuchuje

je z twarzy. A twarz ma czerwoną i dziobatą, pod oczami ciemne worki, a same oczy zbyt jasne, jakby wyblakłe. Matka usiadła przy stole i ręce, twarde i pokryte odciskami, położyła przed sobą płaskimi dłońmi do góry. No płacz już, czemu nie płaczesz? A może teraz wyjmie fotografię? Jasne, przysunęła sobie pudełko, otwiera je. Wyjmuje zdjęcie.

Za ścianą Stary namawia bliźniaków do jedzenia. Bliźniaki marudzą. Uczniowie hałasują, pomagają Staremu karmić malców. No, wszystko wygląda jak w zwykły dzień, jak gdyby nic się nie stało. A co oni robią w lesie? Wkrótce południe. Po obiedzie trzeba ruszać. Powinni już dawno wrócić. Bo czy to wiadomo, co człowiekowi może się przytrafić w lesie?

Matka wpatruje się w fotografię. Na fotografii jest ona i ojciec. Oleg tysiące razy oglądał już to zdjęcie i próbował dopatrzeć się swego podobieństwa do ojca. Bez powodzenia. Ojciec ma jasne, kędzierzawe włosy, pełne wargi, wysunięty do przodu rozdwojony podbródek. Uśmiecha się. Zawsze się uśmiechał. Matka mówi, że on zawsze się uśmiechał. Oleg już bardziej podobny jest do matki. Nie do terazniejszej, lecz do tamtej, która stoi na fotografii obok ojca. Czarne proste włosy i blade usta. Szerokie, strome łuki brwi, a pod nimi jasnoniebieskie oczy. I biała cera, bardzo biała cera z silnym rumieńcem. Oleg też bardzo łatwo się czerwieni. I wargi ma wąskie, i czarne włosy, proste jak u matki na fotografii. Ojciec i matka są na tym zdjęciu bardzo młodzi, bardzo weseli i odświętni. Ojciec jest w mundurze, o matka w sukni bez rękawów, która nazywa się sarafan. Wtedy Olega jeszcze na świecie nie było. Dwadzieścia lat temu jeszcze go nie było, a piętnaście lat temu już był.

— Mamo — powiedział Oleg. — Nie trzeba tak, daj spokój.

— Nie puszcę cię — powiedziała matka. — Nie puszcę cię i koniec. Po moim trupie.

— Mamo — powiedział Oleg i usiadł na pryczy. — Nie mówmy już o tym, dobrze? Daj mi lepiej zupy.

— Weź sobie z kuchni — odparła matka. — Zupa jeszcze nie ostygła.

Oczy miała mokre. Jednak płakała, jakby już pochowała Olega. Może zresztą oplakiwała ojca. Ta fotografia była dla niej człowiekiem. A Oleg ojca zupełnie nie pamiętał, mimo że bardzo starał się go sobie przypomnieć.

Wstał i poszedł do kuchni. W kuchni był Stary, który właśnie rozpalał ogień.

— Pomogę — powiedział Oleg. — Trzeba zagotować wodę?

— Tak — odparł Stary. — Dziękuję. Mam przecież lekcję. Przyjdź do mnie później.

* * *

Marianna nazbierała pełen worek grzybów. Poszczęściło się jej. Inna rzecz, że musiała iść daleko, aż do wąwozu. Z Olegiem nigdy by się nie zdecydowała zapuszczać tak daleko, ale przy Dicku czuła się bezpiecznie i spokojnie. Dlatego, że Dick czuł się spokojnie. Wszędzie. Nawet w lesie, chociaż bardziej lubił step. Był myśliwym, urodzonym myśliwym, mimo że przyszedł na świat, zanim powstała ich wioska.

— A ty w lesie czujesz się, jak w domu — powiedział Dick.

Powiedział to głośno. Szedł przodem, nieco z boku. Kurtka, założona futrem na wierzch, leżała na nim jak własna skóra. Sam uszył sobie tę kurtkę. Mało która kobieta ze wsi potrafiłaby tak uszyć odzienie. Marianna z pewnością by nie umiała.

Las był rzadki, poskręcane drzewa niewiele przewyższały człowieka i zaczynały odchyłać wierzchołki na boki, jakby bały się wysunąć z masy sąsiadów. Zimowe wiatry bowiem natychmiast odłamią wystający wierzchołek. Z igieł kapalo. Deszcz był zimny i Mariannie zmarzła ręka, w której niosła worek z grzybami, przelożyła go więc do drugiej ręki. Grzyby poruszyły się w worku, zaskrzypiały. Bolała dłoń. Skaleczyła ją, kiedy wykopywała grzyby na skraju wąwozu.

Dick od razu wyjął jej drzazgę, żeby nie było zakażenia. Nie wiadomo, co to była za igielka. A Marianna lyknęła jeszcze trochę gorzkiej odtrutki z buteleczki, którą zawsze nosiła na szyi.

Koło białych, grubych — i śliskich korzeni sosny Marianna zauważyła fioletową plamkę.

— Poczekaj, Dick — powiedziała. — Tam jest kwiatek, jakiego jeszcze nie widziałam.

— Może obejdiesz się bez kwiatków? — zapytał Dick. — Czas do domu. Coś mi się tutaj nie podoba.

Dick miał niezwyklego nosa, jeśli chodzi o rozmaite niebezpieczeństwo. Zawsze należało go słuchać.

— Chwileczkę — powiedziała Marianna i podbiegła do pnia.

Gąbczasta, miękka, błękitnawa kora sosny lekko pulsowała, ssąc wodę, a korzenie podrygiwały, przesuwały się z miejsca na miejsce i wypuszczały nibynóżki, aby nie uronić nawet kropli deszczu. Między nimi rósł kwiatek. Zwyczajny kwiatek, fiołek. Tylko o wiele ciemniejszy i większy od tych, które rosły koło wioski. I ze znacznie dłuższymi kolcami. Marianna gwałtownym ruchem wyszarpnęła fiołek z ziemi, żeby kwiatek nie zdążył zaczepić się korzeniem o sosnę i po chwili fiołek był już w worku i grzybami, które zaczęły się tak głośno roić, że dziewczyna aż się roześmiała. I dlatego nie od razu usłyszała krzyk Dicka:

— Padnij!

A jednak podświadomie zareagowała na ten okrzyk, skoczyła do przodu, padła na ziemię, wtuliła się w ciepłe, pulsujące korzenie sosny. Zbyt późno niestety. Twarz jej płonęła, jakby ją kto oblał wrzątkiem.

— Oczy! — krzyczał Dick. — Czy oczy masz w porządku?

Szarpnął Mariannę za ramiona, posadził, oderwał od korzeni jej zdrętwiałe z bólu palce.

— Nie otwieraj oczu! — rozkazał i szybko zaczął wyciągać z twarzy malutkie, cienkie igielki. Powtarzał przy tym gniewnie.

— Idiotko, przecież ciebie nie wolno puszczać do lasu! Trzeba słuchać, jak się do ciebie mówi. Boli, co?

— Boli.

Nieoczekiwanie rzucił się na nią i powalił na korzenie.

— Boli!

— Jeszcze jeden przeleciał — powiedział Dick wstając. — Potem zobaczysz. Rozbił się na moich plecach.

Następne dwie kule przeleciały o jakieś trzy metry od nich. Sprężyste, splecione z igielkowatych nasion, ale lekkie jak powietrze, bo puste w środku, będą latać, dopóki się uderzą przypadkiem w drzewo lub dopóki poryw wiatru nie rzuci Ich na skałę. Milion tych baloniastych kul zginie na próżno, ale jedna znajdzie swojego niedźwiedzia, naszpikuje igielkami jego ciepłe cielsko i wyrośnie nowymi pędami. Te kule są bardzo niebezpieczne i w sezonie ich dojrzewania trzeba w lesie zachowywać wielką ostrożność, żeby potem przez całe życie nie nosić śladów na twarzy.

— Dużo jest ranek? — zapytała Marianna cicho.

— Nie bój się, i tak będziesz ładna — powiedział Dick. — Teraz trzeba jak najszybciej wracać do domu, posmarować tłuszczem, bo inaczej opuchniesz.

— Tak, masz rację. — Marianna przesunęła dłonią po twarzy, Dick to zauważył i odtrącił rękę.

— Zwariowałaś? Zbierałaś grzyby, zerwałaś kwiatek Chcesz zakazić ranki?

Grzyby tymczasem wygramoliły się z worka, rozpełzły między korzeniami, a niektóre zdążyły nawet do połowy zagrzebać się w ziemi. Dick pomógł Mariannie je pozbierać, bo nie chciała wracać do domu bez grzybów. Fiołka nie znaleźli. Potem Dick oddał Mariannie worek, bo nie chciał mieć zajętych rąk. W lesie o życiu decydują sekundy, więc ręce myśliwego muszą być

wolne.

— Spójrz — powiedziała Marianna, biorąc worek. Jej chłodna, twarda dłoń z połamanymi paznokciami zatrzymała się przez moment na jego ręce. — Bardzo jestem oszpecona?

— Nie bądź śmieszna — powiedział Dick. — Wszyscy mają kropki na twarzy. Ja też. I co, jestem oszpecony? To tatuaż naszych czasów.

— Tatuaż?

— Zapomniałaś? Stary uczył nas na historii, że dzikie plemiona umyślnie się tak ozdabiały. Z radości. Nie potrafisz tego zrozumieć, bo zawsze gapiałaś się w okno.

— Ale to były dzikusy — powiedziała Marianna. — A mnie boli.

— My też jesteśmy dzikusami.

Dick już wysunął się do przodu i szedł nie odwracając głowy. Marianna jednak wiedziała, że chłopak wszystko słyszy. Ma słuch myśliwego. Marianna przeskoczyła przez szary pęd drapieżnej liany.

Potem tak będzie swędziało, że nie potrafisz usnąć. Najważniejsze, żeby nie drapać, wtedy nie będzie żadnych śladów. Ale wszyscy rozdrapują.

— Ja nie będę — powiedziała Marianna.

— We śnie zapomnisz się i rozdrapiesz.

Deszcz rozpadał się na dobre. Włosy dosłownie przykleiły się do głowy, a z rzęs skapywały grube krople. Przeszkadzały w widzeniu, ale mile chłodziły rozpalone policzki. Marianna pomyślała, że Dicka należałoby ostrzyć, bo przeszkadzają mu opadające na ramiona włosy. To niedobrze, że mieszka sam. Wszyscy mieszkają razem, a on sam. Żyje tak od czasu, kiedy umarł jego ojciec. Już się do tego przyzwyczał.

— Czujesz coś? — zapytała, spostrzegając, że Dick rusza szybszym krokiem.

— Tak — odpowiedział — Zwierzęta. Pewnie szakale. Całe stado.

Zaczęli biec, ale w lesie trudno jest biec szybko. Ci, którzy biegną na oślep, stają się posiłkiem liany lub dębu. Grzyby wierciły się w worku, ale Marianna nie chciała ich wyrzucać. Już wkrótce będzie poręba a potem wioska. Przy ogrodzeniu zawsze ktoś dyżuruje. Zobaczyła, że Dick wy dobył zza pasa nóż i wygodniej uchwycił kuszę. Ona również wyciągnęła nóż zza pasa, ale jej nóż był wąski i cienki, dobry do wycinania lian albo wykopywania grzybów. Kiedy jednak dopędza człowieka stado szakali, wtedy nóż nic nie pomoże, lepiej uzbroić się w jakiś kij.

Bieгли już ścieżką, a szakale rzadko podchodziły tak blisko do wioski, ale rano Tomasz, wypuszczając ich na grzyby, powiedział, że nocą szakale chciały wdrzeć się do spichrza i że Oleg z trudem je odpedził.

* * *

Oleg dojadł zupę i odstawił garnek z gęstym wysoko na półkę, żeby nie dobrały się do niego szczury. Uczniowie głośno zatupali bosymi nogami na glinianej polepie i przez strzelnicę w ścianie. Oleg widział, jak wypadali z drzwi i wskakiwali do ogromnej kałuży, która zebrała się w ostatnich dniach przed progim. Woda bryzgała na wszystkie strony. Potem któryś z nich krzyknął „Robaki!” Cała grupa zaczęła łowić robaka, a jego różowy ogon wysunął się z wody i bił dzieciarnię po nogach. Ruda Ruth, córka Tomasza, rozwrzeszczała się, bo widocznie stworzenie trafiło ją parzącą przyssawką, a jej matka wyskoczyła z domu naprzeciwko i krzyknęła.

— Powariowaliście, czy co? Kto tak wchodzi do wody! Przecież możecie potracić ręce i nogi! Masz do domu!

Uczniowie jednak postanowili za wszelką cenę wyciągnąć robaka z kałuży, a Oleg wiedział dlaczego. Robak wydobyty i wody od razu zmienia kolor, robi się to czerwony, to niebieski, co jest

ogromnie interesujące, ale interesujące tylko dla nas, tutejszych, nie zaś dla matek, które panicznie boją się tych właściwie zupełnie nieszkodliwych i tchórzliwych stworzeń.

Linda, żona Tomasza, stała na brzegu kałuży i wołała córkę, a Oleg, uprzedzając pytanie matki, powiedział.

— Zaraz przyjdę.

Tymczasem wyszedł na ulicę i popatrzył w jej koniec, w stronę bramy w ogrodzeniu, przy której stoi Tomasz z kuszą w ręku. W pozie Tomasza wyczuwało się napięcie. Niedobrze jest, pomyślał Oleg. Niedobrze, wiedziałem o tym. Dick zaprowadził ją gdzieś daleko i tam coś się stało. Dick nie zastanawia się nad tym, że Marianna jest zupełnie inna niż on, że jest jeszcze małą dziewczynką, którą trzeba się opiekować.

Dzieciarnia wyciągała robaka, który stał się już niemal czarny i zupełnie nie mógł pogodzić się z niewolą. Ruda Ruth też została wzięta do niewoli i zaciągnięta przez matkę do domu. Oleg pobiegł w stronę ogrodzenia i już w biegu pomyślał, że nie zabrał ze sobą kuszy, więc nie będzie tam z niego żadnego pożytku.

— Co się dzieje? — zapytał Tomasza.

— Wygląda na to, że szakale znów się włóczą. Całe stado — odpowiedział Tomasz nie odwracając głowy.

— Te same, co w nocy?

— Nie wiem. Dawniej szakale za dnia nie chodziły. A ty czekasz na Mariannę?

— Tak. Poszła z Dickiem na grzyby.

Wiem, sam ich wypuszczałem. Ale nie denerwuj się z Dickiem nic się jej nie powinno przytrafić. To urodzony myśliwy.

Oleg skinął głową. W tych słowach kryła się obraza, chociaż Tomasz wcale nie chciał obrazić Olega. Po prostu było tak, że z Dickiem można się czuć bezpieczniej. Dick jest myśliwym, a Oleg trochę mniej. Jak gdyby bycie myśliwym, to największe osiągnięcie dostępne człowiekowi.

— Ja wszystko rozumiem — uśmiechnął się nagle Tomasz. Opuścił kuszę i oparł się o słup ogrodzenia. — To jednak jest kwestia priorytetu. W niewielkiej społeczności, na przykład w plemienu podobnym do naszego, zdolności powiedzmy matematyczne są nieco mniej warte od umiejętności zabicia niedźwiedzia. Może to niesprawiedliwe, ale wytłumaczalne.

Tomasz uśmiechał się bardzo sympatycznie, jego cienkie i długie wargi wyginały się tak, jakby nie mogły zmieścić się w twarzy, twarz miał bardzo ciemną, porytą głębokimi zmarszczkami, a oczy jeszcze ciemniejsze niż twarz. I żółte białka. Tomasz miał chorą wątrobę i całkiem od tego wyłysiał. Poza tym miał słabe płuca i często kasłał. Ale mimo wszystko Tomasz był bardzo wytrzymały i najlepiej znał drogę do przełęczy.

Tomasz podrzucił kuszę do ramienia i nie celując wypuścił strzałę. Oleg spojrzał, dokąd z cienkim gwizdem pomknęła strzała. Szakal nie zdążył odskoczyć. Wpadł z zarośli, jak gdyby krzaki dotychczas utrzymywały go w powietrzu, o teraz puściły. Zwalił się na trawę, drgnął i znieruchomiał.

— Mistrzowski strzał — powiedział Oleg.

— Dziękuję. Warto byłoby go zaraz stamtąd zabrać. Zanim wrony się nie zleciały.

— Przyniosę go — powiedział Oleg.

— Nie — odparł Tomasz. — On tam nie był sam. Lepiej biegnij po swoją kuszę. Kiedy dzieciaki będą wracać, będą musiały przedzierać się przez stado. Ile ich tam jest?

— W nocy naliczyłem sześć sztuk — powiedział Oleg. Czarna paszczęka szakala była rozdziawiona, biała sierść sterczała wokół niej jak długie igły.

Oleg odwrócił się i ruszył po kuszę i w tym samym momencie zatrzymał go gwizd Tomasza. Głośny, słyszalny w każdym zakątku wioski. Wszyscy na pomoc!

Biec z powrotem? Nie, lepiej po kuszę! To nie zajmie nawet minuty.

— Co tam się stało? — zapytała matka, stojąca w drzwiach. Odepchnął ją, zerwał ze ściany kuszę, omal nie łamiąc haka. Gdzie są strzały? Pod stołem? A może bliźniaki je zwędziły?

— Strzały są za kuchnią — powiedziała matka. — Co się stało? Coś z Marianną? Stary wybiegł z dzidą. Nie umiał strzelać z kuszy, a zresztą jak to robić jedną ręką? Oleg wyprzedził Starego i wyciągnął strzałę z kołczanu, chociaż w biegu nie powinno się tego robić. Cała dzieciarnia wioski pędziła w stronę ogrodzenia.

— Wracajcie! — krzyknął Oleg groźnym głosem, ale naturalnie żadne go nie usłuchało.

Obok Tomasza był już Siergiejew z wielkim łukiem w rękach. Mężczyźni stali nieruchomo i wsłuchiwali się w odgłosy dobiegające z zarośli. Siergiejew uniósł rękę bez dwóch palców, rozkazując w ten sposób tym, którzy dobiegali do bramy, znieruchomieć.

I wtedy z szarej, równej ściany lasu dobiegi krzyk człowieka. Krzyk był daleki i krótki, a gdy zamilkł, nastąpiła głęboka cisza, gdyż nikt w wiosce nie odważył się teraz nawet głośniejsze odetchnąć. Zamilkły nawet niemowlęta w kołyskach. Oleg wyobraził sobie, nie, nawet zobaczył, jak tam, za ścianą deszczu i białawych pni, przyciśnięta plecami do ciepłej i palącej kory sosny stoi Marianna. A Dick, klęcząc na jednym kolanie, usiłuje ręką rozdarta zębami szakala ująć silniej dzidę.

— Stary! — krzyknął Tomasz. — Borys! Zostaniesz przy ogrodzeniu. Oleg, biegnij za nami!

Pod lasem dopędziła ich ciocia Luiza ze swoim słynnym tasakiem, którym w tym roku odegnała niedźwiedzia. W drugiej ręce niosła płonąca głównię. Ciocia Luiza była wielką, grubą i straszliwą kobietą krótkie siwe kosmyki sterczały jej na wszystkie strony, a workowata peleryna nadęła się jak balon. Nawet drzewa lekko wciągały korzenie i skręcały liście, gdyż ciocia Luiza wyglądała jak Bogini Zemsty, jak zły duch, który zimą ryczy wyje w Wąwozie. I kiedy ciocia Luiza potknęła się o drapieżną lianę, ta, zamiast schwytać ofiarę swoimi mackami, odskoczyła w kierunku pnia i ukryła się za nim, jak tchórzliwa żmija.

Tomasz zatrzymał się tak gwałtownie, że Siergiejew o mało na niego nie wpadł, a potem włożył dwa palce do ust i gwizdnął. Nikt z wioski nie potrafił gwizdać tak ogłuszająco.

Kiedy gwizd umilkł, Oleg zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo las się przycisnął, jak zląkł się tupotu ludzkich nóg, ludzkiego strachu i ludzkiego gniewu. Słychać było tylko, jak ciężko dyszy gruba ciocia Luiza.

— Tutaj! — krzyknęła Marianna. Głos jej rozległ się zupełnie blisko. Dziewczyna nawet nie krzyknęła, tylko zawołała, jak woła się kogoś z drugiego końca wioski. A potem, kiedy znów ruszyli biegiem, Oleg usłyszał głos Dicka, a właściwie ryk, przypominający ryk dzikiego zwierza, i wściekle, głuche ujadanie szakala.

Oleg odskoczył w bok, żeby wyprzedzić ciocię Luizę, ale wyrosły przed nim plecy Siergiejewa, który nawet nie zdążył się ubrać i biegł w samej tylko koszuli i skórzanych spodniach, bez kurtki.

Marianna, zupełnie jak w widzeniu Olega, stała z plecami wciśniętymi w miękki biały pień starej grubej sosny, który zapadł się do środka, jakby ją chciał osłonić. Ale Dick nie klęczał, Dick opędzał się nożem od wielkiego siwego szakala, który wił się jak wąż, aby umknąć ciosu, ale stale atakował. Jeszcze jeden szakal leżał opodal na ziemi ze strzałą w boku. I co najmniej pięć sztuk siedziało sobie dalej rzędkiem, jak widzowie. Szakale mają taki dziwny zwyczaj. Nie napadają hurmem, tylko czekają. Jeśli pierwszy nie da sobie rady z ofiarą, wtedy do roboty bierze się następny. I robią tak aż do skutku. Nie żałują sobie nawzajem. Po prostu tego nie rozumieją. Siergiejew, kiedy zrobił sekcję jednego szakala, nawet mózgu w nim nie znalazł.

Szakale-widzowie jak na komendę zwróciły pyski ku ludziom, którzy wtargnęli na polanę. Olegowi wydało się nagle, że czerwone punkciki szakalich oczu patrzą na niego z potępieniem. Bo czyż można napadać całym tłumem? Przecież tak się nie robi!

Szakal, który wciąż usiłował wyrwać Dickowi nóż, nagle zwałił się na bok. Z długiej szyi sterczała mu strzała. Okazuje się, że Tomasz zdążył wystrzelić, kiedy Oleg przyglądał się scenie walki na polanie. W ciągu tej sekundy, kiedy Oleg patrzył i próbował zorientować się w sytuacji... A Dick, jakby tylko na to czekał, natychmiast obrócił się w stronę pozostałych szakali i rzucił się na nie z dzidą. Przy nim byli już Siergiejew i ciocia Luiza z tasakiem i głownią. I zanim szakale pojęły, że pora im uciekać, dwa z nich wyzionęły ducha, a pozostałe zwinęły się w pierścienie, płaskimi, łuskowatymi ogonami przykryły nagie ciemiona i potoczyły się w gąszcz. Nikt za nimi nie pobiegł. A Oleg podszedł do Marianny.

— Nic ci się nie stało?

Marianna płakała. Tuliła do piersi ruszający się worek z grzybami i gorzko płakała.

— No, powiedz, powiedz!

— Nasiona mnie pożałdliły płakała Marianna. — Teraz będę dziobata.

— Szkoda, że tak szybko przybiegliście — powiedział Dick, wycierając krew z policzka. — Dopiero zaczynałem się rozgrzewać.

— Nie gadaj głupstw! — warknęła ciocia Luiza.

— Trzeci albo czwarty dałby ci radę — powiedział Siergiejew.

* * *

W drodze do wioski Dicka zaczęła trząść febra, bo ukąszenie szakala nikomu jeszcze nie wyszło na zdrowie. Wszyscy od razu poszli do domu Veitkusa. Veitkus był chory i leżał, a jego żona Aggie wydobyla z apteczki — skrzynki stojącej w rogu pokoju — okłady przeciwbólowe i nalewkę przeciwko jadowi szakala, potem przemyła Dickowi ranę i kazała mu położyć się spać. Marianna chciała go odprowadzić, ale Dick jej na to nie pozwolił. Za godzinę lub dwie gorączka spadnie, a Dick nie lubił, żeby go ktoś oglądał, kiedy jest obolały lub chory.

Aggie postawiła na stole miskę z cukrem, pędzonym z kłaczy bagiennej osoki. Tylko ona i Marianna wiedziały, jak odróżnić słodką osokę od zwyczajnej. No i malcy, którzy potrafią wyczuć, która trawa jest słodka, o której nie wolno nawet dotknąć. Potem Aggie nalala do kubków wrzątku i każdy sam nabierał sobie łyżką gęsty i szary syrop. U Veitkusów odbywa się bez ceremonii. Do nich wszyscy lubią chodzić.

— To nic groźnego? — zapytał Tomasz gospodynię, jakby już trzy razy nie pytał o to samo.

— Na nim wszystko goi się jak na psie — odpowiedziała Aggie.

— A jednak masz wątpliwości? — zapytał Siergiejew.

— Nie mam żadnych — odparł Tomasz. — Bo nie mamy innego wyjścia. Proponujesz czekać jeszcze trzy lata? Do tego czasu wszyscy wymrzemy z wycieńczenia i biedy.

— Nie wymrzemy — odezwał się z pryczy Veitkus. Broda i szopa włosów na głowie zasłaniały całą twarz. Widać było jedynie czerwony nos i jasne plamy oczu. Nie wiadomo skąd wydobywał się cienki, piskliwy głos. — Po prostu ostatecznie zdziczujemy.

— To na jedno wychodzi — powiedział Tomasz. — Żeby tak dostał w swoje ręce tego łgarza Daniela Defoe!

Veitkus roześmiał się chrapliwie.

Oleg już nieraz słyszał takie rozmowy. Teraz to już przecież pusta gadanina. Postanowił pójść do spichlerza, gdzie Stary z uczniami ściągał skóry z zabitych szakali i porozmawiać ze Starym. Po prostu pogadać. Potem jednak spojrzął na miskę z syropem i zaczerpnął niepełną łyżkę. Wprawdzie swoją część zjadł w domu z matką już w zaprzeszłym tygodniu, ale tutaj też nie przyszedł się obżerać.

— Pij, Maryniu — powiedziała Aggie. — Zmęczyłaś się i musisz się pokrzepić.

— Dziękuję — odparła Marianna. — Pójdę namoczyć grzyby, bo mi usną.

Oleg przyglądał się Mariannie, jakby ją po raz pierwszy w życiu zobaczył. Tak się zagapił, że nawet zapomniał podnieść łyżkę do ust. Marianna miała wargi jak narysowane, wyraźnie zakreślone, nieco ciemniejsze na brzegach, cudowne wargi, jakich nie miał nikt w całej wiosce. Chociaż Marianna była trochę podobna do Siergiejew. Troszeczkę. Była pewnie podobna również do matki, ale jej matki Oleg nie pamiętał. A może do swojego dziadka? Genetyka to zupełnie zdumiewająca rzecz. Stary w inspektach wykopanych za spichlerzem, w którym gospodarzyła Marianna, przeprowadził dla uczniów doświadczenie Mendla z grochem. No, nie z grochem, tylko z tutejszą soczewicą. Wszystko się zgadzało, ale z pewnymi poprawkami. To zrozumiałe inne garnitury chromosomów Marianna ma trójkątną twarz, kości policzkowe i czoło szerokie, a podbródek ostry, tak że oczy miały na twarzy bardzo dużo miejsca i całą ją zajęły. I bardzo długa szyję z różową blizną z boku, jeszcze z dzieciństwa Marianna przywykła do niej, a rozpacza z powodu nasionek. Czy to nie wszystko jedno, czy ktoś ma kropki na twarzy, czy ich nie ma? Wszyscy je mają. A zamiast koralików Marianna nosi na szyi, tak samo jak wszystkie pozostałe kobiety i dziewczęta z wioski, sznurek z drewnianą buteleczką odtrutki. Mężczyźni noszą odtrutkę w kieszeni.

— Wyobraź sobie, że wyprawa zakończy się tragicznie — powiedział Siergiejew.

— Nie mam na to ochoty, skoro mam w niej uczestniczyć — odparł Tomasz.

Veitkus znów się roześmiał i coś zabulgotało po środku jego brody.

— Chłopcy, Dick i Oleg to nadzieja naszego osiedla jego przyszłość. Ty zaś jesteś jednym z czterech ostatnich mężczyzn.

— Dodajcie do tego rachunku mnie powiedziała basem Luiza i zaczęła hałaśliwie dmuchać w kubek, żeby ostudzić wodę.

— Nie przekonasz mnie powiedział Tomasz — Ale jeśli tak bardzo się boisz, zostawmy Mariannę na miejscu.

— To prawda, że lękam się o córkę. Ale teraz rozmawiamy o sprawach bardziej zasadniczych.

— Pójdę jednak namoczyć grzyby — powiedziała Marianna i zwinnie wstała z miejsca.

— Skóra i kości — powiedziała ciocia Luiza patrząc na nią. — Dosłownie skóra i kości.

Przechodząc obok ojca, Marianna musnęła jego ramię koniuszkiem palców Siergiejew uniósł trójpalczastą dłoń, aby pogłodzić rękę córki, ale Marianna wyśliznęła się i ruszyła ku drzwiom. Drzwi otworzyły się, wpuszczając do wnętrza miarowy szum deszczu i głośno się zatrzasnęły. Oleg o mało nie pobiegł za Marianną, ale zdołał się powstrzymać, bo to jakoś nie wypadało.

Z drugiego pokoju wyszedł, chwiejąc się na nóżkach, jeden z synów Veitkusa. Miał może ze dwa lata Oleg nie bardzo znał się na wieku dzieci i dlatego stale się mylił. Pierwszy urodził się poprzedniej wiosny, a drugi niedawno, kiedy spadł śnieg, znaczy ma półtora roku. A w ogóle Veitkusowie mają sześcioro dzieci. Rekord światowy.

— Cukru — powiedziało gniewnie dziecko.

— Ja ci dam cukru! — oburzyła się Aggie — A zęby kogo boją? Mnie? A boso kto chodzi? Ja? Wzięła chłopczyka na ręce i wyniosła z pokoju.

Oleg zauważył, że jego ręka sama znów zaczerpnęła syropu z miski. Rozzłościł się na siebie i wylał syrop z powrotem. Pustą łyżkę wsunął do ust i oblizął.

— Daj, to ci należą jeszcze trochę wrzątku — powiedziała ciocia Luiza. — Aż żal patrzeć na te nasze dzieciaki, bo zawsze są jakieś niedożywione.

— Teraz to jeszcze nic — odezwała się Aggie, wracając do gości. Zza przymkniętych drzwi drugiego pokoju rozlegał się basowy ryk Veitkuso juniora — Teraz grzyby się pokazały. I witaminy też są. Gorzej z tłuszczami...

— Zaraz sobie pójdziemy uspokoiła ją ciotka Luiza — Jesteś blada jak śmierć.

— Przecież wiesz dlaczego — powiedziała Aggie i spróbowała się uśmiechnąć, ale skrzywiło się tylko w bolesnym grymasie.

Aggie przed miesiącem urodziła martwe dziecko, dziewczynkę. Stary powiedział, że w tym wieku już nie powinna rodzić. Tym bardziej, że ma bardzo wycieńczony organizm. Ale dla niej obowiązek jest rzeczą najważniejszą. Ród musi trwać. Rozumiesz? Oleg rozumiał, chociaż nie lubił rozmów na ten temat, bo o takich rzeczach właściwie nie powinno się mówić.

— Dziękuję za poczęstunek — powiedziała ciocia Luiza.

— Zupełnie nie rozumiem, jak ci się udało utyc — rzucił Tomasz patrząc, jak ogromne ciało ciotki Luizy toczy się ku drzwiom.

— Nie utylałam, tylko spuchłam — odparła Luiza nie odwracając głowy. W drzwiach zatrzymała się i powiedziała do Olega. — Przez to całe zamieszanie zapomniałeś wpaść do Krystyny. Czekają tam na ciebie. To nieładnie.

Jasne, że nieładnie! Powinien zajrzeć tam już godzinę temu.

Oleg poderwał się z miejsca.

— Już idę.

— No dobra, ja tylko tak, dla dyscypliny — mruknęła ciotka Luiza. — Sama tam zajrzę. Nakarmię swoje sieroty i wpadnę.

— Nie trzeba.

Oleg wyskoczył na ulicę tuż za ciocią Luizą. I w tej samej chwili przypomniał sobie, że zapomniał podziękować Aggie za wrzątek z syropem. Nie odważył się jednak wrócić.

Poszli razem. Nie musieli iść daleko. Całą wioskę można obieć w ciągu dwóch minut. Naokoło, wzdłuż ogrodzenia.

Domy pod stromymi, jednospadowymi dachami stały ciasno obok siebie w dwóch rzędkach po bokach prostej dróżki, od bramy w ogrodzeniu do wspólnej szopy i spichlerza. Kryte płaskimi, różowawymi, długimi liśćmi tulipanów wodnych dachy błyszczały w deszczu, odbijając niezmiernie szare, niezmiernie mgliste niebo. Cztery domy po jednej stronie, sześć domów po drugiej. Inna rzecz, iż dwa domy stały pustką od czasu zeszłorocznej epidemii.

Dom Krystyny był przedostatni. Za nim stał tylko dom Dicka. Ciocia Luiza mieszkała naprzeciwko.

— Nie boisz się iść na wyprawę? — zapytało ciocia Luiza.

— Trzeba — powiedział Oleg.

— Odpowiedź godna mężczyzny. — Ciocia Luiza uśmiechnęła się nie wiedząc czemu.

— A Siergiejew Marianny nie puści? — zapytał Oleg.

— Pójdzie twoja Marianna, pójdzie.

— Nic się nam nie stanie — powiedział Oleg. — Czworo ludzi. Wszyscy uzbrojeni. Nic pierwszy raz w lesie.

— W lesie rzeczywiście nie pierwszy raz zgodziła się Luiza. Ale w górach jest zupełnie inaczej.

Zatrzymali się między domami Krystyny i Luizy. Drzwi u Luizy były uchylone. W szparze błyszczały oczy Kazik przybrany syn, czekał na ciotkę.

W górach jest strasznie — powiedziała Luiza. — Zapamiętałam na całe życie, jak wędrowaliśmy przez góry. Ludzie zamarzali dosłownie w oczach. Prawie co rano nie mogliśmy się kogoś dobudzić.

Teraz mamy lato — powiedział Oleg. — Nie ma śniegu.

— To tylko legenda i pobożne życzenia. W górach śnieg leży zawsze.

— Jeśli nie będzie można przejść, to wrócimy.

— Wracajcie. Lepiej wracajcie.

Luiza skrzywiła się do swoich drzwi. Kazik zapiszczał z radości. Oleg pchnął drzwi domu Krystyny.

U Krystyny było duszno, cuchnęło czymś kwaśnym, pleśń pokryła już całe ściany niczym tapeta i chociaż była jaskrawa, żółta i pomarańczowa, w pokoju nie było przez to jaśniej. I kaganek się nie palił.

— Cześć powiedział Oleg, przytrzymując drzwi, żeby zorientować się, co dzieje się w ciemnym pokoju. — Nie śpicie?

— Och — odpowiedziała Krystyna — Przyszedłeś jednak, a już myślałam, że nie przyjdiesz. Sądziłam, że zapomnisz. Jeśli wybierasz się w góry, to po co macie o mnie pamiętać.

— Oleg, nie słuchaj jej powiedziała cicho, bardzo cicho, niemal szeptem Liza — Ona warczy. Na mnie też warczy. Od rana do nocy. Mam tego dość.

Oleg wymacał stół, przesunął po nim rękoma, żeby znaleźć kaganek, wyjął z torebki przy pasie hubkę i krzesiwo.

— Czemu siedzicie bez światła? — zapytał.

— Olej w kaganku się skończył — powiedziała Liza A gdzie jest butelka?

— Nie mamy oleju — powiedziała Krystyna — Komu Potrzebne są dwie bezradne kobiety? Kto przyniesie nam trochę oleju?

— Olej jest na półce, po twojej prawej ręce powiedziała Liza. — Kiedy wyruszacie?

— Po obiedzie — odparł Oleg. Jak ty się czujesz? Piersi cię nie boją?

— Już całkiem dobrze. Tylko jestem bardzo słaba.

— Aggie powiedziała, że za jakieś trzy dni będziesz mogła wstać. A może przenieść cię do Luizy?

— Nie zostawię mamy samej.

Krystyna nie była jej matką, ale już od bardzo dawna opiekowała się nią. Kiedy budowano wioskę, Liza nie miała jeszcze roku, była zupełnie malutka. Jej matka zamarła na przełęczu, a może zginęła pod lawiną — Oleg dokładnie nie pamiętał, jaka była przyczyna jej śmierci. A ojciec zginął jeszcze wcześniej. Krystyna niosła Lizę przez całą drogę, przez wiele, wiele dni. Była wtedy silna i odważna, i miała jeszcze oczy. W ten sposób zostały ze sobą. Potem Krystyna oślepla. Od igielkowatych nasion pasożytującej rośliny, bo ludzie nie wiedzieli jeszcze, co trzeba robić. Więc oślepla. Rzadko wychodzi z domu, tylko latem. I wyłącznie wtedy, kiedy nie pada deszcz. Wszyscy już przyzwyczaili się do deszczu, nie zauważają go. A ona nie potrafiła przywyknąć. Kiedy pada, to za nic nie wyjdzie na dwór. A kiedy jest sucho, to czasami wyjdzie za próg, usiądzie na stopniu i siedzi, o jeśli ktoś przechodzi, rozpoznaje go po krokach i zaczyna mu się skarżyć. Stary mówi, że Krystyna jest trochę nienormalna. Że dawniej była astronomem, bardzo wybitnym astronomem. Liza powiedziała kiedyś Olegowi: „Wyobraź sobie tragedię człowieka, który przez całe życie patrzył w gwiazdy, a potem trafił do lasu, w którym w ogóle nie ma gwiazd. A w dodatku całkiem oślepl. Nie potrafisz tego zrozumieć”.

— Oczywiście — powiedziała Krystyna przenieście ją do kogoś. Po co ma tu ze mną zdychać?

Oleg odszukał na półce butelkę z olejem, nalał do kaganka i zapalił go. Od razu zrobiło się widno. Światło padło na szeroką pryczę, na której pod skórą leżały obok siebie Krystyna i Liza. Oleg zawsze zdumiewał się, że są tak do siebie podobne. Gdyby nie wiedział, za nic by nie uwierzył, że nie są nawet ze sobą spokrewnione. Obie blade, i żółtymi włosami, szerokimi, płaskimi twarzami i miękkimi wargami. Liza miała zielone oczy, a Krystyna miała oczy zamknięte. Ale podobno kiedyś też miała zielone.

— Ojeju starczy wam jeszcze na tydzień — powiedział Oleg — Potem Stary przyniesie. Nie oszczędzajcie, bo nie ma sensu siedzieć po ciemku.

— Szkoda, że zachorowałam odezwała się cicho Liza. — Chciałam iść z tobą.

— Następnym razem pójdiesz.

— Za trzy lata?

- Za rok.
- Za tutejszy rok, to znaczy za trzy lata. A ja mam słabe płuca.
- Do zimy jeszcze daleko, wyzdrowiejesz.

Oleg rozumiał, że mówił zupełnie co innego niż to, czego spodziewała się ta dziewczyna o białej, szerokiej twarzy. Kiedy mówiła o przełęczy, o wyprawie, myślała tylko o tym, żeby Oleg zawsze był przy niej, bo jest zupełnie sama na świecie, bo się tego świata bardzo boi... Dlatego Oleg starał się być dla niej uprzejmy, co nie zawsze mu się udawało, gdyż Liza było irytująca; jej oczy zawsze o coś prosiły i wciąż chciała być z Olegiem sam na sam, żeby się całować.

Krystyna wstała z pryczy, wzięła laskę i podeszła do płyty kuchennej. Wszystko umiało zrobić sama, ale wolała, żeby robiły to za nią sąsiadki.

— Oszaleć można — mamrotała. — Ja, wybitna uczona, kobieta słynąca niegdyś z urody, muszę mieszkać w tym chlewie porzucona przez wszystkich, skrzywdzona przez los...

— Oleg — powiedziała Liza, unosząc się na łokciu i odsłaniając przy tym dużą białą pierś. — Oleg, nie idź z nimi. Nie wrócisz. Wiem, że nie wrócisz Mam przeczucie...

- Może przynieść wody? — zapytał Oleg, opuszczając oczy,
 - Jest woda — powiedziała Liza. — Nie chcesz mnie usłuchać. Posłuchaj chociaż raz w życiu!
 - Pójdę już.
 - Idź — szepnęła Liza.
- W drzwiach dopędziły go słowa.
- Oleg, rozejrzyj się, może tam jest lekarstwo na kaszel dla Krystyny. Nie zapomnisz?
 - Nie zapomnę.
 - Zapomni — warknęła Krystyna — Na pewno zapomni. I nie będzie w tym nic dziwnego.
 - Oleg!
 - No co?
 - Nie powiedziałeś mi do widzenia.
 - Do widzenia.

* * *

Stary był w kuchni. Mył się nad miednicą.

- Ładne sztuki upolowaliście — powiedział. — Tylko futro mają nie najlepsze, letnie.
- To Dick i Siergiejew.
- Jesteś zły? Byłeś u Krystyny?

Tam wszystko jest w porządku. Trzeba będzie później zanieść im trochę oleju. Kartofle też im się kończą.

- Nie martw się. Chodź do mnie, porozmawiamy na ostatek.
- Może u nas?
- U mnie jest teraz spokojnie, bliźniaki bawią się na dworze.
- Tylko niedługo! — krzyknęła matka z za przepierzenia.

Stary uśmiechnął się Oleg zdjął z wieszaka ręcznik i podał mu, żeby wytarł sobie rękę. Prawą rękę Stary stracił piętnaście lat temu, kiedy po raz pierwszy próbowali przedostać się na przełęcz.

Oleg poszedł do pokoju Starego i usiadł przy stole, wypolerowanym łokciami uczniów, odsunął własnej roboty liczydło z orzechami zamiast kostek. Ileż to razy tu siedział? Kilka tysięcy razy. I wszystkiego, co wie, nauczył się przy tym stole.

- Najbardziej lękam się puścić ciebie — powiedział starzec, siadając naprzeciw niego na

miejscu nauczyciela. Myślałem, że za kilka lat zastąpisz mnie i że zamiast mnie będziesz uczył dzieci.

— Wróć — powiedział Oleg i pomyślał, że chciałby wiedzieć, co teraz robi Marianna. Grzyby już namoczyła, a potem przejrzała zielnik. Ono przecież ciągle zajmuje się swoim zielnikiem. Pakuje się? Rozmawia z ojcem? Śpi?

— Słuchasz mnie?

— Oczywiście, nauczycielu.

— A jednocześnie nalegałem, żeby zabrali cię na przełęcz. To chyba jest ważniejsze dla ciebie niż dla Dicka albo Marianny. Będiesz tam moimi oczami i rękami.

Stary uniósł swoją rękę i przyjrzał się jej z takim zaciekawieniem, jakby nigdy jej nie widział i zamyślił się. Oleg milczał. Stary często tak milkł nagle na minutę lub dwie. Trzeba się było do tego przyzwyczaić. Każdy ma swoje słabości. Płomyk kaganka odbijał się w wypolerowanym, jak zawsze czystym mikroskopie, w którym brakowało najważniejszego szkła. Siergiejew od dawna męczył Starogo, powtarzał mu, że pusta rurka jest zbyt cenna, aby trzymać ją na półce jako ozdobę. „Daj mi ją do warsztatu — mówił — to zrobię z niej dwa wspaniałe noże”. Ale Stary się nie zgadzał.

— Przepraszam — powiedział starzec. Zamrugał pocziwymi, szarymi oczami, pogładził schludnie przystrzyżoną białą bródkę... — Rozmyślałem. Wiesz, o czym? O tym samym, co i przedtem, o tym, że w historii Ziemi zdarzały się już wypadki, kiedy wskutek różnych nieszczęśliwych zbiegów okoliczności niewielka grupa ludzi zostawała odcięta od cywilizacji. I tutaj wkraczamy w dziedzinę analizy jakościowej...

Starzec znów zamilkł i bezdźwięcznie poruszył ustami. Zagłębił się w swoje myśli. Oleg przywykł do tego. Lubił nawet siedzieć obok starca i po prostu milczeć, po prostu siedzieć, bo wydawało mu się, iż Stary ma w sobie tak wiele wiedzy, że przesyca nią całe powietrze, którym oddycha.

— Oczywiście należy uwzględnić przedział czasowy. Przedział, to odległość. Rozrzut, kiedy mówimy nie o przedmiotach, tylko o zjawiskach. Zapamiętałeś?

Stary zawsze tłumaczył słowa, których uczniowie jeszcze nie znali.

— Do degradacji pojedynczego człowieka wystarczy kilku lat, pod warunkiem, że jest białą kartą. Wiadomo, że dzieci, które w niemowlęctwie trafiały do wilków lub tygrysów, a takie wypadki zanotowano w Indiach i w Afryce, po kilku latach beznadziejnie opóźniały się w stosunku do swoich rówieśników. Stawały się debilami. Debil, to jest...

— Pamiętam to słowo.

— Przepraszam. Nie udawało się przywrócić im człowieczeństwa. Nawet chodziły wyłącznie na czworakach.

— A gdyby to był dorosły?

— Dorosłego wilki nie przyjmą. A na bezludnej wyspie?

— Jest wiele wariantów, ale w każdym z nich człowiek nieuchronnie się degraduje. Stopień degradacji...

Starzec uniósł pytająco oczy, a Oleg skinął głową. Wiedział, co to jest degradacja.

— Stopień degradacji zależy od poziomu, jaki człowiek osiągnął do momentu izolacji, i od jego charakteru. Nie należy jednak dokonywać eksperymentu historycznego na pojedynczym ukształtowanym osobniku. Mówimy zatem o społeczności, socjum, grupie. Zastanawiamy się, czy grupa ludzi może utrzymać się na poziomie kultury, na jakim znajdowała się w chwili odizolowania?

— Może — powiedział Oleg. — To my.

— Nie może — zaproponował starzec. Dziecku do ostatecznej degradacji wystarczy jednak pięć

lat, grupie, jeśli nawet nie wymrze, trzeba na to dwóch lub trzech pokoleń. Plemieniu — kilku pokoleń, narodowi zaś, może nawet paru wieków. Ale ten proces jest nieuchronny i nieodwracalny. Dowodzi tego historia. Weźmy chociażby australijskich aborygenów...

Weszła matka Olega. Była uczesana i miała na sobie świeżo upraną spódnicę.

— Posiedzę z wami — powiedziała.

— Posiedź, Ireno, posiedź — powiedział starzec. — Rozmawiamy właśnie o postępie, a właściwie regresie społecznym.

— Już o tym słyszałam — powiedziała matka — Zastanawiasz się, jak prędko zaczniemy chodzić na czworakach? Odpowiem ci, że jeszcze wcześniej wszyscy wyzdychamy. No i dzięki Bogu. Już mnie to zbrzydziło.

— A jego nie zbrzydziło! — wykrzyknął starzec. Moich bliźniaków też.

— Przecież tylko dla niego żyje, a wy go posyłacie na pewną śmierć.

— Jeśli przyjąć twój punkt widzenia — odparł Stary — to tutaj każdy dzień grozi śmiercią. Tutaj las to śmierć; zimo, huragan, powódź, ukąszenie trzmiela — to również śmierć. I nikt nie wie, skąd ta śmierć wypełźnie i jaką przybierze postać.

— Wypelza, kiedy chce, i zabiera każdego, kogo tylko zapragnie — powiedziała matka. — Jednego za drugim.

— Jest nas teraz więcej, niż było pięć lat temu. Najważniejszym problemem nie jest przetrwanie fizyczne, tylko moralne.

— Jest nas mniej, coraz mniej! Rozumiesz, niewielu już zostało! Co te szczeniaki mogą bez nas zrobić?

— Wiele możemy — powiedział Oleg. Poszłabyś sama do lasu?

— Wolałabym się powiesić. Czasami boję się nawet wyjść na ulicę.

— A ja mogę pójść chociażby zaraz. Pójdę i wrócę ze zdobyczą.

— A dzisiaj Dicka i Mariannę o mało szakale nie zeżarły.

— To był przypadek. Przecież wiesz, że szakale nic chodzą stadami.

Nic nie wiem! Zaatakowały dziś stadem, czy nie?

— Zaatakowały.

— To znaczy, że jednak chodzą...

Oleg przestał się spierać. Matka również zamilkła. Stary westchnął, pomilczał i kontynuował swój monolog:

— Nie wiedzieć czemu akurat dzisiaj przypomniałem sobie pewną historię. Nie myślałem o niej przez całe lata, a dzisiaj sobie przypomniałem... Wydarzyło się to w roku 1530, wkrótce po odkryciu Ameryki. Niemiecki statek wielorybiczny, polujący na południe od Islandii, dostał się w sztorm i został zepchnięty na nieznane wody. Przez kilka dni statek płynął na północny wschód, lawirował wśród gór lodowych, aż wreszcie w oddali ukazały się zaśnieżone górzyste brzegi nieznanego lądu. Teraz ta ziemia nosi nazwę Grenlandii. Statek rzucił kotwicę i wielorybnicy zeszli na brzeg. Wyobraźcie sobie ich zdziwienie, gdy niebawem spostrzegli na poły zrujnowany kościół, a potem szczątki kamiennych chat. W jednej z nich znaleźli zwłoki rudowłosego mężczyzny w odzieży byle jak uszytej z foczych skór, a obok — spiłowany do połowy, zardzewiały żelazny nóż. Wokół panowała pustka, zimno, śnieg...

— Nie strasz tymi swoimi historycznymi baśniami — powiedziała nerwowo matka.

— Poczekaj. To nie jest baśń, tylko udokumentowany fakt. Ten człowiek był ostatnim wikingiem. Oleg, pamiętasz, kto to byli wikingowie?

— Opowiadałeś o wikingach, nauczycielu.

— Wikingowie przemierzali morza, podbijali całe kraje, zasiedlili Islandię, lądowali w Ameryce, którą nazywali Winlandem, a nawet założyli własne królestwo na Sycylii. Mieli też dużą

kolonię na Grenlandii. Było tam kilka osiedli z murowanymi domami, kościołami i tak dalej. Ale oto państwo wikingów upadło, ich okręty przestały wychodzić w morze. Ich kolonie dostały się innym narodom albo zostały porzucone. Przerwała się również łączność z kolonią na Grenlandii. A tymczasem klimat wyspy stawał się coraz surowszy, bydło padało, zasiewy wymarzały i grenlandzkie osiedla chyliły się ku upadkowi. Przede wszystkim dlatego, że utraciły kontakt z resztą świata Grenlandczycy, niegdyś odważni żeglarze, zapomnieli, jak buduje się statki i stopniowo wymierali. Wiadomo, że w połowie wieku XV w ostatnim grenlandzkim kościele odbył się ostatni ślub. Potomkowie wikingów dziczeli, gdyż było ich zbyt mało, aby przeciwstawić się żywiołowi, i zbyt mało, aby osiągnąć jakikolwiek postęp, a nawet zachować dotychczasowy poziom. Czy potrafisz sobie wyobrazić tragedię, jaką był ostatni ślub w całym kraju? — Stary zwracał się do matki.

— Twoja analogia mnie nie przekonuje — powiedziała matka. — Choćby wikingów było nie wiem jak wielu, nic nie byłoby w stanie ich uratować.

— A przecież oni byli przystosowani do klimatu. W ciągu pięciuset lat potrafili się przystosować. Ale wymarli, chociaż mieli jakąś alternatywę. Gdyby ten niemiecki statek zjawił się trzydzieści lat wcześniej — wszystko mogłoby ułożyć się inaczej. Wikingowie mogliby popłynąć na kontynent i wrócić do ludzkiej rodziny Albo nawiązałyby kontakt z innymi krajami, zjawiliby się u nich kupcy, nowi osiedleńcy, chociażby nowe narzędzia pracy, wiedza powszechna już w świecie, ale niedostępna wyspiarzom. I wszystko potoczyłoby się inaczej...

— Do nas nikt nie przyplynie — powiedziała matka. — Skończmy już z tym, Borys, dobrze?

— Nasz ratunek nie polega na wtapianiu się w przyrodę, na adaptacji do niej — powiedział starzec z niezachwianą pewnością. Tym razem zwracał się do Olega. — Potrzebujemy zastrzyku ludzkiej kultury, potrzebujemy pomocy ze strony reszty ludzkości. Pomocy w dowolnej formie. Dlatego właśnie nalegam, żebyś poszedł na przełęcz. My jeszcze pamiętamy. I naszym obowiązkiem jest przekazać tę pamięć wam.

— Przelewanie z pustego w próżne — powiedziała matka zmęczonym głosem. — Zagrać wody?

— Zagrzej — powiedział Stary. — Napijemy się wrzątku. Grozi nam zapominanie. Już teraz nosiciele choćby drobin ludzkiej mądrości, cywilizacji, wiedzy jest coraz mniej. Jedni giną, umierają, inni zaś są zbyt pochłonięci walką o egzystencję... I oto przychodzi nowe pokolenie. Ty i Marianna nie jesteście jeszcze tak wyraźnie na nowy sposób ukształtowani, stanowicie etap przejściowy. Jesteście jakby ogniwem łączącym nas z naszą przyszłością. Potrafisz sobie wyobrazić, jaka ona będzie?

— My nie boimy się lasu — powiedział Oleg. — Znamy grzyby i drzewa, możemy polować na stepie...

— Lękam się przyszłości, w której zapanuje nowy typ człowieka: Dick-myśliwy. On dla mnie jest symbolem ucieczki, symbolem porażki człowieka w walce z przyrodą.

— Richard to dobry chłopak. Może tylko trochę dziki — odezwała się matka z kuchni. — Nielatwo mu żyć samemu.

— Nie mówię o charakterze, tylko o zjawisku społecznym. Kiedy ty wreszcie nauczysz się abstrahować od powszednich kłopotów?!

— Czy ja będę abstrahować, czy nie, nie zmieni to faktu, że gdyby tej zimy Dick nie upolował niedźwiedzia, na pewno wyzdychalibyśmy wszyscy z głodu — powiedziało matka.

Dick już czuje się tubylcem, panem losu. Przestał chodzić do mnie pięć lat temu. Nie jestem wcale pewien, czy pamięta leszcze abecadło.

— A po co mu ono? — zapytała matka — Książek i tak nie ma. Nie ma też do kogo pisać listów.

— Dick zna wiele pieśni — powiedział Oleg. I sam je układa.

Trochę się zawstydził, że taką przyjemność sprawiła mu niechęć, jaką starzec okazywał Dickowi, i dlatego właśnie zaczął go bronić.

— Nie chodzi o pieśni. Pieśni, to zaranie cywilizacji. A dla malców Dick jest bożyszczem. „Dick–myśliwy”! Dla was zaś, głupie baby, wzorem wszelkich cnót. Dla dziewcząt — rycerzem. Nie zauważyłaś, jakimi oczami patrzy na niego Marianna?

Niech sobie patrzy, wyjdzie za niego za męża. Czysty zysk dla wioski.

— Mamo! — nie wytrzymał Oleg.

— Co?

Matka nigdy nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Żyła w jakimś swoim świecie, zamierzczłym i starożytnym.

— Widzę, że cieszy cię świat Dicków–dzikusów? — Stary był wściekły. Rąbnął nawet pięścią w stół. — Świat sytych bystronogich dzikusów?

— A co możesz zaproponować w zamian?

— Jego — starzec położył ciężką dłoń na głowie Olega — Świat Olega, to jest mój świat, twój świat, który usiłujesz odrzucić, chociaż inny ci nie jest dany.

— Obawiam się, Borys, że nie masz racji — powiedziała matka i poszła do kuchni. Zdjęła tam z ognia miskę z wrzątkiem i przyniosła ją do pokoju. — Cukier nam się skończył.

— Mnie też — powiedział starzec — Teraz kłacza są chude, niesłodkie Aggie powiada, że jakiś miesiąc przyjdzie poczekać. Zadowolimy się chlebem. Przecież jesteś inteligentną kobietą i powinnaś wiedzieć, że jako społeczność zaczniemy się wyradzać, jeśli postawimy na Dicka, jeśli zastąpią nas dzikusy myśliwi.

— Nie zgadzam się z tobą, Borys — powiedziała matka — Najważniejszą rzeczą dla nas jest przeżyć. Mówię w tej chwili nie konkretnie o sobie, tylko o wiosce o dzieciakach. Kiedy patrzę na Dicka, lub na Mariannę, to zaczynam mieć nadzieję. Ty ich nazywasz dzikusami, a ja sądzę, że oni zdołali się przystosować. I jeśli oni teraz zginą — zginiemy wszyscy. To zbyt wielkie ryzyko.

— To znaczy, że ja się nie przystosowałem? — zapytał Oleg.

— Jesteś najmniej przystosowany ze wszystkich.

— Po prostu boisz się o mnie — powiedział Oleg. — i nie chcesz, żebym szedł w góry. A ja z kuszy strzelam lepiej niż Dick.

— Boję się o ciebie, pewnie że się boję. Mam tylko ciebie jednego. Jesteś wszystkim, co mi zostało. A ty z każdym dniem coraz bardziej się ode mnie oddalasz, uciekasz gdzieś, stajesz się obcy.

Stary chodził miarowym krokiem po pokoju. Robił tak zawsze, kiedy był niezadowolony z uczniów, kiedy dzieciarnia się leniła. Pochylił się i wziął z taboretu globus, Zrobił go z gigantycznego grzyba, który wyrósł ostatniej zimy pod szopą. Wtedy razem z Olegiem ucierał farby, kolorową glinę, którą Marianna i Liza znalazły nad strumieniem, tę samą glinę, z której teraz robi się mydło. Wsuszyli ją i uzyskali dwa kolory — biały i szary. A sam grzyb był fioletowy. Stary z pamięci narysował na nim lądy i oceany. Globus wyszedł blady, a w ciągu dwóch lat jeszcze bardziej zbladł i wytarł się. Przypominał teraz okrągłą chmurkę.

Stary położył globus na dłoni.

— Atlas — powiedziała matka.

Oleg dostrzegł na stole malutką plamkę różowej pleśni. To nie była nieszkodliwa żółta pleśń, tylko pleśń trująca. Ostrożnie starł plamkę rękawem Głupio jest, kiedy rodzona matka woli kogoś innego. Właściwie to jest zdrada, najprawdziwsza zdrada.

— Oboje umrzemy — powiedział starzec.

— No i bardzo dobrze. Dość się już nażyliśmy — odparła matka.

— A jednak nie spieszymy się umierać, trzymamy się kurczowo tego życia.

— To z tchórzostwa powiedziała matka.

— Zawsze miałaś Olega.

— Tylko dla niego żyłam.

— Umrzemy oboje — powtórzył starzec — ale wioska powinna żyć. Inaczej nasze dotychczasowe istnienie nie będzie miało żadnego sensu.

— Większe szansę przeżycia będzie miało osiedle myśliwych.

— Większe szansę przeżycia będzie miało osiedle takich jak Oleg — zaproponował Stary. — Jeśli naszym plemieniem będzie rządził Dick i jemu podobni, to za sto lat nikt nawet nie będzie pamiętał, kim jesteśmy, skąd przyszliśmy i po co żyjemy. Zatriumfuje prawo silniejszego, prawo pierwotnej zgrai.

— I będą płodzić się i rozmnażać — powiedziała matka. — I staną się liczni jak piasek pustyni. I wynajdą koło, a po dalszym tysiącu lat maszynę parową — zakończyła ze śmiechem, który podobniejszy był do łkania. Pociągnęła nosem.

— Żartujesz? — zapytał Oleg.

— Irena mówi zupełnie poważnie — odpowiedział mu Stary. — Walka o najprymitywniejszą egzystencję doprowadzi do beznadziejnego regresu. Przeżyć za taką cenę, wtopienia się w przyrodę, zaaprobowania jej praw, to znaczy skapitulować.

— Ale jednak przeżyć — powiedziała matka.

— Ona tak nie myśli! — wykrzyknął Oleg.

— Oczywiście, że tak nie myśli — zgodził się Stary. — Znam Irenę już od dwudziestu lat i wiem, że wcale tak nie myśli.

— Wolę w ogóle nie myśleć — powiedziała matka.

— Kłamiesz — powiedział starzec. — Wszyscy myślimy o przyszłości, wszyscy lękamy się i mamy nadzieję. Inaczej przestalibyśmy być ludźmi. To właśnie ładunek wiedzy, którym Dick wolał się nie obciążać, zastępując go zwykłymi prawami lasu, może nas uratować. I dopóki istnieje alternatywa, możemy mieć nadzieję.

— I dla tej właśnie alternatywy pędzisz Olega w góry?

— Dla zachowania wiedzy, dla nas wszystkich, w tym również dla ciebie. Dla walki z oświeceniem, czyżbyś tego nie rozumiała?

— Zawsze byłeś egoistą — powiedziała matka.

— A twój macierzyński egoizm się nie liczy? Dlaczego Oleg? Przecież on nie wytrzyma tego marszu, bo jest na to za słaby.

Tęto matka nie powinna powiedzieć. Od razu to zrozumiała i popatrzyła na Olega, błagając go wzrokiem, żeby się nie obrażał, żeby zrozumiał.

— Ja się nie obrażam, mam — powiedział Oleg. — Wszystko rozumiem, ale chcę iść. Chyba chcę bardziej niż cała reszta. Dick najchętniej by został. Wiem o tym. Niedługo zaczną wędrować jelenie. Najlepszy sezon na polowanie na stepie. Zostałby.

— On jest potrzebny na wyprawie — powiedział twardo starzec. Oburzam się wprawdzie na perspektywę jego władzy, ale dziś jego umiejętności, jego siła mogą nas uratować.

— Uratować! — matka oderwała wzrok od Olega. Ciągłe gadasz o ratunku. A sam w niego wierzysz? Ludzie trzy razy chodzili w góry, a ilu z nich wróciło? I z czym?

— Wówczas byliśmy jeszcze niedoświadczeni. Nie znaleźliśmy tutejszych praw. Szliśmy zimą, jesienią, kiedy na przełęczach leżał śnieg. A dzieciaki zdołają przejść.

Gdyby tamci nie zginęli, znacznie lepiej by się nam żyło. Byłoby więcej żywicieli.

— Naturalnie, ale i tak znaleźlibyśmy się we władzy prawa degradacji. Albo jesteśmy częścią ludzkości, pielęgnującą ogólnoludzki dorobek, żadną wiedzą, albo też zamieniamy się w garstkę dzikusów bez perspektyw.

— Jesteś idealistą. Bo nam Kawałek chleba jest dziś potrzebniejszy niż abstrakcyjny ananas.
— Ale przecież pamiętasz smak ananasa. Stary obrócił się do Olega i dodał — Ananas to owoc tropikalny o specyficznym smaku.
— Zrozumiałem — powiedział Oleg — Śmieszne słowo. Mamo, zagrzej zupy. Niedługo ruszamy.

* * *

— Papier — powtórzył Stary — Przynajmniej dziesięć arkuszy.
— Będziesz miał swój papier — powiedział Tomasz.
Ci, którzy mieli iść, zebrali się przy bramie ogrodzenia. Reszta przyszła ich odprowadzić. Wszyscy udawali, że wyprawa jest najwyczejniejsza w świecie, jak na bagna po słodkie kłęczce, a żegnali się, jakby się już nigdy nie mieli zobaczyć. Oleg takie przynajmniej odniósł wrażenie.
Ci, którzy szli, byli ciepło ubrani — odzienie dla nich zebrano w całej wiosce. Ciotka Luiza sama je wybierała, zwiężała, dopasowywała. Oleg chyba nigdy dotąd nie był tak ciepło ubrany. Tylko Dick niczego nie wziął. On zawsze sam wszystko sobie szyje. Deszcz prawie ustał, w kałużach wokół słupów ogrodzenia pluskały się z głośnym piskiem pływaki. Na pogodę.
Tomasz zerknął na pływaki i powiedział.
— Deszcz ustaje. Trzeba byłoby wzmocnić słupy.
— Nie myśl o tym — powiedziała ciocia Luiza. — Damy sobie z tym radę i bez ciebie.
— A co mi przyniesiesz, tatusiu? — zapytała ruda Ruth, córka Tomasza.
— Nie wolno — powiedziała jego żona. — Nie wolno nawet o tym myśleć. Najważniejsze, żeby tatuś wrócił. Owiń sobie szyję, bo znów kaszlesz.
— Z przełęczki trzeba iść w prawo — powiedział Veitkus, zwracając się do Tomasza. — Pamiętasz?
— Pamiętam — uśmiechnął się Tomasz. — Jak dziś pamiętam. Lepiej byś się położył... Nie powinieneś jeszcze wstawać.
Matka trzymała Olega za rękę, o on nie odważał się wyrwać dłoni, chociaż wydawało mu się, że Dick, patrząc na niego, uśmiecha się ironicznie samymi oczami.
Matka chciała pójść z nimi do cmentarza, ale Siergiejew jej nie puścił. Nie puścił nikogo, oprócz Luizy i Starego.
Oleg kilka razy odwracał się do tyłu. Matka stała z nieruchomo uniesioną ręką, jakby chciała pomachać nią na pożegnanie i zapomniała. Starła się nie płakać.
Nad ogrodzeniem widać było głowy dorosłych. Matki, Aggie, Siergiejewa, Veitkusa... A przez ciernie, bliżej ziemi, ciemniały postacie dzieciarni. Króciutki szereg ludzi o za nim spadziste, błyszczące w deszczu różowe dachy kilku domów.
Na wzgórzu Oleg obejrzał się po raz ostatni. Wszyscy nadal stali przy ogrodzeniu, tylko paru malców odbiegło na bok i zaczęło taplać się w kałuży. Z góry widać było ulicę, dróżkę między szalasami. I drzwi domu Krystyny. W drzwiach stała jakaś kobieta. Z daleka nie było widać, czy to Krystyna, czy Liza. A potem wierzchołek wzgórza zasłonił wioskę.
Cmentarz również był otoczony kolczastym ogrodzeniem. Dick, zanim otworzył furtkę, zajrzał do środka, żeby sprawdzić, czy jakieś zwierzę nie urządziło sobie tam kryjówki. To było całkiem możliwe. Oleg pomyślał, że sam na pewno zapomniałby to zrobić.
Dziwne, zastanawiał się, że grobów przywalonych płytami miękkiego łupka, wyłamanymi z pobliskich skał, jest znacznie więcej niż ludzi w wiosce, chociaż osiedle liczy sobie dopiero

szesnaście lat. Ojca tam nie było, bo został za przełęczą. Dick przystanął przed dwoma identycznymi płytami, ociosanymi znacznie staranniej niż pozostałe. To były groby jego rodziców. Zerwał się zimny, nieprzyjemny wiatr. Stary wolno przechodził od grobu do grobu. Znał ich wszystkich. Ilu ich było szesnaście lat temu? Zdaje się, że trzydziestu sześciu dorosłych i czworo dzieci. A zostało?... Dziewięcioro dorosłych i troje dzieci z tych, które przyszły. Troje. Dick, Liza i on, Oleg. Marianna urodziła się już tu. I jeszcze dwanaścioro dzieci spośród tych, które urodziły się w wiosce żywe. To znaczy, że siedemnaście lat temu było tu czterdziestu ludzi, a teraz dwadzieścia z kawałkiem. Prosty rachunek. Nie, wcale nie prosty. Grobów jest o wiele więcej, leżą w nich dzieciaki, które umarły lub zginęły. Tutejsze, wioskowe. Pewnie można sporządzić wykres, pomyślał Oleg. Kto przeżywa, dlaczego ludzie umierają...

Nad uchem, jakby podsłuchiwała jego myśli, odezwała się ciocia Luiza:

— Większość nie dożyła piątego roku życia.

— Naturalnie — zgodził się Stary. — Płaciliśmy za doświadczenie.

— Prawdziwy cud, że wszyscy nie wymarli już w pierwszym roku — powiedział Tomasz. —

Pamiętasz?

— Pamiętam — odpowiedział Stary,

Zatrzymali się przed płytami w samym środku cmentarza. Płyty były nieociosane, grube, krzywe. Niemal zupełnie zapadły się w ziemię, pokryły się puszystą warstwą rudego mchu i przypominały okrągłe pagórki.

Oleg chciał wrócić, żeby jeszcze raz popatrzeć na wioskę, bo wiedział, że matka stoi przy bramie i czeka na to. Ruszył już nawet w stronę furtki, ale w tej samej chwili Tomasz powiedział.

— Czas w drogę. Za pięć godzin zacznie się ściemniać, a musimy przedtem dotrzeć do skał.

— Oj! — pisnęła Marianna i zaczęła przebierać palcami po worku przerzuconym przez ramię.

— Zapomniałaś czegoś? — zapytał Dick.

— Nie. Właściwie zapomniałam. Chcę popatrzeć na ojca...

— Idziemy, Marysiu — powiedział Tomasz. — Im szybciej ruszymy, tym szybciej wrócimy.

Oleg zobaczył, że oczy Marianny są pełne łez. Dziewczyna została trochę z tyłu. Podszedł do niej i powiedział.

— Ja też chciałem wrócić i popatrzeć przynajmniej ze wzgórza...

— Tak?

Szli obok siebie i milczeli.

O jakieś trzydzieści kroków za ogrodzeniem, gdzie zaczynała się płożąca się, podstępna, lepka kosówka, zatrzymali się.

Luiza wszystkich ucałowała. Stary uściskał im ręce. Na ostatku pożegnał się z Olegiem.

— Bardzo na ciebie liczę — powiedział — Bardziej niż na Tomasza. Tomasz troszczy się o dobro wioski, o jej dzień dzisiejszy. Ty powinieneś myśleć o przyszłości. Rozumiesz mnie?

— Dobrze — odparł Oleg. — A ty, nauczycielu, opiekuj się mamą żeby za bardzo się nie martwiła. Przyniosę mikroskop.

— Dziękuję. Wracajcie jak najszybciej.

Dick pierwszy wszedł w zarośla, wkroczył lekko i szybko, odrzucając końcem dzidy lepkie macki.

— Trzymajcie się blisko mnie — powiedział — żeby nie miały czasu się zorientować.

Oleg już się nie odwracał. Nie było kiedy się odwracać... Chwila nieuwagi i gałąź przylgnie do kierpca tak, że potem nie da się oderwać, a jak się ją w końcu oderwie, to przez trzy tygodnie będzie śmierdziała. Obrzydliwa roślina.

* * *

O zmroku, jak przewidywał Tomasz, dotarli do skał.

Las nie dochodził do skał, ich purpurowe zęby sterczały z nagiej, pokrytej plamami porostów doliny, a strzępy chmur przelatywały tak nisko, że kamienne zębiska rozpruwały im brzuchy i znikały w ich szarym tumanie. Tomasz powiedział, że jaskinia, w której nocował poprzednim razem, jest sucha i łatwo do niej dotrzeć. Po pięciu godzinach szybkiego marszu wszyscy, oprócz Dicka, byli bardzo zmęczeni. Dick, jeśli nawet się zmęczył, nikomu się na to nie uskarżał, tylko szczyrzył zęby.

— Wtedy było znacznie zimniej — powiedział Tomasz. — Uznaliśmy wówczas, że w mróz łatwiej będzie przedostać się przez bagno. Ale przełęcz była zamknięta. Pamiętam, że jak tędy szliśmy, to pod nogami chrzęściło. Przymrozki.

Między wędrowcami a skałami leżała okrągła biaława plama o średnicy jakichś dwudziestu metrów.

— To tutaj chrzęściło? — zapytał Dick, który szedł przodem. Zatrzymał się gwałtownie na skraju plamy. Jej powierzchnia lekko połyskiwała jak kora sosny.

— Tak. — Tomasz stanął obok Dicka,

Oleg został w tyle. Godzinę temu wziął od Marianny worek, żeby jej pomóc. Marianna nie chciała mu go dać, Dick tylko wyszczerzył zęby, a Tomasz powiedział:

— Słusznie. Jutro ja ci pomogę, a potem Dick.

— Po co pomagać? — powiedział Dick. — W nocy rozdzielimy między sobą połowę jej worka. Jej będzie lżej, a my też nie zauważymy różnicy. Wcześniej trzeba było o tym pomyśleć. Dwa miesiące się przygotowywali, o nie pomyśleli.

Ciekawe, kto niby miał myśleć? Z ciebie taki sam myśliciel, jak z reszty, pomyślał Oleg. A nieść trzeba było niemało. Chociaż Dick mówił, że nie ma sensu ciągnąć ze sobą jedzenia, bo on zawsze coś po drodze upoluje,

To na wszelki wypadek wzięli wędzone mięso, suszone kłącza i grzyby. Najwięcej jednak ważyło drewno, bez którego ani wody się nie zagotuje, ani zwierza nie odpędzi.

— Wiesz, do czego to jest podobne? — powiedziała Marianna, dopędzając mężczyzn. — Do kapelusza grzyba. Ogromnego grzyba.

— Możliwe — powiedział Dick. — Lepiej go obejdźmy.

— Po co? — zaoponował Oleg. — Na piargi trzeba się będzie wdrapywać.

— Spróbuję, dobrze? — powiedziała Marianna, przyklękając i wyciągając zza paska nożyk.

— Co chcesz zrobić? — zapytał Tomasz.

— Odetnę kawałeczek i powącham. Jeśli ten grzyb jest jadalny, to można by nim nakarmić całą wioskę.

— Lepiej go nie ruszać — powiedział Dick. — Nie podoba mi się twój grzyb, jeśli to w ogóle jest grzyb.

Ale Marianna już wbiła nożyk w krawędź plamy. Odciąć jednak nic nie zdążyła — ledwie zdążyła wyrwać nóż. Biaława plama nagle wzdęła się, zadygotała i ruszyła wysoką falą w jej stronę. Dick gwałtownie pociągnął dziewczynę na siebie i potoczył się z nią do tyłu. Tomasz również odskoczył i uniósł kuszę. Dick, siedząc na kamieniach, roześmiał się na całe gardło.

— Żeby go zabić, potrzebna jest strzała wielkości domu. Albo i większa!

— Przecież mówiłam, że to grzyb — powiedziała Marianna. — Niepotrzebnie się wystraszyłeś. — On pachnie jak grzyb.

Drgawki wstrząsały białą plamą. Fale rodziły się w jej środku i toczyły ku krawędziom, jak

kregi na wodzie od wrzuconego do niej kamienia. Środek grzyba wciąż się unosił i unosił, jakby ktoś, bijąc głową, usiłował wydostać się na zewnątrz. Potem od środka rozbiegły się ciemne pęknięcia, które rozszerzały się tak długo, aż cała powierzchnia grzyba rozpadła się na ogromne spiczaste płatki. Płatki zaczęły się unosić i odchyłać do góry i wreszcie utworzyły kielich gigantycznego kwiatu.

— To jest piękne — powiedziała Marianna. — To jest po prostu piękne, prawda?

— A ty chciałeś po nim spacerować powiedział Dick do Olega. Powiedział to tonem starszego, chociaż byli rówieśnikami. Obaj mieli po dwa lata, kiedy ich nieśli przez przełęcz.

Tomasz zarzucił kuszę na plecy i podniósł z ziemi nożyk Marianny.

— Naturalista też powinien czasem najpierw pomyśleć, a dopiero potem przeprowadzać doświadczenia.

— On nic nam nie może zrobić powiedziała. Marianna. — On pokazuje nam, jaki jest piękny!

— Jeśli tylko nie ma w nim pasożytów — powiedział Dick. — No to jak, idziemy? Bo zrobi się ciemno, nie znajdziemy jaskini i wszystkie plany diabli wezmą. A przecież umyślnie wyszliśmy tak, żeby zanocować w znanym miejscu.

Obeszli grzyb po piargu. Oleg z góry usiłował zajrzeć do wnętrza kwiatu, ale było tam ciemno i pusto. Płatki stopniowo się zamykały i gigantyczny grzyb zaczynał się uspokajać.

— Jak go nazwiemy? — zapytała Marianna.

— Muchomor — powiedział Tomasz.

— Muchomor to grzyb?

— Oczywiście — odparł Tomasz. — Duży i trujący. Z czerwonym kapeluszem upstrzonym białymi plamkami.

— Nie bardzo podobny — zauważył Dick.

— Ale ładnie brzmi — ucięła Marianna.

Od dawna się już tak utarło, że nazwy nieznanym rzeczom nadawał Tomasz. Były to nazwy stare, nie zawsze zupełnie odpowiednie, ale po co wymyślać nowe? Żeby tylko była jakaś podobna cecha. Grzyby rosną w ziemi i można je suszyć, a zatem pomarańczowe lub niebieskie kule, które zakopują się w ziemi, ale które można suszyć i jeść, gotować i smażyć, jeśli się je uprzednio porządnie wymoczy, nazwiemy grzybami. Szakale chodzą stadami, żywią się padliną, są tchórzliwe i żarłoczne. I nieważne, że szakale to gady. Niedźwiedź jest wielki i ma długą, kosmatą sierść, chociaż ta jego sierść to cienkie pędy rozmnażającej się przez rozsiewanie jadowitych igielek rośliny, której źdźbła przypominają zielonkawe włosy.

Oleg zasapał się, wdrapując się po piarzysku. Kamienie usuwały mu się spod nóg, worek Marianny ciążył w rękę własny przytłaczał ramiona. Oleg liczył kroki i zastanawiał się, gdzie jest ta diabelna jaskinia. Powietrze zaczynało już niebieszczeć, dzień i tak był pochmurny, a teraz wszystko zaczynało się rozplýwać w szarawej mgłę unoszącej się nad ziemią. Już najwyższy czas znaleźć kryjówkę, bo nawet Dick nie odważy się nocą pójść do lasu albo w step, w ciemnościach wychodzą na żer zwierzęta nocne. Ci, którzy wychodzą nocą za ogrodzenie, nie wracają. A tutaj, z dala od wioski... Oleg odwrócił się. Wydało mu się, że ktoś za nim idzie. Nie, to tylko mgła. Nawet nie zauważył, jak przyspieszył kroku, kiedy. Tomasz zbeszał go półgłosem:

— Nie pchaj się, bo mnie przewrócisz. Zachowuj odstęp.

A jednak Oleg nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ktoś mu depcze po piętach.

Plecy Tomasza znikły, bo wyprzedził on Mariannę. Teraz przed oczami majaczyły wąskie dziewczęce plecy, wąskie nawet w ciepłej kurtce. Marianna potyka się, bo źle widzi w półmroku. Aggie powiedziała, że to kurza ślepotą, ale nie zwyczajną, tylko endemiczną. „Endemiczna, to znaczy właściwa dla danego terenu” — zabrzmiał w uszach głos Starego, jakby nauczyciel stał obok.

- Wziąć cię za rękę? — zapytał Oleg.
Szli we dwójkę przez nieprzeniknioną mgłę, tonąc w niej po kolona.
— Nie — odparła Marianna. — Dziękuję.
— Stójcie! — Odległy głos Dicka brzmiał głucho i niewyraźnie. — Skały.

* * *

Dobrze, że jaskini nikt nie zajął. Przecież mógł w niej skryć się niedźwiedź, albo coś jeszcze gorszego, któraś z tych nocnych bestii krążących jak zjawy wokół ogrodzenia. Czasami te zwierzęta próbowały nawet przerwać kolczaste zasieki, ciągnąc do ludzkich siedzib, a zarazem się ich bojąc. Kiedyś, chyba ze trzy lata temu, Marianna przyniosła z lasu koźlątko, malutkie jeszcze, sięgające jej do pasa. Koziół miał przenikliwy głos i darł się jeszcze gorzej niż bliźniaki. Zielona włochata trawa zwisała do ziemi, zwierzak tupał opancerzonymi nogami i wrzeszczał wniebogłosy.

— Beczy — powiedział wówczas z satysfakcją Veitkus. — Uwielbiał głosy zwierząt domowych.

— A więc będzie kozłem — powiedział Tomasz, który już wówczas nadawał nazwy nieznanym przedmiotom i zwierzętom.

Koziół dożył w wiosce do zimy, kiedy noc trwa niemal bez przerwy. Przywykł do ludzi, prawie nie gryzł i sterczał ciągle w warsztacie Siergiejewa, bo tam było ciepło. W tym warsztacie Siergiejew robił meble i naczynia. Oleg lubił mu pomagać. Podobało mu się robienie rzeczy. A potem w nocy przyszły nocne bestie i uprowadziły kozła. Marianna znalazła kilka strzępków zielonej sierści na cmentarzu. Ale to było już wiosną, więc mogła się pomylić.

Veitkus powiedział wtedy:

— Rozwój hodowli trzeba będzie odłożyć na czas nieokreślony.

— Tym bardziej — dodało Aggie — że tyle było z niego pożytku, co ze psa gnoju.

Jaskinia miała jedną wadę — szeroki wlot. W poprzek otworu rozpięli namiot z rybich skór i rozpalili ognisko, bo nocne bestie nie lubią ognia. W jaskini było prawie ciepło i Oleg z rozkoszą wyciągnął się na gładkich kamieniach. Marianna położyła się obok niego.

— Okropnie się zmęczyłam — powiedziała. — I bałam się.

— Ja też — odparł Oleg cicho. — Wydawało mi się, że i tyłu ktoś idzie.

— Dobrze, że nie wiedziałam — powiedziała Marianna.

Dick łupał drewno. Wzięli ze sobą najlepsze, takie, które wolno się pali. Tomasz rozwiązał worek z grzybami i wyjął kociołek na trójnogu.

— Oleg — powiedział — podaj wodę.

Woda była w worku Olega, w naczyniu z tykwy. Tomasz musiałby zrobić najwyżej dwa kroki, żeby wziąć wodę samemu. Chłopak zrozumiał, że Tomasz powiedział to w celach wychowawczych. Nie chce rozkazywać Olegowi, żeby wstał i zajął się jakąś robotą, nie chce go zawstydzać. Chociaż, co tam jest do roboty? Namiot już rozwiesili razem, ognisko rozpalili. Następnego dnia będę mniej zmęczony, to zajmę się gospodarstwem. Przecież dziś taszczyłem worek Marianny.

Oczywiście nie powiedział tego na głos i nie zdążył wstać, kiedy Dick wyciągnął długą rękę, chwycił worek Olega i podsunął go Tomaszowi.

— Niech odpoczywa — powiedział bezbarwnym, obojętnym tonem — Zmordował się, niósł dwa worki.

— Niech poleży — zgodził się Tomasz.

Oleg usiadł.

— A co trzeba zrobić? — zapytał Kiedy trzeba, to zawsze zrobię.

— Poczekaj. Tomaszu — powiedziała Marianna — Sama zrobię zupę. Ty przecież nie wiesz, ile grzybów trze ba włożyć.

— Miałem wrażenie — powiedział Dick — że za nami ktoś szedł.

— Ty również? — wykrzyknął Oleg.

Zaraz potem usłyszeli czyjeś ciężkie kroki za zasłoną Dick porwał dzidę, a Tomasz pochylił się nad ogniskiem, gotowy chwycić płonąca głównię. Kroki umilkły. Było bardzo cicho Słysząc było, jak pojedyncze krople deszczu kapią z nawisu nad wejściem do jaskini.

— Akurat zdążyliśmy — odezwała się Marianna.

— Cicho!

Ale za błyszczącą zasłoną z rybich skór nic się nie działo.

Dick trzymając broń w pogotowiu podszedł do zasłony, ostrożnie odsunął róg i wyjrzał na zewnątrz.

Oleg patrzył na jego szerokie, napięte plecy i czekał. Trzeba by również wziąć dzidę. Ale przecież pali się ognisko. To sprawa Dicka. niesprawiedliwość tej myśli była dla niego oczywista, ale nie mógł inaczej myśleć, bo jego sprawa, jego robota polegała na czymś innym Miał zobaczyć to, co nie interesuje pozostałych. Stary bardzo na niego liczy. Najgorsze jednak, że nie wie, czy spełni jego nadzieje, tym bardziej, że z upływem lat stają się one dla starca coraz bardziej abstrakcyjne i iluzoryczne.

Marianna krzątała się przy ognisku, przebierała grzyby i suszone słone jagody, które zawsze gotowała osobno, a dopiero później mieszała. Dziewczyna klęczała, rękawy kurtki miała zawinięte, a szczupłe ręce całe pokryte bliznami i siniakami. Oleg pomyślał, że ręce Marianny są piękne, o blizny to drobiazg — wszyscy mają blizny.

Tomasz również patrzył na zwinne ręce Marianny, przyglądał się obrządkowi, który dla niego, obcego tu przybysza, nie miał żadnego sensu. Widział blizny na jej rękach, cenę, którą las wziął za naukę, i myślał o przepaści, jaką wioska kopie między nim a tymi wyrostkami, dzikusami, którzy teraz znakomicie wyśpią się na kamieniach, nie przykrywając się niczym i nie czując wilgotnego, przejmującego do szpiku kości zimna... A zapach tych roślinnych ośmiornic, które nazywają grzybami, nie wzbudza w nich obrzydzenia, bo do niego przywykli... Zresztą dzieci też pachną tu inaczej niż w domu. Nawet własne dzieci. I ośmioletnia Ruth może nie zginąć sama w lesie, a w każdym razie nie umrze w nim z głodu, bo las dla niej jest wprawdzie miejscem niebezpiecznym, groźnym i podstępny, ale swojskim. I jeśli on, Tomasz Hindt, jest w tym lesie człowiekiem, to oni są w nim jak jelonki, zające albo nawet wilczki — nie najsilniejsze, ale sprytniejsze od wielu innych, więc potrafią przeżyć. Marianna wyszczerzyła zęby jak dzikie zwierzątko, nadgryzła podejrzany grzyb, pisnęła i rzuciła go do kąta. Grzyb jak grzyb, wszystkie grzyby to trujące paskudztwo. Znowu ktoś przeszedł ciężkim krokiem, omal nie dotykając półprzezroczystej zasłony. Cholerne duchy ciemności. Łażą słonie, nie zdziwię się, jeśli jadowite. Dzieciaki są pomocne, chociaż diabli ich tam wiedzą. Dick tak wygada, jakby zaraz gotów był rzucić się w pościg za szakalem. Oleg jest naturalnie od niego słabszy. Niezły chłopak, niegłupi, ale Borys zupełnie niepotrzebnie faszeruje go swoimi idealistycznymi teoriami. Wioska musi żyć. Dziś, jutro. Nie wiem, kiedy zaczniemy budować miasta, wystrzeliwać sztuczne satelity. Za tysiąc lat? Ale również po to trzeba wyżyć dzisiaj.

Zasłona drgnęła. Widocznie nocny gość postanowił ją zerwać. Tomasz chwycił głównię i uprzedzając Dicka wybiegł w ciemność, we mgłę. Czarny cień odpływał, roztapiał się w szarym tumanie, jakby jakiś dowcipniś ciągnął za sobą balon.

— Nie wiem, co to jest — powiedział. — Nigdy czegoś podobnego nie widziałem.

— Trzeba będzie dyżurować przy ognisku — powiedział Dick.

— Ja zupełnie nie jestem śpiący — zaofiarował się Oleg.

— Przydałby się nam pistolet — westchnął Tomasz. — Przyzwoity pistolet strzelający ogniem ciągłym.

— Za pięć minut będzie zupa — powiedziała Marianna. — Bardzo smaczna zupa. Ciocia Luiza dała nam na drogę same prawdziwki.

Gdzieś bardzo daleko coś mlasnęło, sapnęło. Potem rozległ się lekki tupot niezliczonych nóg i beczenie. Chóralny, rozpaczliwy bek.

Marianna zerwała się na równe nogi.

— Kozły!

— Twojego już dawno zjedli — mruknął Dick. — Kto je tak goni?

— Jadowity słoń — nieoczekiwanie dla samego siebie powiedział Tomasz.

Dick roześmiał się:

— Tak właśnie będziemy je nazywać.

Beczenie zmieniło się w wysoki krzyk, podobny do płaczu dziecka. Potem wszystko ucichło. I znowu rozległ się tętent.

— Myślę, że wypuszcza je muchomor — powiedział Oleg.

— Kogo? — zapytał Dick.

— Jadowite słonie.

— To są złe duchy, zjawy. Krystyna mi mówiła — odezwała się Marianna.

— Złych duchów nie ma — powiedział Oleg.

— No to spróbuj zapuścić się głębiej w las! — wykrzyknął Dick.

— Cicho! — rozkazał Tomasz.

Całkiem blisko przemknęły kozły. Za nimi miękkim krokiem pędził prześladowca. Ludzie cofnęli się za ognisko, aby mieć je między sobą a zasłoną. Przygotowali broń, Nieznane zwierzęta są straszne, gdyż nie wie się, jakie są ich zwyczaje.

Zasłona podskoczyła, pękła na ukos i do jaskini wpadła zielona, włochata istota. Była wzrostu człowieka, ale kragła, czworonoga, z kościstym grzebieniem sterczącym z kudłów, niczym łańcuch stromych wzgórz z gęstego lasu.

Zwierze dygotało. Jego małe czerwone ślepia gapiły się na ludzi z tępą rozpaczą.

Dick wycelował starannie kuszę, chcąc ubić je jednym strzałem.

— Stój! — krzyknęła Marianna — To przecież kozioł!

— Słusznie szepnął Dick, nie ruszając się z miejsca. — To mięso.

Ale Marianna już obeszła ognisko i zbliżało się do kozła.

— Poczekaj. — Tomasz chciał ją powstrzymać, ale dziewczyna odtrąciła jego rękę.

— To mój kozioł — powiedziała.

— Twój już dawno zdechł — odparł Dick, — ale jego ręka trzymająca kuszę opadła. Mięso jeszcze mieli, a zabijać bez potrzeby Dick nie lubił. Myśliwi zabijają tylko tyle, ile mogą unieść.

Kozioł zaczął się wolno cofać i znieruchomiał. Widocznie to, co czaiło się na zewnątrz, było po stokroć gorsze od Marianny. Dziewczyna pochyliła się, szybko wyjęła z worka smaczny suszony grzyb i podała go zwierzęciu. Kozioł westchnął, powąchał, rozdziawił hipopotamią paszczkę i posłusznie schrupał poczęstunek.

* * *

Jako pierwszy pełnił wartę Oleg. Kozioł nie ucieka! Cofnął się tylko pod ścianę groty, zerkał jednym okiem na Olega i od czasu do czasu głośno wzdychał, a potem zaczynał się czochoać o skałę.

— Zapchlisz nas tu wszystkich — powiedział Oleg Stój spokojnie bo cię wygonię.

Uważne, nieruchome spojrzenie kozła sprawiało wrażenie, że zwierze słucha i rozumie. Ale tak naprawdę, to kozioł przysłuchiwał się temu, co dzieje się na wewnątrz.

Patrząc na dogasające ognisko, Oleg przysnął. Wydawało mu się, że nie śpi, że widzi, jak nad rozżarzonymi węgielkami polatują niebieskie iskry i tańcząc parami układają się w korowód... Kozioł rozbeczał się i zastukał kopytami. Oleg poderwał się i nie od razu zorientował się, gdzie jest. Dopiero po sekundzie lub dwóch zauważył, że kozła nie ma już na starym miejscu, że zwierzę odskoczyło w głąb jaskini, a przez dziurę w zasłonie pcha się jakaś szara, pęczkowata masa, rozlewa się ciastowato po dnie jaskini. Może zresztą ta masa nie była szara, tylko różowa? Odblask gasnącego ogniska oświetlał tę pracę naprzód masę, a kozioł rozpaczliwie beczał, błagał o ratunek, gdyż uznał widocznie, że szare ciasto przyszło specjalnie po niego. Oleg zdążył jeszcze pomyśleć nie wiedzieć czemu, że jak na nocną zjawę ta masa jest zbyt paskudna, macał wokół siebie ręką i w żaden sposób nie mógł znaleźć kuszy, a odwrócić wzroku od płynącej na niego, bliskiej już masy cuchnącej żrącym kwasem, nie potrafił, nie był w stanie. I dlatego zobaczył, jak z boku stwora wyrosła nagle opierzona strzała, jak zanurzyła się do połowy w cieście, zapadło się w nim całkowicie — i jak zaraz potem, lekko i szybko, ciasto sprężyło się, skurczyło i znikło za leniwie rozkołysaną zasłoną.

Oleg w końcu zdołał opuścić oczy. Kusza leżała o dwa centymetry od rozcapierzonych palców, a Dick, wypoczęty i świeży, jakby w ogóle nie kładł się spać, siedział na kamieniach. Opuścił teraz kuszę i powiedział:

— Może nie powinienem strzelać. Trzeba było poczekać.

— Czemu nie strzelałeś? — zapytała Marianna Olega i nie wstając gładziło cienkie, pancerne nóżki kozła, który popłakiwał jak dziecko, skarżąc się jej na swój strach.

— Oleg skamieniał, a to paskudztwo już się do niego dobierało. Nie mogłem ryzykować — powiedział Dick, wcale nie chcąc obrazić Olega. Powiedział po prostu to, co myślał. Zawsze mówił to, co myślał.

— Usnąłeś? — zapytał Tomasz Olega.

Tomasz leżał zawinięty w koc i z workiem, w którym było suszone mięso, pod głową. Było mu zimno, bardzo zimno. Co będzie, kiedy przyjdzie prawdziwy mróz, jak on to wytrzyma, pomyślał Oleg i powiedział:

— Usnąłem. Nawet nie wiem kiedy. Kozioł mnie obudził.

— Zuch, koziołek! — powiedziała Marianna.

— Dobrze, że cię obudził — powiedział Dick, kładąc się na boku. Jego dłoń opierała się na kolbie kuszy, którą sam wytoczył. — Bo inaczej by nas...

I usnął, nie kończąc zdania.

Tomaszowi nie chciało się spać, więc wstał i zastąpił Olega, który wprowadził trochę się opierał, ale dość łatwo dał się przekonać, bo oczy mu się kleiły. Natychmiast rozciągnął się na kamieniach. Tomasz narzucił koc na ramiona i pomyślał, że dobrze byłoby dorzucić do ognia, ale zrezygnował. Drzewo trzeba oszczędzać, nie mają go zbyt wiele, a zbliżają się mrozy. Przypomniał sobie, jak było zimno, kiedy poprzednim razem szli na przełęcz. Jak śmiertelnie i beznadziejnie zimno. To było cztery lata temu. I osiem lat temu. I w rok po zbudowaniu osiedla. Najdalej doszli za drugim razem. Inna rzecz, że z tej wyprawy wróciło tylko dwóch. On i Veitkus.

Tomasz popatrzył na młodych. Dlaczego oni nie czują, że na kamieniach jest twardo i zimno? Jakie wewnętrzne, organiczne zmiany zaszły w ich metabolizmie w ciągu tych lat? To przecież dzieci natury, dzikusy patrzące na niego, sędziwego starca, z uprzejmą pobłażliwością tubylców. Dzikusy, które mimo wysiłków i przestróg Borysa z każdym rokiem coraz bardziej oddalają się od ludzkiego świata i coraz lepiej adoptują się do tutejszego świata samotności i szarych chmur. A

Borys tylko w połowie ma rację. Ma rację, że przejście do stanu dzikości jest nieuchronne. Tomasz dostrzega to we własnej córce i w innych malcach. Ale najprawdopodobniej to właśnie jest jedynym wyjściem, jedyną możliwością ratunku. A przełęcz to tylko symbol, w który już nikt nie wierzy, lecz z którego trudno zrezygnować.

Kozioł przestąpił z nogi na nogę, stuknął kopytem o kamień. Dick otworzył oczy i od razu zupełnie trzeźwy nadstawił ucha. Po chwili znów zasnął. Marianna we śnie przysunęła się do Olega i położyła mu głowę na ramieniu. Tak jej było wygodniej. Daleko w lesie coś zadudniło i ucichło. Tomasz wybrał najmniejszy kawałek drewna i dorzucił go do ogniska.

* * *

Kiedy rozwidniło się i przez dziurę w zasłonie wlała się do jaskini niebieska mgła, kiedy w odległym lesie na powitanie nowego dnia zaskrzeczały skoczki, Dick, który pełnił wartę przy wygasłym ognisku i strugał strzały do kuszy, starannie schował gotowe patyki do worka i spokojnie zasnął. Dlatego nikt nie widział, kiedy kozioł wyszedł z jaskini. Gdy Marianna zaraz po przebudzeniu wybiegła zmartwiona na zewnątrz, nie było już po nim nawet śladu.

— Nienawidzę go — powiedziała po powrocie.

— Za to, że ci nie podziękował? — zapytał Oleg.

— Przecież mu z nami lepiej, bezpieczniej.

— Szkoda, że go nie zastrzeliłem o świcie — odezwał się Dick — Chciałem to zrobić, ale pomyślałem, że lepiej to będzie zrobić za dnia.

— To nieuczciwe! — wykrzyknęła Marianna. — Przecież kozioł myślał tylko o własnej skórze.

Oleg wziął skórzane wiadro i poszedł szukać wody.

— Nie zapomnij wziąć dzidy — powiedziała Marianna.

— I nie odchodź zbyt daleko — dodał Tomasz.

— Nie jestem dzieckiem odwarknął Oleg, ale dzidę wziął.

Mgła jeszcze nie opadła, kryła się w zapadliskach, chmury wisiały nisko i gdzieś tam między chmurami a mgłą tworzył się cienki mostek, jak wyciągnięta ręka. Oleg pomyślał, że bardzo chętnie uczepliłby się tej ręce i poleciał z chmurami na południe, ku wielkim lasom i morzu, dokąd w zeszłym roku wyprawili się Sergiejew, Veitkus i Dick. Był z nimi również Poznański, ale nie wrócił. Nie zdołali przebić się zbyt daleko i morza w końcu nie zobaczyli, bo lasy są tam ogromne, pełne drapieżnych lian, dzikiego zwierza i jadowitych gadów, a im cieplej, tym więcej tam stworzeń niebezpiecznych dla człowieka. Ale gdy się leci z chmurami, to można przemknąć nad wierzchołkami drzew i nad morzem, jak zaoblóczne ptaki, które czasami w dobrą pogodę majaczą nad chmurami, ale nigdy nie siadają na ziemi. Ludzie umieją latać, oczywiście umieją, i to znacznie szybciej niż chmury, ale w wiosce wszystko trzeba zaczynać od początku. A to nie jest łatwe, gdyż brakuje narzędzi i czasu. Oleg chciał zrobić balon, ale do jego zrobienia potrzeba bardzo wiele rybich skór, nici i igieł, a nikt poza malcami i Starym nie chciał mu pomagać.

— To całkiem niezły abstrakcyjny pomysł — powiedział wówczas Sergiejew. — Za jakieś sto lat na pewno się tym zajmiemy.

A Stary odpowiedział:

— Za sto lat wszyscy o tym pomysle jak najdokładniej zapomnimy. Wymyślimy sobie bogów, którzy mieszkają w chmurach i nie pozwalają nam, śmiertelnikom, zbliżyć się do ich siedzib.

Ale z balonu nic nie wyszło.

Oleg poszedł w dół zbocza, bo wydało mu się, że tam szmerze woda. W takich miejscach bywają źródła. Znalazł się u szczytu piarżyska, za którym z ziemi wyrastał wierzchołek gigantycznego grzyba. Warstwa mgły spelzła z białawego kręgu i Oleg zobaczył, jak powoli

unoszą się płaty paszczęki, a z mgły po przeciwległej stronie dolinki wytaczają się wolno i uroczyście szare, nieco ciemniejsze od grzyba, gąbczaste, ciastowate kule... Jedna, druga, trzecia, czwarta... To właśnie one były nocnymi gośćmi w jaskini, to tak wyglądają jadowne słonie...

— Myśliwi wracają do domu — powiedział Oleg półgłosem i nagle zrozumiał, że kule toczą się w jego stronę, i to toczą się znacznie szybciej, niż mu się początkowo wydawało. Zaczął się cofać, a kule wtoczyły się kolejno na elastyczną powierzchnię grzyba i ruszyły ku jego środkowi, do otworu utworzonego przez rozchylone płatki, i tak samo kolejno w nim zniknęły. Tylko ostatnia, czwarta, zatrzymała się przez chwilę, jakby chciała sprawdzić, czy w dziennym świetle wszystko jest w porządku, o potem również zwała się w dół i zniknęła. Płatki z leniwym zadowoleniem zetknęły się, powierzchnia grzyba wygładziła się i znów przypominała zwyczajny płat śniegu lub zamrożone jezioro.

Oleg postął jeszcze chwilę, myśląc o tym, w jaki sposób schwytać jednego z jadownych słoni. Przecież z jego skóry dałoby się zrobić prawdziwy balon... Ale nie, nie da się go złapać.

Wstrząsnął się. Z zachodu, gdzie się kierowali, nadleciał nagle przenikliwy, lodowaty wiatr, opalił twarz i ręce. Przypomnił mu o tym, co ich czeka. Ale nie to wzbudziło w chłopaku nagłe przerażenie; przeląkł się, że nie zdołają pokonać przełęczy, jak nie udało się tego dokonać poprzednim wyprawom. Tylko Dick będzie z tego zadowolony, bo będzie mógł wrócić na swój ukochany step, Marianna pocieszy się, kiedy znajdzie jakieś nowe zioła lub grzyby, a Tomasz przyzwyczał się do nieszczęść i nie wierzy w powodzenie. Źle, bardzo źle będzie tylko Olegowi. I Staremu.

* * *

Przez cały dzień szli po otwartym terenie, na którym tylko z rzadka trafiały się kępy niskich krzewów. Było pustynnie i martwo, ale szło się łatwo, więc nawet specjalnie się nie zmęczyli. Tomasz mówił, że wybrali dobrą porę. Lato w tym roku jest ciepłe, a poprzednim razem w tym samym czasie leżał już tu śnieg. Dick nudził się i jak skoczek odbiegał co jakiś czas w bok, ale niebawem wracał zły i rozczarowany, bo bez zdobyczy.

Kozioł miał szczęście, że wrócił akurat wtedy, kiedy Dicka nie było. W przeciwnym razie — tego Oleg był pewien — skończyłby w garnku. To był ten sam kozioł. Wskoczył z zarośli z takim łoskotem, jakiego nie narobiłaby cała zgraja niedźwiedzi. Ludzie czekali na niego z napiętymi kuszami, ale rozpoznali już z daleka. Włochaty olbrzym, wyższy w grzebieniu od Olega, hałaśliwie ucieszył się na widok znajomych i podbiegł do nich z rozgłośnym tętentem.

Od tej chwili już ich nie opuszczał. Ucieszył się nawet z przybycia Dicka, wyczuwając go prawie na kilometr, a potem władował się w sam środek między ludzi, nie chcąc iść z boku lub z tyłu i płącąc się pod nogami. Oleg ciągle się obawiał, że kozioł zaraz nadeptnie mu na nogę ostrym kopytem, ale zwierzę okazało się nadspodziewanie zwinne i delikatne.

Węch i słuch miało wręcz niewiarygodne. Wyczuwało obecność każdego żywego stworzenia na wiele metrów i pod wieczór Marianna utrzymywała już, że rozumie sens wydawanych przez kozła dźwięków — kiedy zapowiada, że przed nimi jest polanka porośnięta smacznymi grzybami, a kiedy trzeba patrzeć pod nogi, bo po ziemi pełzają drapieżne liany.

Na nocleg zatrzymali się na skraju płaskowyżu, kiedy do zmroku było jeszcze daleko. Dalej droga pięła się pod górę i Tomasz powiedział, że trzeba będzie rano odszukać źródło strumienia i wspinać się jego korytem, szeroką dolinką, która potem zwęzi się w wąwóz. Tym właśnie wąwozem będą musieli iść co najmniej dwa dni.

Żadnej grotty albo innej kryjówki tam nie było, więc spali w namiocie, co kozłowi zupełnie się nie podobało i chociaż tej nocy najwyraźniej żadne niebezpieczeństwo nie groziło, zwierzę napierało się, żeby wpuścić je do środka, a w końcu oparło się o namiot, omal go nie przewracając i deptając ludziom po nogach. Wszyscy klęli kozła, ale nie odpędzali, bo było oczywiste, że w tej sytuacji nie muszą wystawiać warty. Gdy pojawi się jakiś nieproszony gość, kozioł z pewnością narobi takiego rwetusu, że umarłego obudzi.

* * *

Nad ranem Oleg straszliwie zmarzł. Nie miał siły się obudzić, a we śnie wydawało mu się, że ktoś topi go w lodowatym bagnie. Zaczął gwałtownie dygotać. Potem nagle zrobiło się trochę cieplej i Oleg zapadł w głęboki, spokojny sen. Obudził się dlatego, że kozioł postanowił wgramolić się wyżej na namiot i boleśnie nastąpił mu na nogę. Oleg podciągnął nogę, otworzył oczy i zobaczył, że Tomasz w nocy zamienił się z nim miejscami i położył się z brzegu. Tomasz był biały z zimna, leżał z zaciśniętymi zębami i udawał, że śpi. Olegowi zrobiło się wstyd. Już we wsi umówili się, że kiedy zrobi się zimno, Tomasza trzeba będzie oszczędzać, bo ma słabe płuca i źle znosi mróz. Młodym jest łatwiej, bo są zdrowi i przyzwyczajeni.

— Tomasz — zawołał cicho Oleg. — Ja już się ogrzałem. Zamieńmy się z powrotem.

— Nie, nie trzeba — wyszeptał Tomasz, ale wargi nie bardzo go chciały słuchać.

Oleg nie spierał się z nim dłużej, tylko wrócił na swoje stare miejsce. Rybia skóra namiotu przepuszczała mróz jak sito i tej nocy pod kocami spali wszyscy, nawet Dick, który twierdzi, że może spać nawet w śniegu, że tak mu jest nawet wygodniej.

— Dziękuję — powiedział Tomasz dzwoniąc zębami. Obudziła się Marianna i od razu wszystko zrozumiała.

— Zagrzej wody — powiedziała. Zaczęła się krzątać po namiocie.

Kozioł zrozumiał, że ludzie się obudzili, zerwał się więc z miejsca, załomotał kopytami i beknął zachęcająco. Widocznie nudził się w nocy. Dick rzucił swój koc Tomaszowi i szybko wyskoczył na zewnątrz.

— Najważniejsze — krzyknął już stamtąd — to się ruszać. Zobaczcie, jak jest ładnie!

Oleg zmusił się do wstania i wyjścia za nim z namiotu.

Dolina, do skraju której wczoraj dotarli, była pokryta śniegiem. Śnieg, który napadał przez noc, był biały i czysty, o wiele jaśniejszy od chmur, które przez kontrast z nim wydawały się teraz ciemnofioletowe. Kozioł stał niedaleko i wygryzał z sierści sopolki lodu. Biała płachta doliny urywała się pod stromym urwiskiem płaskowyżu. Krzewy rosnące na tym stoku wolno poruszały gałęziami, strząsając z nich obłoczki śniegu.

Dick był zły, że zapasy drewna topnieją szybciej, niż to przewidywali, ale powiedział o tym jedynie Olegowi, i to cicho, kiedy odeszli ładny kawałek drogi od namiotu.

— Nie trzeba było brać Tomasza — mruknął. — Będzie chorował.

— Bez niego trudno nam będzie pokonać przełęcz — odpowiedział Oleg.

— Z nim będzie jeszcze trudniej — powiedział Dick, wypuszczając strzałę z kuszy w ciemną skalną niszę, w której Oleg niczego nie zauważył. Ale w niszy zakłębił się śnieg, wypadł z niej królik i wielkimi susami, zarzuciwszy trąbkę na plecy, pognął przed siebie. W jego śladach ciemniały kropelki krwi.

— Pójdę po niego — powiedział Dick.

Olegowi nie udało się go przekonać.

Z Dickiem trudno jest się spierać, bo kiedy jest pewny swego, to nie kontynuuje dyskusji, tylko po prostu odchodzi. A najpotrzebniejsze słowa przychodzą do głowy dopiero wtedy i wychodzi na

to, że Dick w każdym sporze bierze górę, jeśli nawet nie ma racji.

A jak my tam dojdziemy bez Tomasza? — Oleg w myśli kontynuował rozmowę z Dickiem. — Przecież najważniejsza jest nawet nie droga, tylko to, jak się znaleźć i jak postępować później. Przecież będziemy — tam jak głupie szczeniaki, które nie wiedzą, jak się nazywa i do czego służy ten lub inny przedmiot... Przecież jesteśmy dzikusami, które nigdy w życiu nie widziały roweru i dlatego nie wiedzą, czy to właśnie rower, czy też parowóz!? Dickowi zdaje się, że wie wszystko, co może przydać się w wiosce lub w lesie. Może trochę lęka się świata, w którym nie będzie najsilniejszy, najzwinniejszy i najszybszy?

Marianna rozpałała ognisko. Kozioł już przywykł do ognia i uznał, że ogień mu nie zagraża. Dlatego natychmiast włożył do ogniska i Marianna krzyknęła do Olega, żeby odciągnął to przekłete zwierzę. Odciągnięcie dorosłego kozła jest prawie niemożliwe, ale Oleg bardzo się starał. Stłukł kozła drzewcem dzidy, chociaż zwierzę najwidoczniej uznało to za pieszczotliwy wyraz sympatii i radośnie popiskiwało.

Tomasz szybko chodził po śniegu, żeby się rozgrzać. Ciągle jeszcze miał koc na ramionach. Garbił się i wyglądał na bardzo starego człowieka, chociaż Oleg wiedział, że Tomasz ma dopiero czterdzieści lat. Aggie powiedziała kiedyś, że w wiosce procesy starzenia się przebiegają nie wiedzieć czemu znacznie szybciej, a ciocia Luiza dodała wówczas, że od takiej diety dawno powinien wszystkich szlag trafić. Wszyscy mają chroniczne nieżyty żołądka i jelit, cierpią na schorzenia alergiczne, a u starszego pokolenia nerki są już zupełnie do niczego. Inna rzecz, że dzieci są stosunkowo zdrowe i na szczęście miejscowe mikroorganizmy nie przystosowały się do ludzkiego metabolizmu. Jeszcze się nie przystosowały...

— Szkoda, że tu nigdzie nie ma bagna — powiedziała Marianna — Narwałabym Tomaszowi trawy. Wiem, jakiej potrzebuje.

— To dlaczego nie narwałaś jej wcześniej? — zapytał Oleg. Marianna najlepiej z całej wioski знаła się na ziołach, wyczuwała je dosłownie przez skórę.

— Dziwny jesteś — zdumiała się Marianna. — Przecież tę trawę trzeba jeść od razu, dopóki jest świeża. A jak ją przechować?

Zawsze wydawało się jej dziwne, że inni nie wiedzą tego, co dla niej jest oczywiste.

Oleg rozejrzał się dokoła. Jeśli tu nawet gdzieś były bagienka, to zamarzły przez noc. Ale to mało prawdopodobne, żeby były — teren tu jest znacznie wyższy niż w okolicach wioski, bardziej suchy i kamienisty.

— Oleg — zawołał Tomasz. — Podejdz do mnie.

Tomasz ciężko opadł na zwiniętą płachtę namiotu.

— Znów boli mnie grzbiet — powiedział. — Lumbago.

— Później zrobię masaż — obiecała Marianna.

— Dziękuję, to nic nie pomaga — uśmiechnął się Tomasz. Był podobny do ptaka zwanego wroną, jakiego na lekcjach biologii rysował Stary. Do wielkiego ptaka z ciężkim zaostrowym dziobem. — Słuchaj, pamiętasz, gdzie trzymam mapę? Bo przecież wszystko się może ze mną zdarzyć.

— Nic się nie stanie — powiedział Oleg. — Przecież idziemy razem.

— A jednak nie będziemy ryzykować. Potrafisz odczytać mapę?

Mapa była narysowana na kawałeczku papieru, na największym skarbie wioski. Oleg zawsze miał do papieru dziwny, szczególny stosunek. Papier, nawet czysta kartka, był w jakiś czarodziejski sposób związany z Wiedzą, bo po to właśnie, żeby wiedzę wyrazić, został kiedyś stworzony. Był jakby przejawem boskości.

Tomasz, głosem przerywanym atakami kaszlu, zmusił Olega do pokazania na mapie drogi na przełęcz. Trasa była znana, wielokrotnie przebyta w myśli razem z Veitkusem i Starym, ale wtedy,

kiedy mówili o tym w wiosce, odczucie prawdziwej istoty drogi — odległości, zimna, mrozu — było niemożliwe. Bo przecież w domu było ciepło, jasno świeciły kaganki, a za ścianą, szeleścił miarowo deszczyk...

Dick przyniósł zającą. Kozioł nie wiadomo czemu przestraszył się martwego zwierzątka i w gwałtownych podskokach oddalił się aż pod urwisko i zatrzymał się, kręcąc z potępieniem głową.

— Czuj, idiota, co go czeka — powiedział Dick i rzucił zającą na kamień. — Zjedźmy go teraz, to lepiej nam się będzie szło. Tomaszowi też to wyjdzie na zdrowie. Jeszcze lepiej byłoby napić się świeżej krwi, zawsze tak robię na polowaniu, ale Tomasz pewnie nie będzie chciał?

Tomasz pokręcił głową.

— Co robicie? Oglądacie mapę? — zapytał Dick.

— Tomasz każe mi sobie przypomnieć trasę na wypadek, jeśli by mu się coś stało.

— Nie opowiadaj głupstw — mruknął Dick oprawiając zręcznie zającą. — Możesz jeszcze iść. A jak będzie zupełnie źle, to wrócimy.

Oleg doskonale wiedział, że Dick nie chce Tomasza obrazić. Dick przecież od początku mówił, że Tomasz może nie dojść, i uważał, że zatajenie własnych myśli jest głupotą.

— Nie szkodzi — powiedział Tomasz, który zupełnie nie dał po sobie poznać, jak wielką przykrość sprawia mu obojętny ton chłopaka. — Zawsze lepiej być przezornym.

Kiedy pili herbatę — wrzątek z suszonymi korzonkami — kozioł odważył się podejść bliżej, ale nie z tej strony, gdzie Dick rzucił skórkę zającą, lecz z przeciwnej, odgradzając się od skórki ogniskiem i rozłożonym na ziemi namiotem. Wzdychał tak ciężko, że Marianna rzuciła mu kilka suszonych grzybów.

— Nie powinnaś tego robić — powiedział Dick. — Grzybów nie mamy za dużo. Może przecież tak się zdarzyć, że nic więcej nie znajdziemy. A jak wracać?

— Za przełęczą jedzenia jest pod dostatkiem — powiedział Tomasz.

— Nie wiemy wcale, czy to jedzenie jeszcze jest! — warknął Dick. — Głupio byłoby zginać z głodu. A w czasie mrozów trzeba dużo jeść.

— W najgorszym razie zjemy kozła — powiedział Oleg.

— Dlaczego w najgorszym razie? — zdziwił się Dick. — Na pewno go zjemy, i to niedługo, bo jeszcze ucieknie.

— Ani mi się waź! — wykrzyknęła Marianna.

— Dlaczego? — Dick zdziwił się jeszcze bardziej.

— Dlatego, że kozioł jest miły. Wróci z nami do wsi i będzie tam żył. Już najwyższy czas, żebyśmy mieli swoje zwierzęta.

— Ja ci takich kozłów przyprowadzę z lasu, ile tylko będziesz chciała — powiedział Dick.

— Nieprawda, tylko się tak chwalisz. Nie przyprowadzisz, wcale ich tak dużo w lesie nie ma. A jak kozioł nie będzie chciał iść, to go za nic nie przyprowadzisz.

— Trudno będzie, ale pójdziemy razem, bo ty potrafisz rozmawiać ze zwierzętami — powiedział Dick i zaczął kroić zającą na jednakowe części, żeby było sprawiedliwie.

— Nie dam jej zabić — powiedziała Marianna — bo ona będzie miała małe.

— Kto? — zapytał Oleg.

— Kozioł — odparła Marianna. — Kozłica.

— A więc to koza? — zdumiał się Tomasz.

— Tak, kozłica, koza. Jestem pewna.

— To chyba rzeczywiście jest samica — powiedział Tomasz. — Po prostu się dotąd nie przyjrzałem.

— Zabawne — powiedział Dick.

— Nie ma w tym nic zabawnego — odpowiedziała Marianna.

— Robinson Cruzoe też hodował kozy — i pił ich mleko.
— Nic z tego nie będzie — zauważył Dick. — Próbowałem już. To trucizna.
— Marianna ma rację, niech koza sobie żyje — powiedział Tomasz. — Ten eksperyment może przynieść dobre rezultaty. Zawsze trzeba myśleć o tym, co będzie jutro.
— Ale trzeba też do tego jutra dożyć — powiedział Dick.
— Będziemy ją trochę dokarmiać — powiedziała Marianna.
— Tylko spróbuj!
— Będę jej oddawała swoją porcję. — Marianna nie zamierzała rezygnować.
Dick pochylał głowę i przyglądał się jej jak nieznanemu zwierzątku.
Tomasz wstał i zaczął pakować namiot do worka. Dygotał z zimna.
— Może wrócisz? — zapytał go Dick.
— Za późno — odparł Tomasz. — Dojdę.
— Zastanów się — Marianna rozzłościła się na Dicka — jak można tak mówić! W pojedynkę nikt do wioski nie dojdzie.
— Oleg może go odprowadzić.
Dick powiedział to tylko po to, żeby do niego należało ostatnie słowo. Przeliczył się jednak, bo ostatnie słowo należało do Marianny.
— Oleg jest potrzebniejszy za przełęczą niż ty — powiedziała spokojnie.
— Ty też? — zapytał Dick. Twarz miał nieruchomą, tylko blizna nad okiem lekko mu pulsowała.
— Trzeba ruszać — odezwał się Tomasz. — Jeśli dziś utrzymamy dobre tempo marszu, to może zdołamy dotrzeć do płaskowyżu. Poprzednim razem ugrzęźliśmy w tym wąwozie. Śniegu było po pas. I zamieć.
Tomasz szedł pierwszy szerokim łożyskiem strumienia, który po większych deszczach z pewnością zamieniał się w rwący potok, a teraz ledwie ciurkał po kamieniach, roztapiając narosłe na nich przez noc kawałki lodu.
Koza z początku rzuciła się do góry, jakby pokazując drogę, ale potem rozmyśliła się i stanęła. Dick pogroził jej palcem. Zwierzę westchnęło i powlokło się za ludźmi, chociaż czasami przystawało i monotonicznie becząc namawiało do powrotu.
Trochę się ociepliło, śnieg pod nogami zaczął tajać, było ślisko. W ciągu dnia trzeba było chyba z dziesięć razy przechodzić z brzegu na brzeg strumienia, który wił się zakolami po dnie doliny. Nogi — wszystkim zmarzły na kość.

* * *

Dolinka, którą spływał strumień, zwężała się stopniowo, ciemne kamienne ściany stawały się coraz bardziej strome i schodziły się coraz bliżej, kryjąc potok w wiecznym cieniu. Jego szum nabrał mrocznej barwy i dudnił między skalnymi ścianami jak w beczce. Było ponuro i groźnie — nikt z nich, poza Tomaszem, nie był przedtem w górach i nawet Dick stracił swą niezmienną dotychczas pewność siebie, nie wybiegał do przodu, tylko wciąż zerkał w górę, jakby się bał, że za chwilę spadnie mu na głowę jakiś kamień, i często pytał Tomasza:

— No jak, szybko wyjdziemy?

— Do wieczora powinniśmy się stąd wydostać — odpowiedział Tomasz.

Tomasz, podobnie jak pozostali, rozgrzał się i nawet spocił, prawie nie kasłał i szedł szybciej niż wczoraj. Tylko czasami chwytął się za bok.

— Tomasz, poznajesz okolice? — zapytała Marianna.

Dziewczyna szła z tyłu i poganiała kozę, której cała ta podróż ostatecznie się znudziła i dlatego

wlokła się z największą niechęcią, najwyraźniej tęskniąc za rodzinnym lasem.

— Jak by ci tu powiedzieć... zawahał się Tomasz. — Poprzednim razem już tu nie dotarliśmy. A kiedy kilkanaście lat temu szliśmy z przełęczy, leżał tutaj śnieg, dni były krótkie, a my prawie nie rozglądaliśmy się na boki. Zaświtała nam wtedy nadzieja, po raz pierwszy zaświtała nadzieja. Byliśmy jednak już bardzo zmęczeni. Droga do wioski zabrała nam prawie tydzień...

Dick, idący przodem, nagle znieruchomiał i uniósł rękę.

Wszyscy stanęli. Zatrzymała się nawet koza, jakby i ono zrozumiała rozkaz.

Dick, z kuszą gotową do strzału, wolno ruszył na przód.

— Patrzcie! — krzyknął. — Oni naprawdę tędy szli. Za wielkim kamieniem, polśniewając matowo i odbijając się w płyciźnie strumienia, leżała cudowna rzecz.

Ten przedmiot zrobiony był z białego metalu i przypominał spłaszczoną kulę z białym narostem u góry. Do przedmiotu był przymocowany pasek, żeby go można było nosić przez ramię.

Dick podniósł przedmiot i powiedział:

— Pewnie kamień na niego spadł i wgniótł.

— Nie, to nie kamień. Tak było od nowości — powiedział Tomasz, podchodząc do Dicka i wyjmując mu przedmiot z ręki. — Tu był nasz ostatni popas przed do liną. Ostatni popas. I ktoś... No, oczywiście Veitkus! To jest manierka Veitkusa. Ale się ucieszy, kiedy mu ją przyniesiemy!

— To się nazywa manierka? — zapytała Marianna, przyglądając się błyszczącemu przedmiotowi.

Tomasz poruszył przedmiotem i wszyscy usłyszeli, że wewnątrz pluszcze woda.

— Wygodna rzecz — powiedział Dick.

— Specjalnie ją tak robili — powiedział Tomasz, ostrożnie odkręcając korek — żeby było wygodniej nosić na boku.

— Ładna — powiedziała Marianna.

— Będę z nią chodził na polowania — zdecydował Dick. — Veitkusowi manierka nie jest potrzebna, bo jest chory i ciągle siedzi w domu.

Tomasz uniósł manierkę do góry i powąchał.

— Cholera! — wykrzyknął. — Ja chyba zwariowałem.

— Co się stało? — zapytał Oleg. Bardzo chciał potrzymać manierkę w rękach, była przecież dla niego symbolem tych wszystkich pięknych rzeczy, tych umiejętności, które zostały za przełęczą.

— Dzieciaki, słuchajcie, to przecież jest koniak!

Koza odeszła na bok i beknęła ze zdziwienia. Oleg podszedł do niej. W zagłębieniu między kamieniami leżał stos metalowych puszek i małych naczynek. Takiego skarbu nigdy w życiu nie widział i nawet nie wyobrażał sobie, że może istnieć.

— Tomaszu! — zawołał. Popatrz, co jeszcze tu zostawiliście, o czym zapomnieliście!

— Nie zapomnieliśmy — odpowiedział Tomasz. Rozumiesz, myśmy wtedy uwierzyli, że dojdziemy do lasu i po raz ostatni zjedliśmy prawdziwy posiłek. To są puszki po konserwach, rozumiesz? Niepotrzebne puszki po konserwach.

— Niepotrzebne?

— Wtedy wydawały się nam niepotrzebne — Tomasz znów powąchał zawartość manierki — Oszaleje, to mi się po prostu śni.

— A więc to prawda — powiedział Dick. — Więc na prawdę tędy szliście... Bo czasami wydawało mi się, że to tylko bajka, że wioska była zawsze — Wiesz, ja też czasami tak myślę — uśmiechnął się Tomasz.

Upił łyk z manierki, posmakował i zmrużył z zadowolenia oczy.

— Będę żył — powiedział. Rozkaszał się, ale nie przestał się uśmiechać.

Marianna zbierała puszki po konserwach i wkładała je do worka. Koza hałaśliwie wzdychała i

popiskiwała. Jej puszki zupełnie się nie podobały. Były obce.

— Nie musisz ich ze sobą ciągnąć — roześmiał się Tomasz — Nie trzeba! To przecież tylko puste puszki. Jak będziesz chciała, to weźmiesz sobie choćby tysiąc. Rozumiesz?

— Nie wiem — powiedziała trzeźwo Marianna. — Jeśli nie znajdziemy niczego, te puszki mogą się nam bardzo przydać. Nie wrócimy z pustymi rękami. Z tych puszek ojciec potrafi wiele zrobić.

— W takim razie zabierzesz je w powrotnej drodze — zauważył Oleg, bardzo chciał spróbować koniaku, który tak ucieszył Tomasza.

— A jak ktoś je zabierze? — zapytała Marianna.

— Kto ma je zabrać? — zdziwił się Tomasz. — Przez tyle lat nikt nie ruszył. Kozłom puszki nie są potrzebne.

Marianna zebrała jednak puszki co do jednej. Nawet dziurawe.

Dick powiedział;

— Tomasz, daj spróbować.

— Nie będzie ci smakować — odparł Tomasz — Koniak dla dzieci i dzikusów nie jest wskazany.

Podał jednak manierkę Dickowi. Zawsze trzeba prosić, pomyślał Oleg, ja zawsze tylko o czymś myślę, a Dick bierze.

— Tylko ostrożnie — powiedział Tomasz. — Jeden maleńki łyżeczek.

— Nie bój się odpowiedział Dick. — Jeśli ty możesz, to ja tym bardziej. Jestem od ciebie silniejszy.

Tomasz nie odezwał się, ale Olegowi wydało się, że stary mężczyzno lekko się uśmiecha.

Dick uniósł manierkę i pociągnął duży łyk. Widać ten koniak był bardzo gorzki, bo chłopak wypuścił naczynie i okropnie się rozkasał. Tomasz ledwie zdążył chwycić manierkę.

— Przecież mówiłem — powiedział z wyrzutem, ale bez śladu współczucia.

Marianna podbiegła do czerwonego jak burak, nieszczęśliwego Dicka, który wydusił z siebie.

— Wszystko płonie!

— Dlaczego mu pozwoliłeś, dlaczego? — gniewała się Marianna na Tomasza. Rzuciła się do swojego worka i zaczęła w nim czegoś gorączkowo szukać. Oleg wiedział, że szuka ziela na oparzenie.

— Zaraz mu przejdzie — powiedział Tomasz — Przecież jesteś dzikusiem, Dick. Powinieneś nieznany płyn potraktować jak truciznę i spróbować najpierw końcem języka...

— Uwierzyłem — warknął Dick — Rozumiesz, uwierzyłem! Ty przecież piłeś!

Czuł się poniżony, a poniżenia nie znośił.

— Masz trawkę — powiedziała Marianna — Pogryź, to pomaga.

— Nie trzeba — powiedział Dick.

— Już mu przeszło — mruknął Tomasz — Teraz mu już jest przyjemnie.

— Nie — powiedział Dick, ale skłamał.

Oleg widział, że Dick kłamie.

— Są jeszcze chętni? — zapytał Tomasz. — No jak, moi odważni współplemieńcy, kto jeszcze chce się oparzyć? Tylko pamiętajcie, że właśnie to amerykańscy Indianie nazywali wodą ognistą.

— A potem wpadli w nałóg i oddawali za bezcen ziemię białym kolonistom? — przypomniał sobie Oleg lekcję historii. Za taki sam koniak?

— Właśnie. Tylko tamte napoje były znacznie gorszej jakości. Tomasz przewiesił manierkę przez ramię Dick patrzył na nią łakomie. Chętnie wylałby z niej przeklęty koniak i nalał wody.

Rozsiedli się na kamieniach, żeby trochę odpocząć. Marianna rozdała wszystkim po garści suszonych grzybów i po kawałku wędzonego mięsa Kozie też dała trochę grzybów, na co Dick

skrzywił się z niechęcią i naganą, ale nic nie powiedział. Koza schrupała poczęstunek i zerkała z nadzieją na Mariannę. W tej okolicy trudno jej było zdobywać pożywienie, więc była głodna.

— Czy wszystkie wasze zapasy były w tych puszkach? — zapytał Oleg.

— Nie tylko — odparł Tomasz. — Jedzenie było w skrzynkach, pudełkach, pojemnikach, butelkach, tubkach, słoikach, workach i w różnych innych opakowaniach. Jedzenia, moi drodzy, było bardzo dużo. Były tam jeszcze papierosy, które mi się często śnią po nocach.

I nagle Oleg zrozumiał, że znalezienie manierki i puszek po konserwach podziało nie tylko na niego czy Dicka. Najbardziej zmienił się po tym fakcie Tomasz. Jakby do tej chwili sam nie bardzo wierzył, że był kiedyś za przełęczą, miał coś wspólnego z innym światem, gdzie je się z błyszczących puszek i pije koniak z manierek. I ten, obcy, ale upragniony przez Olega i właściwie niepotrzebny Olegowi świat, natychmiast oddalił Tomasz. Przecież w istocie Tomasz był jednym z tych, zmarłych lub dożywających ostatnich dni ludzi, dla których las i te ośnieżone góry były symbolem ślepego zaułka i beznadziei, a dla Olega i tym bardziej Dicka — jedynym znanym miejscem w całym wszechświecie.

— Chodźmy — powiedział Tomasz, wstając z kamienia. — Teraz niemal już uwierzyłem, że dojdziemy, chociaż najtrudniejsza część drogi jest jeszcze przed nami.

Poszli dalej. Marianna trzymała się blisko Dicka, bo obawiała się, że mu się coś stanie. Marianna zawsze wszystkim współczuła. Ta jej cecha wzruszała Olega, ale teraz tylko złościła. Przecież było jasne, że Dickowi nic nie jest, tylko oczy mu błyszczą i mówi głośniejszym głosem niż zazwyczaj.

— To są drzwi — powiedział Tomasz, idący obok Olega. — To są drzwi, za którymi zaczynają się moje wspomnienia. Rozumiesz mnie?

— Rozumiem.

— Przedtem mogłem się jedynie domyślać — ciągnął Tomasz. — I zupełnie zapomniałem o tym ostatnim popasie. Twoja matka niosła cię na rękach. Zupełnie straciła siły, ale nikomu nie chciała cię oddać. A ty milczałeś. Dick wrzeszczał, co powinno robić głodne i zziębnięte niemowlę. A ty milczałeś. Aggie ciągle krążyła wokół twojej matki. To były właściwie jeszcze młodzianki dziewczyny, najwyżej dwudziestopięcioletnie, i przyjaźniły się od dawna. Aggie chciała sprawdzić, czy jeszcze żyjesz, ale matka jej nie pozwalała. Straciła wszystko i zostałaś jej tylko ty, dlatego cię tak kurczowo trzymała.

Tomasz nagle rozkasnął się tak gwałtownie, że aż go zgięło w pół. Oparł się ręką o kamienną ścianę wąwozu i wtedy Oleg zauważył, jakie jego palce są żółte i cienkie. Dick i Marianna szli dalej i po chwili zniknęli za zakrętem.

— Wezmę worek — powiedział chłopak.

— Nie, zaraz mi przejdzie. Zaraz przejdzie... — Tomasz uśmiechnął się przepraszająco. — Wydawałoby się, że to ja powinienem wami dowodzić, dawać przykład wyrostkom. A tymczasem ledwie powłóczę nogami... Wiesz, pomyślałem sobie, że jeśli napiję się koniaku, poczuję się jak nowo narodzony. A to przecież naiwna myśl...

— Łyknij sobie jeszcze — poradził Oleg.

— Nie trzeba. Odzwyczałem się. W dodatku mam gorączkę... Żeby tylko dotrzeć do przełęczy! W takim stanie powinienem leżeć w szpitalu i leczyć się, a nie uprawiać wspinaczkę. Ale bardzo bym chciał dojść.

Po jakichś dwóch godzinach wąwóz się skończył niewysokim urwiskiem, z którego małą siklawą spadał strumień. Ale sforsowali je z wielkim trudem. Tomasz tak osłabł, że trzeba go było dosłownie wciągnąć na górę. Kozę wwindowali na linach i przerażone zwierzę tylko cudem nikogo nie pokaleczyło, wierzgając cienkimi, opancerzonymi nogami.

To było bardzo dziwne uczucie: przez wiele godzin szli ciasnym mrocznym wąwozem, słysząc tylko szmer płynącej wody, i nagle znaleźli się na ogromnej otwartej przestrzeni, jakiej Oleg nigdy

przedtem nie widział i nawet nie potrafił sobie wyobrazić.

Pokryty śniegiem płaskowyż rozciągał się na parę kilometrów, opierając się o ścianę gór za plecami. A w przodzie opadał ku szerokiej dolinie, najpierw nagiej, kamienistej, a dalej upstrzonej punkcikami drzew i krzewów. Jeszcze dalej, u linii horyzontu, punkciki te zlewały się w ogromny, nieskończony las. Tam, o trzy dni drogi, leżała wioska.

— Właśnie tutaj powiedział Tomasz — ciężko łapiąc oddech — właśnie tutaj zrozumieliśmy, że jesteśmy uratowani. Szliśmy od strony gór, co mówię, szliśmy, czołgaliśmy się dźwigając chorych, zamierzając na śmierć, w nic już nie wierząc, i nagle wyszliśmy na skraj tego płaskowyżu. Jak widzicie, wznosi się on trochę w naszą stronę i dlatego, dopóki nie dotarliśmy tutaj, nie wiedzieliśmy, że może nam zaświtać nadzieja. Walił śnieg, była ciężka zamieć... Kto był pierwszy? Chyba Borys. No tak, Borys. Wysforował się do przodu i nagle stanął. Pamiętam, jak nagle znieruchomiał, ale byłem wówczas tak potwornie zmęczony, że nawet mnie to nie zainteresowało. A kiedy podszedłem do niego, niczego mi nie powiedział. Płakał i całą twarz miał oblodzoną. Widzialność tego dnia była bardzo zła, ale czasami tuman śniegu rzedł na chwilę i mogliśmy się zorientować, że tam, w dole, jest dolina, a w dolinie rosną drzewa. To znaczy, że jest życie.

Wiał wiatr, na szczęście niezbyt silny, koza zaczęła skakać, dokazywać, cieszyć się z wolnej przestrzeni. Biegała, podrzucając kosmatym zadem i zostawiając na śnieżnym całunie głębokie, trójkątne ślady. Zatrzymała się koło brunatnej łysiny i, popiskując z radości, zaczęła przeorywać zmarzniętą ziemię rogową naroślą, która sterczała jej na nosie. Widocznie w ziemi kryło się coś nieprawdopodobnie smacznego.

— Tu nie ma zwierzyny — powiedział Dick z potępieniem w głosie. Zwrócił się przy tym do Tomasza, jakby to on był temu winien.

— Jeśli wszystko pójdzie dobrze — odparł Tomasz — za jakieś trzy albo cztery dni będziemy na miejscu.

— Podobno wy szliście dwa tygodnie.

— Szliśmy trzynaście dni. Ale wtedy była zima, mieliśmy wielu chorych i rannych, a teraz idziemy bez obciążenia. To zdumiewające, jakby to było wczoraj: stoimy z Borysem i patrzymy w dół. I rozumiemy, że zaświtała nadzieja.

Zanim zapadły ciemności, udało się im pokonać płaskowyż i dojść do podnóża gór.

* * *

W nocy mocno się oziębiło. Był taki mróz, że Dick i Oleg położyli Tomasza i Mariannę między sobą. Tomasz był taki zmordowany, że nawet nie oponował. Ciało miało gorące, ale w żaden sposób nie mógł się zagrzać i kiedy napadał go atak kaszlu, Oleg obejmował go, starając się go rozgrzać, a Marianna dawała mu miksturę na kaszel, którą sama przyrządziła. Marianna nie spała i żeby jakoś wypełnić czas, rozmawiała po cichu z Olegiem Dick, który był bardzo śpiący, zaczął demonstracyjnie parskać, a potem powiedział:

— Jutro nie będzie dziennego postoju, rozumiano?

— No i co z tego? — zapytał Oleg.

— A to, że zmuszę was do marszu, choćby nie wiem co.

— Nie bój się — uspokoił go Oleg. — Przez nas nie będzie żadnego opóźnienia.

— Nie obchodzi mnie, przez kogo!

Oleg zmilczał. Rozumiał, że Dick ma na myśli Tomasza. Obaj myśleli, że Tomasz śpi i nie słyszy. Ale Tomasz usłyszał i powiedział:

— Wygląda na to, że mam zapalenie płuc. Przepraszam was, że tak się stało.

Rozbili namiot w rozległej skalnej niszy. Było w niej o wiele cieplej niż na otwartej przestrzeni, więc koza dreptała w pobliżu, a potem, ciężko wdychając, zaczęła grzebać w ziemi.

— Czego ona tam szuka? — zapytała szeptem Marianna.

— Ślimaków — odpowiedział Oleg — Widziałem, jak znalazła ślimaka.

— Myślałem, że tu jest dla nich za zimno.

— Przecież my wytrzymujemy, to i one mogą.

— Ni cholery tu nie ma — warknął Dick. — Spijcie! Tomasz znów się rozkaszał i Marianna ponownie dała mu lekarstwo. Słysząc było, jak Tomasz dzwoni zębami o krawędź kubka.

— Powinieneś wrócić — mruknął Dick.

— Za późno — powiedział Tomasz. — Nie dojdę do osiedla.

— Głupi jesteś, Dick! — wykrzyknęła Marianna. Zapomniałeś o prawie.

— O niczym nie zapomniałem — powiedział głośno Dick. — Ja wiem, że powinniśmy się opiekować chorymi. Wiem, co to jest obowiązek, wiem nie gorzej od ciebie. Ale zawsze mi powtarzali jedno i to samo: jeśli teraz nie dotrzemy do przełęczy, jeśli nie przyniesiemy narzędzi i żelaza, to wioska może zginąć. Nie ja to wymyśliłem, bo nie wierzę, że wioska zginie. Doskonale sobie radzimy bez żelaza i różnych takich. Ja ze swojej kuszy potrafię ubić niedźwiedzia na sto kroków.

— Nic dziwnego — powiedział Oleg. — Przecież masz żelazne groty do swoich strzał. Gdyby Siergiejew ich nie wykuwał, jak byś sobie poradził z tym niedźwiedziem?

— Mogę zrobić groty z kamienia. Tu nie chodzi o materiał tylko umiejętność. Teraz pognali nas tutaj, w góry...

— Nikt cię nie gnał — powiedział Oleg — Sam poszedłeś.

Sam. Ja się niczego nie boję, ale wszyscy doskonale wiecie, że za parę dni zaczną walić śnieg i jeśli będziemy iść noga za nogą, to nigdy nie pokonamy przełęczy. Możemy utknąć tam na zawsze i nie wrócić. A to nie ma sensu.

— Co więc proponujesz? — zapytał Oleg.

Ani Tomasz, ani Marianna nie wtrącali się do ich sporu, ale uważnie mu się przysłuchiwali. Olegowi wydawało się, że nawet koza nadstawiała ucha.

— Proponuję zostawić tu Mariannę z Tomaszem. Dać im koce i żywność. Zostawić wszystko. My we dwóch bez obciążenia z łatwością dotrzemy do przełęczy.

Oleg nie odpowiedział, bo rozumiał, że Tomasz nie wolno zostawiać. Nie wolno go pozbawiać celu. To go zabije. Ale może Dick myśli, że on się boi iść dalej w dwójkę?

— Przestraszyłeś się? — zapytał Dick.

— Nie o siebie — odezwał się wreszcie Oleg. — Jeśli Tomasz będzie chory, to nie zdoła obronić Marianny. A Marianna jego... A jeśli tu są drapieżne zwierzęta? Jak sobie z nimi poradzą?

— Marianna, dasz sobie radę? Dick nie zapytał, ale jakby rozkazał.

— Dojdę — powiedział Tomasz. — Dojdę, nie bójcie się. Muszę dojść... Idę tam już od szesnastu lat, więc muszę dojść, zrozumcie!

Głos Tomasza był gorący i gorączkowy, jakby pełen łez.

— W takim razie śpij — powiedział Dick po długiej pauzie, w trakcie której nikt niczego nie powiedział, nikt mu nie przyznał racji, ale też nie przekonał go o swojej słuszności.

A rano spór rozstrzygnął się sam. Z bardzo prostej przyczyny. Kiedy Oleg obolały, przemarznięty i zdrtwiał wygramolił się z niszy i, mrużąc oczy od jaskrawego światła, wybiegł za skałę, żeby załatwić małą potrzebę, zobaczył na białej płachcie płaskowyzu — wiatr przez noc zasypał wszystkie ślady ludzi — łańcuch wielkich zagłębień, w których nawet nie od razu domyślił się śladów. Wyglądało to tak, jakby jakiś olbrzym odbijał w śniegu wielkie beczi.

Oleg obudził Dicka i razem z nim ruszył ostrożnie wzdłuż śladów, w tym kierunku, który

wskazywały wgłębienia od pazurów. Trop kończył się przy stromym urwisku, a więc zwierzę potrafiło również wdrapywać się na skały.

— Jaki on jest? — zapytał Oleg szeptem.

— Może własnym ciężarem zmiążdżyć dom — odparł Dick. — żeby takiego upolować!

— Próżne nadzieje — powiedział Oleg. — Nawet strzała z twojej kuszy nie przebije mu skóry.

— Będę jednak próbował mruknął Dick — Wracamy?

— Nie chciałbym zostawić tu Marianny z Tomaszem — powiedział Oleg.

— Przecież nie nalegam, chociaż to zwierzę może być trawożerne.

— Nie wolno ryzykować, nawet gdyby to była tylko wędrowna roślina...

— Gdzie byliście? — zapytała Marianna, która zdążyła już rozpalic ognisko. — Tomaszowi spadła gorączka To dobrze, prawda?

— Dobrze — odpowiedział Oleg.

Powiedzieli jej o śladach, bo Marianna i tak by je zobaczyła. Ale dziewczyna wcale się nie zlekła. Mało to rozmaitych zwierząt żyje dokoła? Kiedy się je pozna, to okazuje się, że wcale nie wszystkie są złe i niebezpieczne. Zwierzęta zajęte są własnymi sprawami.

— Siadajcie — powiedziała Marianna. — Zjemy śniadanie.

Spod namiotu wygramolił się Tomasz. Był błądy i chwiał się na nogach. W rękę trzymał manierkę. Siadając koło Olega odkręcił ją i łyknął koniaku.

— Trzeba się rozgrzać — powiedział ochryple. — Lekarze przepisywali kiedyś chorym i osłabionym czerwone wino.

Marianna sięgnęła po swój worek. Wytoczył się z niego małe grzyby. Worek był rozdarty, pogryziony i pusty.

— A gdzie są grzyby? — zapytała Marianna Tomasza, jakby to on miał wiedzieć, gdzie są grzyby.

— Co? — Dick zerwał się na równe nogi. — Nie schowałaś na noc worka pod namiot?!

— Byłam okropnie zmęczona — powiedziała Marianna. — Myślałam, że położyłam go pod spód, a on został na zewnątrz.

— Gdzie jest to bydło? — zapytał Oleg cicho. — Zapłaci nam za to.

— Zwariowałaś! — krzyknęła Marianna. — Może to wcale nie koza?

— A kto? Ty? Tomasz? Co my teraz będziemy jedli? Jak dojdziemy?

— Mamy jeszcze mięso — powiedziała Marianna.

— Pokaż. Może jego też nie ma?

Dick miał rację. Mięso też znikło. Zostało najwyżej dwadzieścia kawałków.

— Ja nie żartuję. — Dick chwycił kuszę. Koza, jakby domyślając się, co jej grozi, gwałtownie odskoczyła za skałę.

— Nie uciekniesz! — powiedział Dick.

— Poczekaj — powstrzymał go Oleg. — Poczekaj, zawsze zdążysz to zrobić. Przecież Marianna chce je hodować. Wiesz dobrze, co to znaczy dla wioski. Zawsze będziemy mieli mięso!

— Dla wioski najważniejsze jest, żebyśmy nie zdechli z głodu! — krzyknął Dick. — Jesteśmy jej nadzieją. Bez nas koza sama do wioski nie przyjdzie. Ona też nie ma co zjeść, więc zaraz ucieknie.

— Nie, Dick, bardzo cię proszę — powiedziała błagalnie Marianna. — Przecież koza będzie miała małe, rozumiesz?

— No to idziemy z powrotem powiedział Dick. — Skończyła się nasza wyprawa. Nie widzę w niej żadnego sensu.

— Czekaj — powiedział Tomasz. — Na razie jeszcze ja decyduję. Jeśli chcesz, pozwalam ci wrócić. Dojdiesz, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Ja pójdę dalej, a ze mną ci,

którzy będą chcieli.

— Pójdę dalej — odezwał się Oleg. — Nie możemy czekać jeszcze trzy, lata, bo nie wiadomo, co się przez ten czas stanie.

— Ja też pójdę dalej — powiedziała Marianna. — Dick też pójdzie Nie myślcie, że on jest zły. Chce tylko, żeby było jak najlepiej.

— Nie musisz im tego tłumaczyć! — warknął Dick. — Ja zresztą i tak zabiję to bydło.

— Na dziś jeszcze mamy jedzenie — powiedział Tomasz. — Byłoby nieźle wrócić z kozą. Może nawet uda się ją objuczyc. W każdym razie i tak idziemy dwa razy szybciej niż wtedy. — Łyknął jeszcze koniaku i poruszył manierką, która cicho zabulgotała. Było jasne, że wody ognistej zostało już bardzo niewiele.

— Jeszcze dzień — zauważył Dick — i na powrót będzie za późno. A ciebie, Tomasz, dotyczy to bardziej niż kogokolwiek z pozostałych. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Marianna zakrzętała się przy ognisku, żeby jak najszybciej zagotować wodę. Zostały jej jeszcze słodkie korzonki, ze dwie przygarści. Oleg pomyślał, że nie jest jeszcze najgorzej...

* * *

Już po dwóch godzinach marszu Oleg pomyślał, że Dick miał jednak rację. Szli bezdrożem, przez głęboki śnieg, ciągle pod górę, a w dodatku trzeba było obchodzić skały, pokonywać szczeliny i lodowce. Powietrze było mroźne, ostre i zapierało dech w piersi. Oleg przywykł do tego, że nigdy prawie nie zaznawał uczucia sytości, ale nigdy dotąd nie głodował naprawdę, bo w wiosce były przecież jakieś tam zapasy żywności. A teraz głód dopadł go od razu, gdy tylko stało się oczywiste, że czekają ich wszystkich dni bez jedzenia, zupełnie bez jedzenia. Złapał się na tym, że patrzy łakomie na kozę, że marzy, aby wpadła do szczeliny skalnej i zabiła się, bo wtedy wszystko rozwiązałoby się samo i on, Oleg, nie musiałby postępować wbrew sobie.

Tomasz jakby podsłuchał jego myśli, bo powiedział:

— Mamy szczęście, że mięso samo idzie. Teraz nie mielibyśmy siły go nieść.

— Stójcie!

To był głos Dicka, który podszedł do kozy trzymając mocną linkę uplecioną z wodorosli. Zarzucił ją zwierzęciu na szyję, a ono pokornie czekało, aż zaciągnie pętlę. Potem Dick podał koniec postronka Mariannie i powiedział:

— Prowadź ją. Nie chcę ryzykować.

Olegowi było ciężko. Wyjął z worka Tomasa jego drewno i teraz własny wrzynał mu się w ramiona i przyginał do ziemi.

Okolo południa zatrzymali się. Odpoczywali długo, bo wszyscy opadli z sił, a Tomasz tak się chwiał przy każdym kroku, że chciało się go podtrzymać. Twarz mu poczerwieniała, oczy zapuchły, ale on z uporem szedł ku swojej przełęczy, ku przełęczy, która znaczyła dla niego więcej niż dla pozostałych.

W jakieś dwie godziny po wyruszeniu w dalszą drogę Tomasz zaczął niespokojnie rozglądać się dookoła.

— Czekajcie — powiedział. — Żebyśmy tylko nie zbłądzili. Tutaj powinien być obóz. Pamiętam tę skałę.

Usiadł na płaskim kamieniu, rozwinął drżącymi rękami mapę i zaczął wodzić po niej palcem. Dickowi nic to nic mówiło, więc poszedł naprzód, mając nadzieję coś upolować. Oleg przykucnął obok Tomasa.

Mapa była narysowana tuszem jeszcze wówczas, kiedy był tusz — gęsta pasta, którą napełniono długopisy. Oleg widział długopisy, ale one wcale nie pisały.

Mapę zrobili już wtedy, kiedy zaczęli budować pierwsze domy i postanowili, że przy najbliższej okazji wrócą na przełęcz.

— Jesteśmy tutaj — powiedział Tomasz. — Mamy to sobą już ponad połowę drogi. Nawet nie przypuszczałem, że można tak szybko iść.

— Mamy dobrą pogodę — zauważył Oleg.

— Wszystko wskazuje na to, że tu nocowaliśmy — ciągnął Tomasz. — Powinny być ślady, a niczego nie widzę.

— Minęło tyle lat — powiedział Oleg.

— No tak... — mamrotał pod nosem Tomasz. — Grupa skał... Trzy skały. Nie, cztery... Acha, o mało nie zapomniałem... — Odwrócił się w stronę Olega: Weź to. Koniecznie. Bez tego nie waz się wchodzić do statku. Pamiętasz?

— To jest... licznik promieniotwórczości, prawda?

— Tak. Przecież wiesz, dlaczego nie mogliśmy zostać. Promieniotwórczość. Z mrozem byśmy sobie poradzili.

— Może trochę się prześpisz? — zapytał Oleg. — Odpoczniesz, a potem ruszymy dalej.

— Nie, nie wolno się zatrzymywać, bo to śmierć. Odpowiadam za was. Gdzie jest ten obóz? Trzeba kopać głębiej... Pochowaliśmy ich, ale nie mieliśmy siły kopać głęboko, o koniecznie trzeba kopać głęboko, rozumiesz?...

Oleg podtrzymał Tomasza, który zaczął spadać z kamienia.

Wrócił Dick, zerknął z potępieniem na to, jak Oleg zawija Tomasza w koce, a Marianna rozdmuchuje ognisko, żeby zagrzać napar. Dziewczyna przestraszyła się, bo Tomasz był naprawdę bardzo chory... Dick milczał, ale Oleg był prawie pewny, że powtarza w duchu: „A nie mówiłem?”

Oleg sam odkręcił pokrywkę manierki i powąchał koniak — zapach był ostry, raczej przyjemny. To nie nadawało się do picia! Zbliżył manierkę do spieczonych warg chorego. Tomasz wymamrotał coś, łyknął trochę koniaku i nie wiedząc czemu powiedział wyraźnie: „skool!”

Dalej mogli wyruszyć dopiero o zmroku. Tomasz oprzytomniał i na tyle przyszedł do siebie, że mógł iść zakutany w koce. Jego worek niósł Oleg, a kuszę wziął Dick. Szli tak, a właściwie wdrapywali się po stoku może z godzinę, a potem zrobiło się ciemno i musieli szukać noclegu.

Oziębilo się. Niebo miało tam zupełnie inną barwę — nie tylko szarą, jak w lesie — pod wieczór polśniewało odcieniami czerwieni i fioleto. To było niezwykle i dlatego groźne.

Bardzo chciało się jeść, tak bardzo, że Oleg gotów był żuć kamienie. I jeszcze ta bezczelna koza, która, gdy tylko rzucili worki na śnieg, podbiegła do nich i spróbowała rozrzucić je rogiem, jakby ludzie nie mieli nic innego do roboty, jak tylko chować przed nią jedzenie.

— Uciekaj! — krzyknął na nią Oleg i rzucił kamieniem. Koza odskoczyła z głośnym bekiem.

— Daj spokój — powiedziała cicho Marianna. Dziewczyna upadała ze zmęczenia. Poczerniała i jakby się skurczyła. — Przecież ona nie rozumie. Ona myśli, że dostanie jeść, bo potrzebuje więcej niż człowiek.

Tego wieczoru Dick uderzył Mariannę.

Przeżuwali ostatnie kawałki mięsa, cieniutkie, nędzne skraweczki, i popijali je wrzątkiem. To było oszukaństwo, a nie jedzenie, bo człowiek musi zjeść przynajmniej garść wędzonego mięsa, żeby poczuć się sytym. A Marianna ukradkiem oddała swój kawałek wędzonki tej nieszczęsnej kozie. Myślała, że nikt tego nie zauważy, ale zauważyli wszyscy poza Tomaszem, który był półprzytomny. Oleg nie zareagował, ale postanowił powiedzieć później Mariannie, że to nie ma sensu. Doskonale rozumiał Mariannę, rozumiał jednak i to, że nie ma sensu karmić głupiej kozy, kiedy sami ludzie niedługo umrą z głodu.

Dick nie zamierzał przejść nad tym do porządku dziennego. Wyciągnął nad ogniskiem rękę z

długimi, silnymi palcami i krótko, na odlew, uderzył Mariannę w twarz. Dziewczyna krzyknęła:

— Za co?

Oleg rzucił się na Dicka, który bez trudu go odtrącił.

— Idioci! — powiedział wściekłym głosem. — Banda idiotów. Postanowiliście zagłodzić się na śmierć! W ten sposób nigdy nie dojdziecie do przełęczy!

— To mój kawałek mięsa — powiedziała Marianna. Oczywiście miała suche i złe. — Nie chce mi się jeść.

— Chce ci się! — warknął Dick. — Jeszcze jak ci się chce! A na jutro zostało tylko po dwa kawałki mięsa. Po dwa małe kawałki. A droga idzie wciąż pod górę. Po co ja z wami poszedłem!

Nagle wyszarpnął zza pasa nóż i nie odwracając się rzucił nim w kozę. Nóż wyrwał klak zielonkawej sierści i uderzył z brzękiem w skałę. Dick poderwał się na równe nogi, a koza odskoczyła jak oparzona. Dick podniósł nóż. Jego czubek był ułamany.

— Idioci! — wrzasnął chłopak. — Dlaczego nikt tu niczego nie rozumie? Dlaczego nikt nie rozumie, że już nigdy nie wrócimy do domu?...

Nie patrzył na płaczącą teraz Mariannę, na Olega, który zaczął podtykać dziewczynie swój ostatni kawałek mięsa, jakby była małym dzieckiem, na pokasującego słabo Tomasza, tylko szybko rozwinął swój koc i położył się na nim jak długi. Zasnął albo udał, że zasypia.

Oleg wstał i zawinął Tomasza w namiot. Potem razem z Marianną położyli się po obu jego stronach, żeby go zagnać. Zaczął padać śnieg. Nie był zimny... Przysypał ich grubą warstwą, a kiedy już po ciemku wróciła koza, rozgrzebała śnieg i położyła się obok. Wiedziała, że w grupie jest cieplej.

Oleg tej nocy prawie nie spał albo wydawało mu się, że nie śpi. Ktoś ogromny przeszedł niedaleko, zasłaniając błękitne światło poranka, potem zaraz bardzo się oziębiło — koza wstała i zaczęła szukać jakiegoś pożywienia — a potem Olega ugryzła pchła. Nie wiadomo, skąd się wzięła. Może ukrywała się dotychczas w odzieży albo w koziej sierści.

Ukąszenia śnieżnej pchły nie da się z niczym pomylić. I nikt nie myli, bo na razie nie wiadomo jeszcze, jak się przed pchłami uchronić i jak leczyć skutki ich ukąszenia. To jest nieodwołalne jak śmierć. Można płakać, krzyczeć, wołać ratunku, ale i tak nikt nie pomoże. Wszystko odbywa się, jak w zegarku. Najpierw ukłucie — zimne i lodowate, jak gdyby ktoś wbijał pod skórę cieniutki sopelek, który tak pali, że człowiek natychmiast się budzi i zamiera w bezsilnym przerażeniu. A potem nic — przez całą godzinę nic się nie dzieje. A jeszcze potem człowiek traci rozum. Zawsze i jednakowo, bez względu na to, czy przytrafia się to mądrymu czy głupiemu, dziecku czy starcowi. Przez pół godziny, godzinę człowiek znajduje się we władzy koszmarów. Stary mówił, że gdyby miał mikroskop, łatwo by się z tą chorobą rozprawił — zrozumiałby, jaki fragment mózgu zostaje zaatakowany i jak pchła toksyna działa na układ nerwowy”. Człowiek zaczyna szaleć, dziczeje, nikogo nie poznaje, może zabić kogoś najbliższego, a potem nie będzie pamiętał, jak to się stało. Kiedy w wiosce zdarzył się pierwszy przypadek tej choroby, nikt nie wiedział, co się stało. Trzeba było jeszcze kilku nieszczęść, żeby ludzie zrozumieli, że z tym amokiem, z pchłą gorączką nie trzeba walczyć, że należy po prostu związać chorego i poczekać, aż odzyska przytomność. To wszystko. Kiedyś, kiedy nauczą się leczyć tę gorączkę, będzie inaczej. A teraz jest tylko jedno wyjście... I jeśli w wiosce zdarzy się, że kogoś ukąsi pchła śnieżna, małe, nikczemne stworzonko, ugryziony sam biegnie do ludzi i prosi — zwiążcie mnie! I to jest okropne. Człowiek jest jeszcze zupełnie zdrowy na ciele i umyśle i rozumie, jak skazany na śmierć, że za niewiele minut zniknie, a zamiast niego pojawi się bezmyślna, krwiożercza bestia. Każdy widział, jak to się przytrafia innym. Każdemu wstyd myśleć, że to coś przydarzy się również jemu. Każdy boi się przeżyć te koszmary i sny, które męczą człowieka podczas ataku. Dlatego, kiedy Oleg poczuł

lodowate ukłucie pchły, natychmiast ocknął się i obudził innych.

— Dick — powiedział przeprasającym tonem — Masz gdzieś pod ręką postronek?

— Co? — Dick zerwał się i zaczął macać rękami wokół siebie. Było jeszcze prawie zupełnie ciemno. Tomasz wychrypiął coś przez sen, ale się nie obudził.

— Co za nieszczęście!... — lamentowała Marianna. — Pchła cię ugryzła, tak?

Dick ziewnął.

— Mogłeś się nie spieszyć. Masz co najmniej godzinę czasu.

— Zdarza się i wcześniej — odparł Oleg. — Mam pecha.

— Tak, tego tylko nam brakowało — zgodził się Dick. — Wyłaż na mróz.

— Przykryję cię później kocem — obiecała Marianna — I posiedzę przy tobie.

— No i znowu nie wyjdziemy o czasie! — wykrzyknął Dick, wyjmując postronek z worka.

— Przecież to przejdzie — powiedział Oleg.

— Po ataku trzeba co najmniej dwie godziny leżeć, wiem to po sobie — powiedział Dick. Nie złościł się na Olega, tylko na los, na pecha prześladowającego wyprawę.

Uczucie zimna w biodrze, tam gdzie ukąsiła pchła, nie mijało. Oleg wciąż czuł ukłucie i wyobrażał sobie, jak zatruta mikroskopijną kropelką jadu krew płynie do mózgu, aby napaść nań i pozbawić go rozumu.

Dick bez pośpiechu sprawdził postronek, a Marianna rozpałała ognisko.

Świt był błękitny, zupełnie inny niż w dolinie, gdzie dzień zawsze był szary i zmieniało się tylko natężenie szarości.

— No cóż — powiedział Dick — podstawiaj się.

— Tylko żeby czegoś sobie nie złamał — powiedziała Marianna. — Biedny Oleg!

— Nie pierwszy raz kogoś krępuję — powiedział Dick. — To paskudna rzecz ta pchła. Rozluźnij się, Oleg, i myśl o czymś innym, tak będzie ci łatwiej.

Najpierw związał Olegowi ręce na plecach, potem omotał mu pierś i nogi. Postronek wrzynał się w ciało, ale Oleg nie oponował, bo wiedział, że w ataku gorączki człowiek, tak samo jak szalenię, robi się silny jak niedźwiedź. Więc nie ma się co skarżyć — później może być gorzej.

Jęknął Tomasz. Jego rozczochrana głowa wysunęła się spod płachty namiotu. Nabiegłe krwią oczy, oślepięone jaskrowym światłem, gapiły się bezmyślnie i niczego nie rozumiały. Wreszcie Tomasz dostrzegł Dicka i uśmiechającego się ze zmieszaniem Olega. Przykro jest przecież sprawiać ludziom taki kłopot, przykro jest rozumieć, że wkrótce własne „ja” zniknie... Stary opowiadał kiedyś, że w średniowieczu epileptyczki i inne nienormalne kobiety ludzie nazywali czarownicami i nawet palili je na stosach, jeśli, tak właśnie, wcielały się w nie złe duchy.

— Pchła — powiedział Tomasz. — Wszędzie pchły, wszędzie okropne paskudztwa...

— Pośpij sobie jeszcze — powiedział Oleg. — Przecież wiesz, że ja jeszcze nieprędko przyjdę do siebie. Odpoczywaj!

— Zimno — poskarżył się Tomasz. — Nie mogę spać, bo niedługo jest moja wachta i komputer znów nawala. Pewnie pchła się do niego dostała.

— I po cośmy w ogóle poszli! — powiedział Dick. — Takiego towarzystwa nie wolno było puszczać w góry.

— Innego nie było — powiedziała Marianna. — Nikt inny nie mógł pójść, przecież doskonale wiesz o tym.

Mróz stopniowo rozlewał się po całym ciele, ale nie było to zwyczajne zimno, tylko świdrujące, piekące, przenikające do szpiku kości zgrzytanie malutkich kryształków lodu, wypełniających całe ciało... Głowa Tomasa zaczęła się powiększać...

— No tak — powiedział Dick. — nieźle cię związałem. Nie pije?

— Pije — Oleg spróbował się uśmiechnąć, ale policzki miał już zupełnie zdrewniałe.

— Słuchaj... — Dick rozejrzał się dokoła. — Gdzie jest koza?

— Koza? W nocy ją słyszałem.

— Pytam się, gdzie jest koza?! — głos Dicka zrobił się piskliwy ze złości. — Przywiązałaś ją?

— Przywiązałam ją — odparła Marianna — ale ona pewnie się odwiązała.

— Pytam się, gdzie jest koza?! — Widocznie kipiąca w Dicku złość musiała znaleźć ujście, na i akurat nawinęła się koza, jako symbol wszelkich niepowodzeń.

— Dick, nie złość się — powiedziała Marianna, która starała się okryć Olega kocami. — Koza na pewno szuka czegoś do zjedzenia, bo przecież żywe stworzenie musi jeść...

— Tu nie ma czego szukać. Dlaczego jej nie przywiązałeś? — Dick wyjął spod namiotu swoją kuszę i wsunął nóż za pas.

— Dokąd się wybierasz? — zapytała Marianna, chociaż doskonale wiedziała, dokąd.

Dick rozglądał się uważnie dokoła, strojąc się wypatrzeć na śniegu ślady zwierzęcia.

— Ona wróci — powiedziała Marianna.

— Ona wróci — powtórzy! Dick — ale jako kawał mięsa. Dość tego. Nie chcę zdychać przez twoją głupotę.

Dick rósł i rósł... Wkrótce dosięgnie głową nieba i wtedy rozbije się o nie, bo przecież chmury są szklane i twarde... Oleg zacisnął powieki i znów je otworzył, żeby odpędzić widziadło. Tomasz siedział na kocu i kołysał się z boku na bok, jakby bezdźwięcznie śpiewał pieśń.

— Marianna, zagrzej wody. — Olegowi zdawało się, że jego głos brzmi głośno i twardo, choć w rzeczywistości mówił niemal niedosłyszalnym szeptem. — Dla Tomasza. Bardzo źle się czuje.

Marianna zrozumiała.

— Zaraz, oczywiście.

Ale nie odrywała wzroku od Dicka.

— Tak myślałem — powiedział Dick. — Poszła z powrotem. W dół. Przez noc mogła przejść ze dwadzieścia kilometrów.

— Dick, zostań tu — powiedział nagle Tomasz głośno i wyraźnie. — Marianna sama znajdzie kozę, a ty ją przecież zabijesz.

— Możesz być tego pewien — odpowiedział Dick. — Możesz być tego pewien, że mam dość waszej głupoty!

— Pójdę, znajdę ją! — Marianna zapomniała o wrzątku. — Ty nie powinieneś teraz odchodzić. Tomasz jest chory, a Olega trzeba pilnować.

— Nic mu się nie stanie. — Dick przecesał palcami bujną grzywę włosów. — Dasz sobie radę, Marianna.

I nie odwracając się, szybko i lekko ruszył śladami kozy w dół, tam, skąd wczoraj przyszli.

— Chciałem, żebyś ty poszła — powiedział Tomasz. — Ty byś ją przyprowadziła, a on zabije.

Oleg, chociaż świat wokół niego ciągle zmieniał kształty i proporcje, stawał się coraz bardziej widmowy i niepewny, wciąż jeszcze zachował zdolność myślenia. Dlatego powiedział;

— Dicka można zrozumieć... Naprawdę się nam nie wiecie.

— Został już tylko kawałek drogi — powiedział Tomasz. — Jestem tego pewien. Idziemy szybko i jutro będziemy na miejscu. Do jutra wytrzymamy nawet bez mięsa. Wytrzymamy, prawda? A za przełęczą jest jedzenie. Obiecuję wam mnóstwo jedzenia. Dick, obiecuję!

Dick uniósł rękę, aby pokazać, że słyszy — głos nad ośnieżonym stokiem niósł daleko — ale nawet nie zwolnił kroku.

— Kozę koniecznie trzeba schwytać — zwrócił się Tomasz do Marianny. — Ona jest nam potrzebna. Ale nie wolno jej zabijać, bo to nie ma sensu... Coś mnie piecze. Jak gorąco!... Dlaczego tak boli wątroba? To niesprawiedliwe. Jesteśmy już przecież tak blisko...

— On ją zabije — powiedziała Marianna. — Na pewno zabije. Diick!

Odwróciła się od Olega i Tomasza.

— Co robić, powiedzcie, co robić?! Przecież jesteście mądrzy, przecież wszystko wiecie! Jak go powstrzymać?

— Ja tego nie potrafię zrobić — powiedział Tomasz. — Niestety, już nie jestem dla niego żadnym autorytetem.

— Zaraz... — odezwał się Oleg. — Tylko mnie rozwiąż. Może zdążę przed atakiem, może jeszcze zdążę?

Marianna tylko machnęła ręką. Zrobiła dwa kroki w stronę Dicka, zawróciła i popatrzyła na mężczyzn.

— Was też nie wolno zostawić.

— No to biegnij! — krzyknął nagle Tomasz. — Biegnij za nim!

— Mogę?

— Biegnij — powiedział Oleg.

— Ale jak ja was mogę zostawić?... Co będzie, jeśli jakieś zwierzę?

— Biegnij! — powtórzył Oleg. — I wracaj.

I Marianna lekko, jakby w ogóle nie dotykała śniegu, popędziła w dół za niewidocznym już Dickiem.

— Szkoda dziewczyny — powiedział Tomasz. — Przywiązała się do tego zwierzęcia.

— Szkoda — zgodził się Oleg. — To dziwne, że nie masz stałego kształtu, Bywasz gruby, a zaraz potem robisz się cienki jak zapalka.

— Tak — uspokoił go Tomasz... — Ten jad nie wiadomo czemu atakuje z początku wzrok. Pamiętam, bo pchła, ugryzła mnie chyba ze trzy razy. Ale nie bój się, to nie, daje prawie żadnych skutków ubocznych. Ułóż się wygodnie i nie bój się.

— Ja to doskonale rozumiem, ale mimo wszystko boję się utracić siebie. Teraz jeszcze jestem, a za chwilę już mnie nie będzie.

Olega ciągnęło w dół, do błękitnej wody, i bardzo trudno było utrzymać się na jej powierzchni, bo nogi miał oplatane wodorostami. Musiał je z nich uwolnić, bo w przeciwnym razie pójdzie na dno, utonie.

* * *

Koc, którym Marianna przykryła Olega, spadł z niego, chłopak nie utrzymał się pod skałą i zwałił się w śnieg. Oczy miał zamknięte, wargi rozedrgane, a twarz pociemniała z napięcia i wysiłku, z jakim chciał rozerwać więzy, Tomasz próbował unieść się, wstać żeby pomóc Olegowi, przykryć go albo przynajmniej ułożyć jego głowę na kolanach. Trzymanie głowy w czasie ataku bardzo choremu pomaga. Tomasz próbował wstać, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Oleg wyprężył grzbiet i dosłownie wyskoczył w powietrze, odpychając się pięściami od ziemi. Potoczył się w dół zbocza, parokrotnie przeokoziłkował, uderzył w głaz sterczący spod śniegu i znieruchomiał. Kurtkę miał w strzępach i śnieg nie tajał na jego nagiej piersi. Tak nie można, pomyślał Tomasz, trzeba koniecznie do niego dotrzeć. Cholerna koza, cholerny Dick z jego cholernym kompleksem silnej jednostki. A przecież ten chłopak jest pewien, że ma rację, i jest pewien, że powoduje nim wyłącznie troska o dobro nas wszystkich. I rzeczywiście ma rację — z punktu widzenia dzikusa, który nie umie patrzeć w przyszłość... Może istotnie Borys ma słuszność? Czy aby nie za szybko człowiek społeczny, homo civilisatus, staje się dzikusiem? Może popełnił błąd, pozwalając dzieciom wyrastać na wilczęta, żeby łatwiej było im wyżyć w lesie? Ale przecież nie mieliśmy wyboru. Przez piętnaście lat my, dorośli, nie zdołaliśmy przecież dotrzeć do przełęczy. I nikt by tam nie dotarł, gdyby nie dorośli Dick i Oleg.

Ciekawe, ile teraz mam gorączki? Pewnie powyżej czterdziestu stopni... Bardzo trudno oddychać. Nic dziwnego, obustronne zapalenie płuc. To jasne, taką diagnozę każdy potrafi postawić sobie nawet bez lekarza. Jeśli nie dotrę do statku, to już po mnie. Mięso najtłuszczej nawet kozy mi nie pomoże. A iść muszę sam, bo dzieciaki nie doniosą, mnie do przełęczy... Co z Olegiem? Ta pchła to już największy pech... Wygląda na to, że jakieś fatum ukryte w skałach lub w lesie nie pozwala nam na powrót do człowieczeństwa, tę las pragnie przekształcić nas w swoje dzieci, w szakali na dwóch nogach, że zgadza się tolerować wioskę, ale jedynie jako swoje przedłużenie. Kontynuację, a nie negację. Tam, za głazem ciemnieje urwisko... Niezbyt wysokie, ale jeśli Oleg teraz spadnie na dół, to z pewnością się zabije. Jest przecież związany. Gdzie postronek, gdzie drugi postronek, trzeba przywiązać go do tego kamienia...

Tomasz liczył w duchu oddechy, jęczał i pełznął. Pełznął na szczęście w dół, gdyż nawet po równym nie zdołałby się posunąć nawet o krok. Śnieg, który dostał mu się pod ubranie, straszliwie palił obolała, pękającą od kaszlu pierś. Pełznął więc w dół, ciągnąc za sobą nieprawdopodobnie ciężki, ołowiany postronek, który wił się za nim jak wąż.

Oleg zatrzepotał po ptasiemu, usiłując zerwać opasującą go linę. Głowa rytmicznie załomotała o kamień i Tomasz wręcz fizycznie wyczuwał ból chłopaka, dręczący go jak koszmar, ale mimo to realny — Olegowi w tym momencie wydawało się, że przygniótł go dach domu.

Zostało najwyżej dziesięć metrów drogi. Tomasz doskonale wiedział, że chłopak go nie słyszy, że nie może słyszeć, ale ciągle powtarzał: „Poczekaj, jestem już niedaleko” — i starał się unieść głowę, aby zobaczyć, czy nie wraca Marianna lub Dick, lecz oni jak na złość nie wracali...

Musiał dopełznąć, zdążyć dopełznąć, zanim Oleg stoczy się na sam skraj urwiska. Wtedy będzie za późno — również na to, aby wspinać się na przełęcz i zakończyć wyprawę trwającą dla Tomasza piętnaście lat. Te małe głuptasy nie wiedzą, że tam, za przełęczą, przede wszystkim i najpierw znajdzie paczkę papierosów. Niechaj oni biegają, gapią się na wszystko okrągłymi ze zdziwienia oczami, a ja siadę na fotelu, na miękkim wygodnym fotelu i po raz pierwszy od tylu lat zaciągnę się papierosem. Marianna się przestraszy i zdziwi, dlaczego idzie ze mnie dym, o mnie od pierwszego papierosa zakręci się lekko w głowie... Dlaczego teraz kręci mi się w głowie. Przecież nie palę!

Kiedy Tomasz wreszcie dotarł do Olega — na kilka sekund stracił przytomność, bo wszystkie siły strawił na to, żeby dopełznąć. Ciało, powodowane jedynie tym szalonym pragnieniem, odmówiło teraz posłuszeństwa.

Ocucił go poryw lodowatego wiatru, niosący tuman ostrych kryształków śniegu, a może niewyraźne mamrotanie Olega i jego chrapliwy oddech. Tomasz marzył o tym, żeby zamknąć oczy i leżeć nieruchomo. Nic nie robić, o niczym nie myśleć, tylko leżeć... Ale Oleg znów się sprężył, odepchnął skrępowanymi nogami od głazu i przesunął o jakiś metr w stronę urwiska. Tomasz podciągnął do siebie postronek, zastanawiając się, jak by tu przywiązać chłopaka do ostrego kamienia i w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, jak to się robi. A potem okazało się, że jego ręka jest pusta — postronek leżał o kilka metrów nad nim. Tomasz podciągnął się, żeby chwycić Olega za nogi, ale chłopak szarpnął się i odepchnął ciało starego człowieka, które już nie czuło bólu.

Tomasz zrozumiał, że w ten sposób Olega nie utrzyma, że chłopak nadal będzie się wrywał, bo, nawet związany, jest o wiele silniejszy od niego — i dlatego wznowił ślimaczą wędrówkę nad skraj przepaści, żeby znaleźć się między nią a Olegiem, stać się zaporą, przeszkodą, ciężką, nieruchomą kłodą. Wydawało mu się, że pełźnie kilka godzin i przez cały ten czas namawiał, błagał Olega, żeby ten poleżał jeszcze trochę spokojnie. Kiedy wreszcie, dotarł do wąskiej półki, oddzielającej Olega od przepaści, chłopak zsunął się już tak nisko, że Tomasz musiał dosłownie wcisnąć się między jego ciało — a ostre kamienie na krawędzi urwiska.

I z pewnością Tomaszowi udałooby się przetoczyć Olega w górę, chociaż o kilka metrów, ku bezpieczeństwu, gdyby sam zdołał utrzymać się na powierzchni rzeczywistości i gdyby nie postanowił odpocząć parę sekund, zanim zabierze się do swojej syzyfowej procy...

* * *

Marianna przybiegła do obozowiska zadyszona i rozgorączkowana. Wydawało się jej, że droga zajęła jej parę minut, a w rzeczywistości nie było jej ponad godzinę. Biegła wprost do namiotu i dlatego nie od razu zrozumiała, co się stało. Zobaczyła tylko, że obóz jest pusty i w pierwszej chwili nawet uniosła brzeg namiotu, sądząc, że Tomasz kryje się tam przed śniegiem, chociaż płachta namiotowa leżała płasko i nikogo pod nią nie mogło być.

Rozejrzała się zdezorientowana dokoła i zobaczyła ślad na śniegu, biegnący w dół ku skale, ślad taki, jakby ktoś ciągnął po ziemi coś ciężkiego. Od razu wyobraziła sobie coś strasznego, że to zwierzę zostawiające beczkowate tropy, ciągnie obu mężczyzn. A winno temu było tylko ona, bo pobiegła ratować kozę i zapomniała o ludziach, o chorych ludziach w śnieżnej pustyni, czego robić nie wolno, nie wolno, nie wolno, I wszystko wyszło okropnie i głupio, bo nie dopędziła Dicka i nie znalazła kozy, tylko przstraszyła się samotności wśród dzikich skał, zlekła się, że nie znajdzie drogi powrotnej do obozowiska, zlekła się o Tomasza i Olega, którzy zostali sami i bezbronni, popędziła z powrotem, ale spóźniła się, spóźniła.

Marianna ruszyła wolniutko w dół, pociągając nosem i powtarzając płaczliwie:

— Mamusiu, mamusiuuu...

Na śniegu nie wiadomo czemu leżał postronek. Oleg się rozwiązał?

Obeszła szary głaz i zobaczyła, że na krawędzi urwiska leży związany Oleg, a Tomasza nigdzie nie ma.

— Oleg! Oleg! — krzyknęła. — Żyjesz?

Oleg nie odpowiedział. Spał. Ludzie zawsze zasypiają, kiedy kończy się atak. Był sam, ale ślad, jaki zostawiło jego ciało, ciągnął się dalej, ku urwisku i kiedy Marianna spojrzała w dół — zobaczyła, że tam, niedaleko, o jakieś pięć metrów niżej, leży Tomasz. Tomasz leżał w spokojnej, jakby nawet rozluźnionej pozie i dlatego dziewczyna nie od razu zrozumiała, że Tomasz już nie żyje. Pojęła to dopiero wtedy, kiedy pospiesznie zeszła na dół i długo tarosiła go, starając się obudzić. Zrozumiała, że Tomasz spadł ze skały i zabił się. Oleg, który ocknął się, usłyszał dobiegający z dołu hałas i lamenty Marianny, zapytał:

— Marianna, co się stało?

Zupełnie nie pamiętał, jak zepchnął Tomasza w dół, chociaż potem, według śladów i urywkowych majaczeń Olega, zdołali sobie odtworzyć całą sytuację, zrozumieć, co się wydarzyło, i domyślić się, dlaczego umarł.

* * *

Dick wrócił do obozowiska po dalszych dwóch godzinach. Nie dopędził kozy i stracił jej trop na wielkim piarżysku. W drodze powrotnej napotkał ślady wielkiego nieznanego zwierzęcia i ruszył za nim. Postanowił ustrzelić zwierzyinę, bo uznał, że kiedy przyjdzie do obozu z łupem, to będzie mógł powiedzieć, że umyślnie zostawił kozę w spokoju, żeby zrobić przyjemność Mariannie. I święcie uwierzył w to, że zrobiło mu się żal Marianny, bo nie znosił żadnych niepowodzeń.

Kiedy dowiedział się, co zaszło w obozie pod jego nieobecność, zachował się o wiele trzeźwiej

i spokojniej niż pozostali. Powiedział do Olega:

— Nie gadaj głupstw. Nie jesteś przecież smarkaczem! Nikogo nie zabiłeś i niczemu nie jesteś winien. Przecież nie wiedziałeś, że spychasz Tomasza. Powinieneś mu być wdzięczny, że się starał cię uratować na skale. Może nic nie zdażył zrobić i pewnie tak było, ale jednak chciał cię uratować. Może nawet dobrze się stało, bo Tomasz był bardzo chory i mógł w każdej chwili umrzeć, a chciał iść na przełęcz. Trzeba by go nieść i przez to wszyscy by zginęli. Nikt nie doszedłby do przełęcz i nikt by nie wrócił.

— Chcesz uspokoić Olega — powiedziała zapłakana Marianna. Chcesz uspokoić Olega, a winni jesteśmy my oboje. Zostawiliśmy ich na pastwę losu. Gdybyśmy nie polecili za kozą, Tomasz by żył.

— Racja — odparł Dick. — Nie powinnaś lecieć za mną. To była głupota. Kobięca głupota.

— Czyżbyś nie miał sobie nic do zarzucenia? — zapytała Marianna.

Tomasz leżał między nimi z kocem zaciągniętym na twarz i jakby uczestniczył w tej rozmowie.

— Nie wiem — powiedział Dick. — Poszedłem za kozą dlatego, że potrzebujemy mięsa. Potrzebujemy go, żeby dojść. Wszyscy go potrzebujemy. Ja najmniej, bo jestem z was najsilniejszy.

— Nie chcę więcej z nim rozmawiać — zatkała Marianna. — On jest zimny jak ten śnieg.

— Chcę być sprawiedliwy — powiedział Dick. — Lamenty i narzekania nic już nie zmieniają. Tracimy czas. Południe już dawno minęło.

— Oleg jest jeszcze za słaby, żeby iść — odpowiedziała Marianna.

— Nie jest tak źle — odezwał się Oleg. — Mogę ruszać. Trzeba tylko wziąć od Tomasza mapę i licznik promieniotwórczości. Mówił mi, że jeśli coś mu się stanie, trzeba wziąć te rzeczy.

— Nie trzeba — powiedział Dick.

— Dlaczego?

— Dlatego, że wracamy — powiedział Dick spokojnie.

— Ty tak postanowiłeś? — zapytał Oleg.

— To jedyna doga ratunku. Pojutrze będziemy w lesie, a tam coś upoluję. Doprowadzę was do wioski, obiecuję.

— Nie — odparł Oleg. — Idziemy dalej.

— Głupio gadasz — powiedział Dick. — Teraz nie mamy szansy na pokonanie przełęcz.

— Mamy mapę.

— Dlaczego jej wierzysz? Mapa jest stara. Wszystko mogło się zmienić. I nikt nie wie, jak długo trzeba jeszcze iść o głodzie po tym nagim śniegu.

— Tomasz powiedział, że szliśmy bardzo szybko, że został nam jeszcze tylko dzień drogi.

— Tomasz się mylił. Chciał tam dojść i dlatego mógł nas oszukiwać.

— Tomasz nas nie oszukiwał. Powiedział, że tam jest dużo jedzenia i że będziemy uratowani.

— On chciał w to wierzyć, ale był chory i nie bardzo rozumiał, co mówi. A ja wiem dobrze. Jestem pewien, że przeżyjemy tylko wtedy, kiedy zawrócimy.

— Ja pójdę na przełęcz — powiedział Oleg. Powiedział to patrząc na ciało przykryte kocem, jakby zwracał się do Tomasza, obiecywał mu pójść i dojść.

— Ja też pójdę — powiedziała Marianna. — Czy ty tego nie rozumiesz.

— Marianna! — wykrzyknął Dick i rąbnął pięścią w kamień. — Mogę jeszcze zrozumieć Olega, któremu Stary zawrócił w głowie. Zawsze mu powtarzał, że jest mądrzejszy i lepszy od nas, że jest niezwykły. On nie mógł być lepszy od nas w wiosce i w lesie. Zawsze nam ustępował, nawet tobie. Jemu ta bajka o przełęcz i gadanina o dzikusach, którymi nie mamy prawa się stać, jest bardzo potrzebna. A ja nie czuję się dzikusem. Nie jestem głupszy od niego. Jeśli Oleg jest tak pewien swego, to niech idzie sam. A ciebie nie puszcę i zabiorę na dół.

— Idiota! — wrzasnęła Marianna. Wysłła nas wioska. Czekają na nas i bardzo liczą, że nam się uda.

— Żywi przyniesiemy więcej pożytku.

— Idziemy — powiedział Oleg i wyciągnął rękę w stronę koca, żeby wyjąć spod niego mapę i licznik. Potem powiedział wolno: — Wybacz, Tomaszu, że przeze mnie nie doszedłeś. Wybacz, że zabieram ci cenne przedmioty i — odrzucił koc. Tomasz leżał z zamkniętymi oczami, twarz mu zbieleła, a wargi zapadły się. Oleg nie potrafił zmusić się do dotknięcia zimnego ciała.

— Poczekaj, ja sama — powiedziała Marianna, — Poczekaj...

Dick wstał, podszedł do skały, podniósł z ziemi manierkę, odkręcił ją i wylot resztkę koniaku na śnieg. Ostry, nieznamy zapach zawisł w mroźnym powietrzu. Po chwili Dick zakręcił pokrywkę i przewiesił manierkę przez ramię. Nikt nie odezwał się nawet słowem. Marianna podała Olegowi złożoną we czworo mapę i licznik promieniotwórczości, a potem jeszcze nóż Tomasza.

— Nie damy rady go zakopać — powiedział Dick. — Trzeba zanieść go pod skałę i przysypać kamieniami.

— Nie! — powiedział Oleg.

Dick uniósł w zdumieniu brwi.

— A co proponujesz?

Głupio byłoby mu odpowiedzieć, że na Tomasza nie wolno rzucać kamieni. Przecież Tomaszowi to teraz całkiem obojętne — jest martwy.

Wszystko zrobił Dick. Oleg z Marianną tylko trochę mu pomogli, o niczym więcej już nie rozmawiali. Oleg i Marianna w milczeniu przygotowali się do drogi, zarzucili na plecy całkiem lekkie worki — nawet drzewa zostało najwyżej na dwa ogniska — rozdzielili na trzy części skrawki wędzonego mięsa, a potem Marianna odniosła Dickowi jego porcję. Dick bez słowa wsunął mięso do kieszeni. Potem Marianna i Oleg wstali i nie oglądając się ruszyli w górę, ku przełęczy.

Dick dopędził ich po jakichś stu metrach. Dogał, potem wyprzedził i odtąd szedł na czele. Oleg ledwie się włókł, bo jeszcze nie przyszedł całkowicie do siebie po ataku pchlej gorączki, a Marianna kulą, gdyż rozbiła sobie nogę, kiedy wdrapywała się na urwisko, więc Dick szedł powoli, żeby nie zostawali w tyle. Przeszli najwyżej dziesięć kilometrów, może nawet mniej, kiedy ściemniło się i trzeba było zatrzymać się na nocleg.

Oleg zwałił się w śnieg i natychmiast usnął. Nie można go było dobudzić, żeby napił się wrzątku ze słodkimi korzonkami i dlatego nie widział tego, co zobaczyli Dick i Marianna. Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, chmury rozstały się nagle i na niebie pokazały się gwiazdy, których nikt z nich nigdy nie widział. Potem niebo znów się zachmurzyło, Marianna też usnęła, a Dick długo jeszcze siedział przy wygasłym ognisku z nogami w ciepłym popiele, patrzył w niebo i czekał, że może chmury znów się rozejdą. Słyszał o gwiazdach — starsi ciągle mówili o gwiazdach — ale nigdy nie przypuszczał jaka przestrzeń i majestat otwiera się przed człowiekiem, który widzi gwiazdy. Wiedział, że nigdy już nie wróci do wioski, ale był dumny z tego, że jest człowiekiem.

* * *

Wstali wcześniej, wypili dużo gorącej wody. Z roztopionego śniegu i dojedli słodkie korzonki, które tylko wzmogły głód. Tego dnia szli o wiele wolniej niż dotychczas, wlekli się noga za nogą i nawet Dick czuł się śmiertelnie zmęczony.

Nieszczęście polegało na tym, że nie wiedzieli, czy dobrze idą. Na mapie były narysowane punkty orientacyjne, które w terenie nie miały odpowiedników. Zrozumiałe, dlaczego: ludzie szli tędy poprzednim razem w zimie, kiedy było wiele śniegu, silny mróz i mgła, więc teraz wszystko

mogło wyglądać inaczej.

Wpadli w rozpacz, bo przełęcz była abstrakcją, w którą nie sposób było uwierzyć tak samo, jak nie można sobie wyobrazić rozgwieżdżonego nieba, jeśli się go nie widziało i zna jedynie z opowiadań. Oleg bardzo żałował, że zasnął i przegapił niebo, ale miał nadzieję, że widowisko powtórzy się następnej nocy. Przecież chmury na niebie pocieniały, czasami prześwitywał przez nie błękit, a dokoła było o wiele jaśniej niż na dole, w lesie.

W południe, kiedy wszyscy zupełnie już opadli z sił, Dick kazał się zatrzymać i zaczął rozcierać śniegiem odmrożone policzki Marianny. Wtedy Oleg zobaczył opodal na śniegu granatową plamę. Powiedział o niej pozostałym nie od razu, bo do plamy było jakieś sto kroków” a nie miał już siły, żeby zrobić chociaż jeden.

Kiedy wreszcie Dick powiedział, że pora ruszać, Oleg pokazał mu granatową plamę. Poszli w jej stronę. Z każdym krokiem szybciej, bo najtrudniej jest wstać i przejść pierwsze kilka kroków, zwłaszcza wtedy, kiedy się wie, że nie ma już nic do jedzenia i, nawet drzewo na opał się skończyło.

To była krótka granatowa kurtka z mocnego, cienkiego materiału. Wmarzła do połowy w śnieg, a jeden wypchany śniegiem rękaw sterczał do góry. Dick okopał śnieg dokoła, żeby wydobyć z niego kurtkę, a Olega opanowała nagle jakaś gorączkowo niecierpliwość.

— Daj spokój — powiedział ochryple. — Po co? Przecież już niedługo dojdziemy. Rozumiesz, jesteśmy na dobrej drodze!

— To kurtka jest mocna — odparł Dick — i bardzo nam się przyda. Marianna całkiem już zamarzła.

— Ja jej nie potrzebuję — powiedziała Marianna. — Chodźmy już lepiej.

— Idźcie, ja was dogonię — powiedział Dick z oparem. — No, idźcie!

Ruszyli dalej, a Dick dogonił ich po piętnastu minutach, niosąc kurtkę w ręku. Marianna nie chciała jej jednak założyć, mówiąc, że kurtka jest zimna i mokra. Ale najważniejsze było to, że to była cudza kurtka, że ktoś ją nosił. Jeśli zdjął i rzucił, to może zginął, bo przecież wtedy zginęło wielu ludzi. Wiadomo, że z przełęczą zeszło siedemdziesiąt sześć osób, a do wioski dotarło niewiele ponad trzydzieści. Marianna bała się więc zobaczyć tych, którzy nie doszli.

Nie dotarli tego dnia do przełęcz, chociaż Olegowi wciąż się wydawało, że zobaczy przełęcz lada moment: wyminiemy tylko ten jezior lodowca — i będzie przełęcz... Tymczasem podejście stawało się coraz bardziej strome, a powietrza było coraz mniej.

Nocowali, a właściwie przeczekiwali noc, przytuleni do siebie, owinięci wszystkimi kocami i przykryci namiotem. Było tak zimno, że tylko przysypiali na moment, a potem budzili się, żeby zamienić się miejscami. Marianna, która leżała w środku, prawie nie dawała ciepła. Zrobiła się jakby bezcielesna i kanciasta, jak wychudzony ptak. Wstali o pierwszym brzasku. Nad nimi było granatowe rozgwieżdżone niebo, ale oni nie patrzyli na nie, a Olega ono nie zdziwiło.

Potem przyszedł dzień. Przez chmury, przezroczyste jak mgła, świeciło słońce, zimne i jaskrawe, którego również nigdy nie widzieli. Ale oni nie patrzyli również na słońce. Wlekli się, pokonując szczeliny lodowca, obchodząc skalne uskoki i piarżyska, byle tylko naprzód i naprzód. Jako pierwszy szedł Dick, wybierając drogę, przewracając się i potykając częściej niż inni, ale ani na chwilę nie ustępując pierwszeństwo. On też pierwszy wszedł na przełęcz, nie zdając sobie zresztą z tego sprawy, bo stromizna, po której się wdrapywali, niezauważalnie dla oka wyrównała się i przeszła w płaskowyż, za którym widniały zębate, poszarpane szczyty gór. Całe szeregi pokrytych śniegiem i błyszczących w jaskrawym słońcu spiczastych wierzchołków... Po dalszej godzinie ukazała się w dole kotlina, pośrodku której, ogromny nawet stąd, z kilometrowej wysokości, leżał ciemny dysk, lśniący matowym metalem, Dysk leżał w lekkim przechyle dokładnie pośrodku tej kotliny. Właśnie tam kapitan zdołał doprowadzić statek, kiedy po wybuchu

w maszynowni przyrządy pokładowe kolejno zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Wylądował w tej kotlinie, choć była wtedy zima, trzaskający mróz, zamieć i noc.

Stanęli obok siebie. Trójka obszarpanych, wynędzniałych dzikusów z kuszami w rękach i workami ze skór zwierzęcych na ramionach, opalonych mrozem i śniegiem, czarnych z głodu i zmęczenia — trzy mikroskopijne figurki w ogromnym, pustym, milczącym i obcym świecie. Stali tak i patrzyli na martwy statek, który szesnaście lat temu runął na tę planetę. Runął i nigdy już nie wystartuje.

Potem zaczęli schodzić w dół stromym zboczem, czepiając się kamieni i starając się nie biec, schodzili coraz szybciej i szybciej, chociaż nogi odmawiały im posłuszeństwa.

W godzinę później byli już na dnie doliny.

* * *

Szesnaście lat temu Oleg miał rok z kawałkiem, a Dick niecałe dwa lata. Marianny jeszcze wtedy nie było na świecie. Nie pamiętali więc, jak wylądował tu, w górach, statek badawczy „Polus”. Ich pierwsze wspomnienia wiązały się z wioską, zwyczajnie żwawych, rudych grzybów i drapieżnych lian poznali wcześniej, niż usłyszeli od starszych o tym, że są gwiazdy i istnieją inne światy. I las był dla nich o wiele bardziej zrozumiały niż opowieści o raketach lub domach, w których może mieszkać tysiąc ludzi na raz... Prawa lasu, prawa wioski, powstałe po to, oby zachować przy życiu garstkę ludzi, proste prawa instynktu samozachowawczego ciągle usiłowały wyprzeć z pamięci Ziemię i zamiast pamięci zrodzić abstrakcyjną nadzieję, że kiedyś wreszcie ich odnajdą i ta cała mordęga się skończy. Ale jak długo można cierpieć i czekać, aż to się skończy? Dziesięć lat? Dziesięć lat już minęło. Sto lat? Sto lat znaczy, że znajdą i uratują nie ciebie, lecz twojego prawnuka, jeśli go będziesz miał i jeśli w ogóle wioska zdoła przetrwać tak długo. Nadzieja, żyjąca w starszych, dla drugiego pokolenia zupełnie nie istniała, gdyż przeszkadzała im tylko żyć w lesie. Ale tę nadzieję trzeba im było przekazać za wszelką cenę, bo nawet ze śmiercią można się pogodzić, jeśli człowiek ma świadomość przedłużenia swego rodu. Śmierć wtedy staje się ostateczna, kiedy wraz z nią ginie nie tylko sam człowiek, lecz również i to, co wiązało go z życiem.

Dlatego zarówno nauczyciel, jak i wszyscy inni starsi w miarę własnych sił starali się wykształcić w dzieciach poczucie przynależności do Ziemi, myśl o tym, że prędzej czy później izolacja się skończy. Jedynym realnym łącznikiem z tamtym światem był statek za przełęczą. Statek istniał, można było do niego dotrzeć jeśli nie w tym tysiącletnim roku, to w następnym, kiedy dzieci dorosną na tyle, że zdołają dotrzeć do przełęcz. Zdołają, jeśli zechcą, gdyż wewnątrz oderwały się już od Ziemi, gdyż statek jest dla nich obcy, a las — swój. To ofiarowywało im możliwość przeżycia, której pozbawieni byli starsi, lecz w ostatecznym rachunku zagrażało śmiercią wiosce — ludzkiej kolonii.

Dick, Oleg i Marianna schodzili do kotliny, zbliżali się do statku, który mimo swego realnego ogromu pozostawał dla nich świętym symbolem i legendą. Nikt z nich nawet by się nie dziwił, gdyby przy dotknięciu statek rozsypał się w proch. Wracali do domu swych ojców, który przerażał ich tym, że zawędrował do tej mroźnej kotliny ze snów i baśni opowiadanych przy mętym świetle kaganka w szałasie, kiedy za małym okienkiem z rybią skórą zamiast szyby ryczy śnieżna zamieć lub wciąż szeleści deszcz cuchnący zgnilizną.

Istnienie statku odrodziło sny i legendy, nadało im nowy sens. Starsi nigdy nie potrafili tego pojąć. Nic dziwnego, wszak dla nich za opowieścią o tym, jak nastąpiła katastrofa, jak nadszedł mróz i ciemność — stała pamięć o pustych korytarzach, w których stopniowo gaśnie światło i zaczynają wirować wdzierające się z zewnątrz kryształki lodu, o milknących silnikach awaryjnych

i terkocie liczników promieniotwórczości. Dla słuchaczy — Olega i jego rówieśników — w opowieści zrozumiałe były jedynie kryształki lodu, płatki śniegowe, a korytarze kojarzyły im się z gąszczem lasu lub ciemną jaskinią, bo przecież wyobraźnia karmi się tylko tym, co człowiek sam widział i słyszał.

Teraz stało się zrozumiałe, jak uciekali stąd ludzie. Nieśli dzieci i rannych, chwyтали w pośpiechu te rzeczy, które wydawały się im najniezbędniejsze na początek. Nikt w tym momencie jeszcze nie myślał, że przyjdzie mu żyć w tym świecie zawsze, borykać się z nim na śmierć i życie, aby w końcu umrzeć. Gigantyczna skała i niewiarygodna potęga cywilizacji kosmicznej nawet tu dawały fałszywą pewność, że cały ten tragiczny wypadek jest w gruncie rzeczy jedynie przejściowym zakłóceniem, przypadkową awarią, która wkrótce zostanie usunięta, jak wszelkie inne zakłócenia i awarie.

To jest właśnie ten właz.

Opuszczając statek, jak mówił Stary, zamknęli go, zaś drabinę awaryjną, po której zeszli na śnieg, odstawili pod pobliski nawis skalny. To miejsce było zaznaczone na mapie, ale drabiny nie trzeba było szukać, bo śnieg stajał i drabina była dobrze widoczna. Niebieska farba złuszczyła się w niej w paru miejscach, a gdy Dick podniósł ją, na ziemi został wyraźnie odbity rysunek stojaków i szczebli.

Dick pstryknął paznokciem w drabinę.

— Lekka — powiedział. — Trzeba będzie zabrać.

Nikt mu nie odpowiedział. Marianna i Oleg stali opodal z zadartymi do góry głowami i gapili się na ogromny brzuch statku. Statek wydawał się cały i zdolny do natychmiastowego lotu. Oleg wyobraził sobie nawet, jak ten ogrom odrywa się od gruntu, wznosi się, coraz szybciej i szybciej, wzbija się w błękitne niebo i staje się czarnym krążkiem, punkcikiem w bezdennym błękitnie...

Zmęczenie ustąpiło. Ciało było lekkie i posłuszne i niecierpliwa chęć, oby jak najszybciej zajrzeć do wnętrza potwora, mieszała się ze strachem, obawą przed zniknięciem na zawsze w metalowej skorupie statku.

Oleg przeniósł wzrok na pokrywę włazu awaryjnego. Ileż to razy Stary powtarzał mu: „Właz awaryjny nie jest zamknięty. Myśmy go tylko przymknęli. Wejdiesz do niego po drabinie, która jest bardzo lekka i przede wszystkim zmierzysz poziom promieniotwórczości. Promieniowania już nie powinno być, bo minęło przecież szesnaście lat, ale musisz to sprawdzić. Wtedy promieniowanie było jednym z powodów, który zmusił nas do tak szybkiej ucieczki. Mróz i promieniowanie radioaktywne. Czterdzieści stopni mrozu, ogrzewanie nie działa, no i promieniotwórczość... Musieliśmy stamtąd uciekać, bo nie mogliśmy zostać. Choć oddać się od statku też nie mogliśmy, bo nie wiedzieliśmy przecież, że uda się nam dotrzeć w doliny, gdzie jest las i trochę ciepłej”. Dick chodził wokół statku, przewracając grotem dzidy puste skrzynki i puszki. Poniewierało się tam również wiele innych rzeczy, które ludzie wyładowali ze statku, ale musieli zostawić.

— No jak? — zapytał Oleg. — Wchodzimy do środka?

— Idziemy — powiedział Dick, a potem podniósł drabinę i przystawił do włazu.

Wszedł po niej, wsunął w szczelinę nóż Tomasza i nacisnął. Nóż się złamał.

— Może on się zatrzasnął? — powiedziała z dołu Marianna.

— Zostaliśmy zupełnie bez noży — burknął Dick.

— Stary mówił, że właz jest otwarty — zauważył Oleg.

— Stary wszystko zapomniał — powiedział Dick. — Czy starym w ogóle można wierzyć?

— Tomasz by wiedział, co trzeba zrobić — westchnęła Marianna i rozplakała się.

Dick pchnął pokrywę włazu. Bez skutku. Wtedy uderzył w nią pięścią i Olegowi wydało się, że powinien rozlec się głęboki, niski dźwięk, ale żadnego dźwięku nie było. Oleg poruszając

wargami, chociaż doskonale umiał czytać odcyfrował wtopione w kadłub złote litery „POLUS”.

— Zgadza się — powiedział. — „Polus”.

— Myślałeś, że znaleźliśmy inny statek? — zapytał Dick i zeskoczył z drabiny w śnieg. — Trzeba się zastanowić. W ten sposób go nie otworzymy.

Marianna dygotała.

— Dziwne — powiedziała. — Nie było zimno, a teraz mnie trzęsie.

— Jesteś głodna — wytłumaczył jej Dick. — Tam na pewno żarcia jest pod dostatkiem. W żelaznych puszkach. Tomasz mówił, że takie jedzenie się nie psuje.

Oleg wdrapał się na drobinę, wyjął z kieszeni licznik promieniotwórczości i przystawił go do wąskiej szczeliny. Strzałka drgnęła, ale do czerwonej kreski nie doszła. Dużo jej jeszcze brakowało. W kotlinie było bardzo cicho, słyszał więc nie tylko rozmowę w dole, ale nawet oddech Marianny.

— Szkoda, że Tomasz nie doszedł — pociągnęła nosem Marianna. — Tak mi żal, że nie masz pojęcia.

— Pewnie, że szkoda — zgodził się Dick. — Ale on by i tak nie doszedł. I my przez niego byśmy nie doszli.

— Nie wolno tak mówić — powiedziała Marianna. — On to usłyszy i obrazi się.

— Przecież on nie żyje — odparł Dick. — A martwi nie słyszą.

— Nie wiem — powiedziała Marianna. — Może i słyszą.

Oleg nacisnął pokrywę włazu. Ani drgnęła. Jak ją pociągnąć do siebie?

— Nie wychodzi? — zapytała Marianna. Chmury zakryły słońce i od razu zrobiło się ciemniej, bardziej swojsko.

— Poczekaj! — wykrzyknął Oleg. — Dlaczego właściwie pchamy i ciągniemy pokrywę jak drzwi domu? Może drzwi statku otwierały się inaczej?

— Daj sobie spokój, złaż — powiedział Dick. — Zaraz przyniosę jakiś kamień.

— Kamieniem nie dasz rady — powiedział Oleg i zamyślił się. Jak mogą otwierać się drzwi? Do środka? Do środka już je pchaliśmy. Drzwi są trochę zagłębione w stosunku do pancerza, a więc może spróbować popchnąć je w bok? Tak normalnie nie bywa, ale jeżeli statek leci, to lepiej, żeby drzwi nie mogły się przypadkowo same otworzyć. Powiedział do Dicka: — Daj mi nóż.

Dick rzucił mu nóż, wsunął ręce pod pachy i zaczął przytupywać nogami. Zmarzł, nawet on zmarzł. Sypnął suchy śnieg. Byli sami na świecie, umierali z głodu i zimna, a statek nie chciał ich puścić do środka.

Oleg wsunął koniec ułamanego noża w szczelinę, i spróbował popchnąć pokrywę w bok. Rozległ się głośny trzask i pokrywa lekko, jakby tylko na to czekała, przesunęła się i znikła w ścianie. W porządku. Oleg nawet nie odwrócił się i nie krzyknął, żeby wszyscy widzieli, jaki to on mądry. Rozwiązał zadanie. Bardzo lubił rozwiązywać zadania. Wprawdzie to było niezbyt trudne, ale inni nie potrafili go rozwiązać. Oleg wetknął nóż za pasek i znowu wydobył licznik promieniotwórczości.

— Oj! — usłyszał głos Marianny. — Oleg otworzył!

— To dobrze — odezwał się Dick. — Właż do środka. Na co czekasz?

Licznik wskazał, że niebezpieczeństwa nie ma. Wszystko w porządku,

— Tam jest ciemno — powiedział Oleg. — Daj pochodnię.

Nawet ostatniej nocy, kiedy było bardzo zimno, nie rozpalili pochodni. Zresztą pochodnie dają mało ciepła, tyle że długo płoną.

— Tam jest ciepło? — zapytała Marianna.

— Nie — odpowiedział Oleg i pociągnął nosem. Wewnątrz statku zachował się obcy, niebezpieczny zapach. Ogarnął go lęk, ale w tej chwili zrozumiał, że teraz jest ważniejszy od Dicka, że Dick jeszcze bardziej się boi. Tymczasem Dick wyjął krzesiwo i rozpalil pochodnię,

która zajęła się malutkim, prawie niewidocznym w świetle dnia płomieniem. Wdrapał się do połowy drabiny i podał pochodnię Olegowi, ale dalej nie poszedł. Oleg wziął pochodnię i wsunął ją do wnętrza statku. Przed nim była ciemność, a pod nogami zaczynała się równa, szorstka podłoga. Oleg powiedział głośno, żeby zagłuszyć strach:

— No to idę. Bierzcie pochodnie i za mną! Będę czekał na was w środku.

Podłoga ugięła się trochę pod nogami jak kora żywych drzew. Oleg wiedział jednak, że podłoga jest martwa i że takich drzew na Ziemi nie ma. Wydało mu się, że ktoś się do niego podkrada. Znieruchomiał, ale za chwilę zrozumiał, że słyszy odbite od czegoś echo własnego oddechu. Zrobił jeszcze jeden krok do przodu i światło rozpalającej się pochodni oświetliło zaokrąglającą się u góry ścianę jasną i błyszczącą ścianę. Dotknął jej. Była zimna jak kamień.

Wreszcie znalazłem się w domu, pomyślał. Moim domem jest wioska, ale mam również drugi dom, który nazywa się kosmiczny statek badawczy „Polus” i który śnił mi się tysiąc razy... Śnił się zupełnie inny, niż jest naprawdę. A przecież kiedyś tu byłem. Urodziłem się tu i gdzieś w ciemnej głębi statku znajduje się pokój, w którym stała moja kołyska.

— Gdzie jesteś? — zapytał Dick. Oleg obejrzał się. Sylwetka Dicka prawie bez reszty wypełniała otwór włazu.

— Chodź tutaj, nie bój się — powiedział Oleg. — Tu nikogo nie ma.

— Gdyby był, to dawno by już zamarł — odparł Dick bardzo głośno. Oleg podał mu swoją pochodnię, żeby tamten mógł przypalić swoją, a potem zapalić pochodnię Marianny.

Z trzema pochodniami od razu zrobiło się jaśniej, chociaż było bardzo zimno. O wiele zimniej niż na zewnątrz, bo tam było świeże powietrze, a tu martwe i zastałe. Korytarz wkrótce zakończył się drzwiami, ale Oleg już wiedział, jak je otworzyć. Marianna i Oleg zobaczyli, jak on to robi, zrozumieli, że Oleg zachowuje się o wiele pewniej niż oni. Może nie była to jeszcze prawdziwa pewność siebie gospodarza, ale w każdym razie jakieś poczucie więzi ze statkiem, który im wydawał się przerażającą, groźną i straszliwą pieczarą. Bali się go tak bardzo, że gdyby nie głód i lęk przed lodowatą pustynią, zostaliby na zewnątrz. Gdyby Tomasz dotarł z nimi do statku, wszystko wyglądałoby inaczej. Oleg nie mógłby podjąć się roli przewodnika i odkrywcy tajemnic, ale lepszy już był Oleg niż nikt.

Za drzwiami była okrągła sala. Taka ogromna, że zmieściłaby się w niej cała wioska. Mimo światła trzech pochodni jej strop krył się w ciemności.

— Hangar powiedział Oleg, powtarzając wyuczone na pamięć słowa Starego. Znajdują się tu lądowiki i inne pojazdy planetarne. Jednak przy lądowaniu wszystkie zasilacze uległy zniszczeniu.

— Pozbawiło to załogę i pasażerów statku wszelkich środków lokomocji i zmusiło ich do pieszej wędrówki przez góry — zakończyła Marianna.

Stary na lekcjach zmuszał ich do uczenia się na pamięć historii wioski, początków tej historii, żeby nie poszła w zapomnienie. „Jeśli ludzie nie mają papieru, to uczą się historii na pamięć” — powtarzał. — „Bez historii ludzie przestają być ludźmi. Dotyczy to zarówno jednostek, jak i całych społeczności”.

— Ten marsz spowodował wiele ofiar... — chciał kontynuować Dick, ale nie dokończył, zamilkł. Tu nie wolno było głośno mówić.

Przed nimi, przegradzając drogę, leżał cylinder długości około dziesięciu metrów.

— A — powiedział Oleg — to jest ten kuter, który chcieli ręcznie wyciągnąć z hangaru, ale nie zdążyli. Musieli uciekać przed promieniotwórczością.

— Jak zimno — powiedziała Marianna.

— On trzyma w sobie mróz jeszcze od zimy — powiedział Dick — Dokąd teraz? — zapytał, uznając w ten sposób zwierzchnictwo Olega.

— Tu powinny być otwarte drzwi prowadzące do przedziału silnikowego odparł Dick — Ale nie wolno tam wchodzić. Musimy odszukać schody na górę.

— Jak ty się dobrze wszystkiego nauczyłeś! — wykrzyknęła Marianna.

— Przydało się, jak widzisz.

— Tu powinno być mnóstwo różnych rzeczy — powiedział Dick. — Ale jak my je ze sobą zabierzemy?

— A może zmarli wrócili tu i chodzą dokoła? — powiedziała Marianna.

Przestań, bo dam ci w łeb — powiedział Dick.

— No jasne! — Oleg zatrzymał się gwałtownie.

— Co? Co zobaczyłeś?

— Wiem, co trzeba zrobić. Jeśli zagniemy końce drabiny do góry, to wtedy będzie można ją załadować i ciągnąć za sobą. Jak sanie, które zrobił Siergiejew.

— A ja myślałam, że zobaczyłeś nieboszczyka — powiedziała Marianna.

— Ja też o tym myślałem — mruknął Dick — ale jeszcze za wcześnie na wyginanie drabiny.

— Pierwsze drzwi — powiedział Oleg — Tam nie wolno wchodzić.

— Ja zajrzę — zdecydował Dick.

— Tam z pewnością jest promieniotwórczość ostrzegł Oleg. — Stary ciągle to powtarzał.

— Nic mi ona nie robi. Jestem silny — powiedział Dick.

— Promieniotwórczość jest niewidzialna. Doskonale o tym wiesz, przecież się uczyłeś. — Oleg ruszył dalej, trzymając pochodnię blisko ściany. Ściana była nierówna. Były w niej nisze i otwarte tablice z guzikami i zimno połyskującymi ekranami.

A Tomasz był inżynierem i wiedział, co znaczą te guziki i jaką siłę w sobie kryją.

— Tyle wszystkiego nabudowali — powiedział Dick, wciąż niepokodzony ze statkiem — a jednak się rozbili.

— Ale za to przylecieli z nieba — przypomniała mu Marianna.

— To są właśnie te drzwi — powiedział Oleg — Tędy dojdziemy do pomieszczeń mieszkalnych i kabiny nawigacyjnej.

Jak to zawsze brzmiało „kabina nawigacyjna”, „sterówka”... Jak zakłęcia.

I oto teraz, za chwilę, zobaczę kabinę nawigacyjną.

— Pamiętasz numer swojego pokoju? — zapytała Marianna.

— Kajuty poprawił ją Oleg. — Oczywiście, że pamiętam. Czterdzieści cztery.

— Ojciec mnie prosił, żebym zajrzała i zobaczyła, jak tam jest. Nasza miała numer sto dziesięć A ty urodziłeś się na statku? Prawda?

Oleg nie odpowiedział. Zresztą to pytanie nie wymagało odpowiedzi. Dziwne było, że Marianna myśli tak samo, jak on, bo zawsze się dziwimy, kiedy ludzie, których uważamy za niezbyt mądrych, nagle zaczynają myśleć o tym samym, co i my.

Oleg odsunął drzwi i gwałtownie odskoczył.

Zapomniał, że można się tego spodziewać. Stary uprzedzał, że na statku może działać oświetlenie awaryjne, niezależnie od źródeł zasilania. Na zasadzie fluorescencji, czyli samoświecenia. Są takie farby, które potrafią wydzielać światło przez wiele lat. Takimi farbami pomalowane są korytarze i kabina nawigacyjna.

Światło płynęło zewsząd i znikąd. Było wystarczająco jasno, żeby pochodnie jakby przygasły, a ich płomień stał się niewidoczny i niepotrzebny.

— Oj! — szepnęła Marianna. — A może tu ktoś mieszka?

— Nieboszczycy — spróbował zażartować Dick.

— Dobrze, że jest światło — powiedział Oleg — bo możemy zaoszczędzić pochodnie.

— Jakby nawet cieplej — zdziwiła się Marianna.

— To tylko złudzenie — powiedział Oleg. — Ale na pewno znajdziemy tu jakieś ciepłe rzeczy i będziemy spać pod dachem.

— Nie — powiedział Dick, który został trochę z tyłu i jeszcze nie wszedł do jasnego korytarza. — Ja tu spać nie będę.

— Dlaczego?

— Będę spał na śniegu, bo tam ciepłej.

Oleg rozumiał, że Dick boi się spać na statku, ale on statku się nie lękał i chciał w nim zostać. Może z początku trochę się przestraszył, ale teraz wiedział, że to jest jego dom.

— Ja też tu nie będę spała! — wykrzyknęła Marianna. — Tu mieszkają cienie tamtych ludzi. Ja się ich boję.

Prawa ściana korytarza była zrobiona z materiału tak przezroczystego, jak cienka warstwa wody. Marianna przypomniała sobie jego nazwę: szkło. Za nim były zielone rośliny z zielonymi listkami. Takich zielonych listków w lesie nie bywa.

— One nie złapią? — zapytał Oleg.

— Nie — odparła Marianna. — One zamarzną. A w dodatku na Ziemi rośliny nie gryzą, nie pamiętasz? Przecież ciocia Luiza opowiadała nam o tym.

— To nieważne — powiedział Dick, — Idziemy. Nie możemy już dłużej tak włóczyć się bez celu. Może tu wcale nie ma jedzenia? Niedługo zdechnę z głodu!

Dziwne, pomyślał Oleg, zupełnie nie chce mi się jeść. Tak dawno nie jadłem, a wcale nie jestem głodny. To nerwy.

Dziesięć kroków dalej szkło było rozbite. Marianna wyciągnęła rękę, żeby dotknąć rośliny.

— Nie wolno! — ostrzegł Dick.

— Ja wiem lepiej — powiedziała dziewczyna, ja je czuję. A te rośliny są martwe.

Musnęła gałązkę i liście rozsypały się w pył.

— Szkoda — westchnęła Marianna. — Szkoda, że nie ma nasion. Zasialibyśmy je w wiosce.

— Najważniejsze jest z prawej strony — powiedział Oleg. — Tam znajdują się magazyny. Chodźmy zobaczyć, co w nich jest.

Skręcili w prawo. Pośrodku korytarza leżał rozerwany półprzezroczysty worek, a wokół niego poniewierało się kilka miękkich puszek. Widocznie w czasie ucieczki ze statku worek rozerwał się i nie było czasu, żeby go naprawić.

* * *

To była dziwna, cudowna uczta. Otwierali puszki — Dick nożem, a Oleg domyślił się, że można to robić bez noża, naciskając palcem na krawędź puszki — i próbowali po kolei wszyscy, co było w puszkach i tubkach. Prawie zawsze było to smaczne i nieznanne. I nie żal było puszek, bo były tam całe pokoje pełne pojemników i skrzynek, miliony puszek i nieprzebrane ilości najrozmaitszych innych produktów. Pili skondensowane mleko, ale nie było przy nich Tomasza, który powiedziałby, że to jest skondensowane mleko, łykali szprotki, ale nie wiedzieli, że to są szprotki, wyciskali z tubek dżem, który wydał im się zbyt słodki, ćpali mąkę, nie wiedząc, że to jest mąka. Marianna zmartwiła się, że tak zapaskudzili całą podłogę, ale zaczęła robić chłopcom wyrzuty dopiero wtedy, kiedy już się najadła. Później wszyscy jedli i próbowali jedzenie tylko z ciekawości i nie brali do ręki jednakowych opakowań.

A potem jeszcze zaczął morzyć ich sen. Oczy kleiły się ze zmęczenia i wyczerpania. Mimo tego Olegowi nie udało się namówić Dicka i Marianny, żeby zostali na statku. Wyszli we dwójkę, a Oleg, gdy tylko ich kroki ścichły w korytarzu, przestraszył się nagle i ledwie się powstrzymał, żeby nie pobiec za nimi. Może pobiegłby, gdyby nie był tak śmiertelnie zmęczony. Zwalił się na

podłogę, odsuwając na bok puszek po konserwach i spał przez wiele godzin. Czas na statku stał jednak w miejscu, a przynajmniej nie dało się w żaden sposób uchwycić jego upływu. Oleg spał spokojnie, bez snów i myśli, o wiele spokojniej niż Dick i Marianna, gdyż Dick, nawet taki zmęczony, budził się kilkakrotnie i nadstawiał ucha, czy nie ma jakiegoś niebezpieczeństwa. Wtedy też natychmiast budziła się Marianna, leżąca z głową opartą na jego piersi. Nakryli się wszystkimi kocami i namiotem, i nie było im zimno, bo wieczorem zaczął padać gęsty śnieg i przysypał namiot, zamienił legowisko w wysoką zaspę. Dick, który słyszał przez sen szelest kryształków lodu rzucanych wiatrem w ścianę zwisającego nad nim statku, myślał półprzytomnie, że to bardzo dobrze, że pada śnieg, bo zwierzęta, które mogą gdzieś tu żyć, nigdy ich nie zauważą.

Oleg ocknął się pierwszy. Obudził się dlatego, że zmarzł na kość. Długo podskakiwał w miejscu, żeby się rozgrzać, a potem najadł się. To było niezwykle uczucie — nie myśleć, czy wystarczy jedzenia. Dawno go już nie doznawał. Trochę bolał brzuch, chociaż powinien boleć znacznie mocniej. Wstyd było patrzeć na resztki wczorajszej uczy, więc Oleg odsunął w kąt puste i na poły puste puszek. Trzeba iść dalej, pomyślał. Zawołać tamtych? Nie, na pewno jeszcze śpią... Wydawało mu się, że spał zaledwie parę minut.

Postanowił rozejrzeć się trochę po statku, a potem dopiero wyjść na zewnątrz i obudzić Dicka i Mariannę. Na statku nikogo nie ma, od dawna już nikogo nie ma, więc nie ma się kogo bać. Nie wolno tracić czasu. Trzeba się zbierać do powrotu, bo za dwa lub trzy dni przełęcz zasypie śniegiem. A my tu sobie śpimy. Czy w takiej sytuacji można spać?

Oleg, jak prawdziwy mieszkaniec lasu, doskonale orientował się w terenie. I nie tylko. Nawet na statku. Nie bał się zabłądzić i dlatego spokojnie ruszył pochylnią w górę, na pokład mieszkalny. Chciał odnaleźć numer czterdzieści cztery. Jego kajutę. Wiedział, że dopóki jej nie zobaczy, statek nie będzie dla niego prawdziwym domem.

Drzwi z okrągłą tabliczką „44” znalazł po godzinie. Nie dlatego, że trudno je było znaleźć, tylko z tego powodu, że po drodze zaglądał do różnych pomieszczeń. Najpierw trafił do mesy, gdzie zobaczył długi stół z kryształowymi solniczkami i naczyniami na różne inne przyprawy. Bardzo mu się spodobały. Włożył ich nawet parę do worka, bo pomyślał, że matka ucieszy się, kiedy przyniesie jej takie ładne przedmioty. Potem długo przyglądał się szachom. Widocznie przy wstrząsanie pudełko spadło na podłogę i rozbiło się, a figury rozsypały się po dywanie. Nikt mu nigdy nie opowiadał o szachach, więc Oleg uznał, że są to rzeźby nieznanymi mu ziemskimi zwierzętami. Zaskoczył go też i zdumiał sam dywan, na którym nie było żadnych szwów, a więc musiał być zrobiony ze skóry jednego zwierzęcia. Jakie to ziemskie zwierzę jest tak wielkie i w dodatku ma takie dziwne wzory na skórze? Musi to być zwierzę morskie, bo Aggie opowiadała, że największe zwierzęta żyją w oceanach i nazywają się wieloryby. Ale Olegowi dawniej, nie wiedzieć czemu, wydawało się, że wieloryby mają gładką skórę. Znalazł jeszcze mnóstwo innych, niezrozumiałych przedmiotów i pod koniec godziny, której potrzebował, żeby dotrzeć do kajuty numer czterdzieści cztery, był tak oszołomiony wrażeniami, że poczuł się kompletnie zmęczony i ogłupiały. Nie, był zrozpaczony i wściekły na swą tępotę i bezradność, na to, że Tomasz nie doszedł do statku i nie może powiedzieć, co to wszystko znaczy... Wiedział, że to niesprawiedliwe i głupie, ale największy żal miał jednak do Tomasza, jakby ten, umierając, oszukał go, zrobił mu na złość.

Przed drzwiami do kajuty numer czterdzieści cztery Oleg stał dłuższą chwilę, bojąc się je otworzyć, chociaż wiedział, że niczego szczególnego tam nie znajdzie. Wiedział też, dlaczego. Matka wprawdzie wiele razy mówiła, a i inni to wciąż powtarzali, że ojciec zginął w maszynowni podczas wybuchu reaktora, ale on nie wiedzieć czemu myślał, że ojciec może być za tymi drzwiami, że mógł później, kiedy wszyscy odeszli, przekonani o jego śmierci, ocknąć się, dotrzeć do swojej kajuty i tam zamarznąć. Nie wiadomo czemu Oleg nigdy nie wierzył w śmierć ojca, który

dla niego zawsze pozostał żywy, samotny i porzucony na statku. Może płynęło to i wewnętrzne przekonania matki, która była pewna, że ojciec żyje. To był jej koszmar, jej starannie przed wszystkimi ukrywana choroba Nawet przed synem, który doskonale o niej wiedział.

Wreszcie chłopak zmusił się do otwarcia drzwi. W kajucie było ciemno, bo ściany jej były pomalowane zwyczajną farbą. Trzeba było zapalić pochodnię i poczekać, aż oczy przyzwyczają się do półmroku Kajuta składała się z dwóch pokoi. W pierwszym stało biurko i tapczan, na którym nocował ojciec, a w drugim, wewnętrznym pokoju mieszkała matka z nim, Olegiem, malutkim niemowlęciem.

Pokój był pusty. Ojciec nie wrócił do niego Matka się myliła, ale Olega czekała inna niespodzianka, inny wstrząs, wyraz martwego czasu, w którym żył przez te wszystkie lata statek od momentu, kiedy ludzie go porzucili, do dnia, w którym zjawił się na nim Oleg.

W małym pokoiku stało łóżeczko dziecinne. Natychmiast zrozumiał, że ta miękka, elastyczna konstrukcja podwieszona na sprężynach jest przeznaczona dla małego dziecka. I oto nie wiadomo czemu przed chwilą zabrano stąd dziecko, zabrano w wielkim pośpiechu... Zostawiono nawet jedną maleńką różową skarpeteczkę i kolorową grzechotkę. Oleg, jeszcze nie w pełni rozumiejąc, że spotkał się z samym sobą w tym rezerwacie zakrzepłego czasu, podniósł grzechotkę i potrząsnął nią. Właśnie w tym momencie, usłyszawszy dźwięk grzechotki i, co dziwne, rozpoznawszy go, uświadomił sobie realność statku, realność tego świata, o wiele głębszą i prawdziwszą niż rzeczywistość wioski i lasu. W normalnym życiu nie można spotkać się z samym sobą. Przedmioty znikają, a jeśli któryś z nich nawet się uchowa, to staje się pamiątką, talizmanem. A tutaj w tulei przymocowanej do siatki łóżeczka wisiała niedopita buteleczka mleka. Mleko zamarzło, ale można je było rozgrzać i dopić. Wrócić po szesnastu latach i dopić.

I zobaczywszy siebie, spotkawszy się z sobą, cały jeszcze pod wrażeniem tego spotkania, Oleg zaczął szukać śladów pozostałych dwojga ludzi, którzy żyli tam za przepaścią martwego czasu — ojca i matki.

Matkę odnaleźć było łatwo. Uciekała stąd, zabierając ze sobą jego, Olega, bo na jej łóżku stojącym w głębi pokoju poniewierał się zmięty, zerwany z siebie w pośpiechu szlafrok. Miękki pantofelek wyglądał spod łóżka, książka założona kartką papieru leżała na poduszce. Oleg uniósł książkę, ostrożnie, żeby się nie rozpadła w pył, jak rośliny z korytarza. Ale książka doskonale zniosła mróz. Nazywała się „Biesy” i była napisana przez Dostojewskiego. To była gruba książka, a na zakładce widniały niezrozumiałe wzory — matka była chemikiem teoretykiem. Oleg nigdy nie widział pisma matki, bo w wiosce nie było na czym pisać, nigdy też nie widział książki, bo podczas ucieczki nikt nie pomyślał o zabraniu ich ze statku... Słyszał nazwisko Dostojewskiego na lekcjach cioci Luizy, ale nie przypuszczał, że pisarz może napisać taką grubą książkę. Wziął książkę ze sobą. I wiedział, że doniesie ją do wioski. Tę kartkę z wzorami też. Po chwili namysłu włożył do worka również matczyne pantofelki. Wydawały się o wiele za małe na rozczłapane nożyska matki, ale chciał, żeby je miała.

A ślady ojca, choć oczywiste i dotykalne, nie wiedzieć czemu nie zrobiły na nim większego wrażenia. Pewnie dlatego, że ojca w chwili katastrofy statku nie było w kajucie. Wszedł z niej o wiele wcześniej. Wszedł na wachtę, a przedtem posprzątał po sobie, bo nie znosił nieporządku. Oleg i żona w tym czasie spali. Książki ojca stały równym rzędkiem na oszklonej półce, jego rzeczy wisiały w szafie... Oleg wyjął z szafy mundur ojca. Pewnie nie nosił go na statku, bo mundur był zupełnie nowy. Granatowa kurtka z dwoma gwiazdkami na piersi, nad lewą kieszenią i takie same spodnie z cieniutkimi złotymi lampasami. Oleg przyłożył mundur do siebie. Był odrobinę za duży. Wobec tego założył kurtkę munduru na swoją i nieco podwinął rękawy. Spodnie też podwinął. Teraz było w porządku. Ciepło i wygodnie I nie było też w tym niczego niestosownego, bo przecież gdyby ojciec mieszkał w wiosce i chodził w tym mundurze, na pewno

pozwoiliłby Olegowi czasami go zakładać.

Teraz już statek ostatecznie należał do Olega. Nawet po powrocie do lasu zawsze będzie za nim tęsknił i zrobi wszystko, żeby tu znów przyjść, tak samo jak tęskni za statkiem Stary i jak tęsknił Tomasz. W tym też nie było nic złego. Było zwycięstwo starego nauczyciela, który nie chce, aby ci, którzy rosną w wiosce, stali się częścią lasu. Teraz Oleg zrozumiał już ostatecznie, jak i dlaczego myślał Stary, a słowa jego nabrały dla niego sensu, który naprawdę poznać można jedynie tutaj.

Oleg domyślił się, że blat stolika można unieść. Zrobił to i na jego wewnętrznej stronie znalazł lustro. Widywał swoje odbicie w spokojnej powierzchni jeziora i w małym lustreczku, którego Krystyna strzegła jak źrenicy oka. Ale w dużym zwierciadle nie widział siebie nigdy. Patrzył więc na siebie i czuł rozdwojenie, ale to rozdwojenie nie było nienaturalne, bo przecież tam, za zamkniętymi drzwiami przed momentem jeszcze był on, mały Oleg... Nie dopił nawet mleka! A teraz stoi przed lustrem w mundurze ojca. Chociaż teraz zupełnie nie jest podobny do ojca, bo twarz ma odmrożoną, spierzchniętą od wiatru, ciemną, pokrytą przedwczesnymi zmarszczkami od niedojadania i ostrego klimatu, to jednak wyrósł, wrócił, założył mundur i stał się członkiem załogi statku badawczego „Polus”.

W biurku znalazł notes ojca. Połowa kartek była w nim czysta. Co najmniej sto pustych, białych kartek, prawdziwy skarb dla Starego. Będzie można uczyć dzieciaki, rysując na papierze różne rzeczy, żeby zobaczyły i rozumiały, bo przecież, kiedy podrosną, będą musiały wrócić na statek. Znalazł tam również wiele przestrzennych obrazków z widokami ziemskich miast i również je zabrał. Niektóre inne rzeczy były dla niego niezrozumiałe, więc zostawił je w spokoju, wiedział bowiem, że droga powrotna do osiedla będzie trudna. Ale jedną rzecz wziął, gdyż od razu domyślił się, co to jest, i rozumiał, jak bardzo uszczęśliwi ona Siergiejewa i Veitkusa, który rysował ten przedmiot na wilgotnej glinie i wielokrotnie powtarzał: „Nigdy sobie nie wybaczę, że nikt z nas nie wziął blastera. Żaden”, „Niepotrzebnie robisz sobie wyrzuty — odpowiadał mu na to Stary. — W tym celu trzeba byłoby wrócić do sterówki, a tam była śmiertelna promieniotwórczość”. Okazuje się, że blaster leżał u ojca w biurku.

Zimna, ciężka rękojeść broni pasowała do ręki jak ulał.

Żeby sprawdzić, czy blaster jest nabity, Oleg skierował jego wylot na ścianę i nacisnął spust. Z blastera wyskoczyła błyskawica i opaliła ścianę. Oleg zmrużył oczy, ale długo jeszcze pod powiekami wirowały mu iskry. Potem wyszedł na korytarz z blasterem w dłoni. Teraz był nie tylko gospodarzem statku, teraz mógł rozmawiać z lasem jak równy i równym, ostrzegać: nie zaczepiajcie nas, lepiej nas nie zaczepiajcie...

Na korytarzu zatrzymał się w niezdecydowaniu. Chciał pójść do kabiny nawigacyjnej lub łącznościowej, ale rozsądniej było wrócić do magazynu, bo jeśli Dick i Marianna już tam są, to na pewno będą się niepokoić,

Pobiegł tam, ale magazyn był pusty. Nikt tam nie zaglądał. No cóż, trzeba iść i obudzić tych śpiochów, pomyślał i mimo woli wyobraził sobie, jak stanie przed nimi w mundurze kosmonauty i powie: „Wy tu sobie śpicie, a gwiazdy na nas czekają...”

Nie gasząc pochodni nawet w oświetlonym korytarzu wszedł szybkim krokiem do hangaru i przeciął go na ukos. Tym razem droga okazała się o wiele krótsza niż wczoraj, bo już przyzwyczaił się do statku. W przodzie ukazało się jasne światło — pokrywa wjazdu była otwarta. Dick i Marianna zapomnieli go zamknąć. To zresztą tutaj nie było ważne, bo na takiej wysokości i w śniegu żadnych zwierząt pewnie nie było, bo i co niby miałyby tu robić?

Oleg zmrużył oczy i stał tak chwilę, aż oczy przywykły do światła słonecznego. Słońce stało wysoko, noc dawno minęła. Oleg otworzył oczy i przestraszył się.

Nie dostrzegł żadnych śladów Dicka i Marianny, bo padający w nocy śnieg wszystko zasypał i

wyrównał. Nic, tylko śnieg bez jednej chociażby ciemnej plamy.

— Hej! — powiedział półgłosem. Było tak cicho, że strach było tę ciszę zakłócić,

Niemal w tej samej chwili zauważył, jak coś białego poruszyło się w okrągłym cieniu statku, o jakieś dwadzieścia metrów od drabiny.

Była tam niewysoka, obła zaspą. I zwierzę, białe, niemal zlewające się ze śniegiem, jakiego Oleg nigdy przedtem nie widział podobne do jaszczurki, tylko że kudłate i długie na jakieś cztery metry, ostrożnie rozgrzebywało tę zaspę, jakby bało się spłoszyć zdobyczą. Oleg jak zaczarowany patrzył na zwierzę i czekał, co będzie dalej, bo nie kojarzył śnieżnego wzgórzka z miejscem noclegu Dicka i Marianny. Nawet już wtedy, kiedy łapy zwierzęcia zgarnęły śnieg z ciemnej płachty, nadal stał nieruchomo.

Ale w tym momencie obudził się Dick, który przez sen usłyszał ruch zwierzęcia i poczuł jego obcy, groźny zapach. Chwycił nóż i spróbował wyskoczyć spod namiotu, ale zaplątał się w kocach. Olegowi wydawało się, że zaspą nagle wybuchła, trysnęła w górę strumieniami śniegu i kłębowiskiem futer, a zwierzę, zupełnie nie przestraszone tą eksplozją, schwytało szponiastymi łapami skóry i przydusiło je do śniegu.

Oleg—mieszkaniec lasu, wymacał nóż u pasa i już przygotowywał się do skoku, usiłując wypatrzeć, gdzie ten biały zwierz — ma najczulsze miejsce, w które należy wbić żelazo, a Oleg—mieszkaniec statku i syn mechanika, zamiast noża wyszarpnął zza pasa blaster, ale nie wystrzelił. Był wysoko i za daleko. Zeskoczył w śnieg i ściskając broń w rękę, rzucił się w kierunku zwierzęcia. Drapieжник zobaczył go, uniósł pysk i warknął. Widocznie uznał go za konkurenta do zdobyczy. Wtedy, już nie lękając się trafić Dicka, Oleg zatrzymał się i władował błyskawicę w wyszczerzoną paszczę zwierzęcia.

* * *

Kiedy Dick z Marianną, już najedzeni, ruszyli na obchód statku i zaczęli potem znosić do wyjścia wszystko to, co trzeba było zabrać ze sobą, Oleg wszedł na samą górę, do kabiny nawigacyjnej. Wołał ze sobą Dicka, ale bez skutku, bo tamtemu dość było samej zdobyczy. Nie poszła z nim również Marianna, której pokazał, gdzie znajduje się szpitalik. Siedziała tam teraz i wybierała lekarstwa oraz narzędzia, które opisała jej Aggie. A trzeba się było naprawdę spieszyć, bo znów zaczął padać śnieg i wyraźnie się oziębilo. Jeszcze dzień i z gór nie można się będzie wydostać. Śnieg będzie walił przez wiele dni, a temperatura spadnie do minus pięćdziesięciu stopni. Dlatego właśnie Oleg znalazł się w kabinie nawigacyjnej sam.

Postał chwilę w niezwykłym otoczeniu aparatów w samym środku statku, którego stworzenie było nie do pomyślenia bez milionów ludzkich umysłów i całych tysięcy lat ziemskiej cywilizacji. Oleg nie odczuwał ani przerażenia, ani beznadziejności. Wiedział, że teraz wioska, przynajmniej dla niego, przestała być pępkiem świata, że przekształciła się co najwyżej w prowizoryczną, tymczasową kryjówkę na te parę lat, zanim statek nie stanie się prawdziwym domem, zanim nie zrozumieją go na tyle, aby przy jego pomocy znaleźć sposób zawiadomienia o sobie Ziemi. A w tym celu konieczne jest, starsi mówili o tym tysiące razy, przywrócenie awaryjnej łączności. Niech to będzie nie zaraz, niech to będzie za wiele lat bo tego przecież trzeba się nauczyć. Oleg wszedł do kabiny radiowej, bo Stary powiedział mu, gdzie znajdzie informatory i instrukcje łącznościowe, które trzeba przeczytać i zrozumieć, dopóki jeszcze żyje Stary i Siergiejew, którzy mogą pomóc Olegowi i tym, którzy przyjdą po Olegu.

W kabinie radiowej panował półmrok i dlatego Oleg nie od razu znalazł skrzynię z kompletem instrukcji. Wyjął książki. Było ich całe mnóstwo i nie wiadomo, która z nich była ważniejsza... Oleg wiedział jedno prędzej wyrzuci pantofelki matki niż te książki. Bardzo chciałby wziąć ze sobą

również nieco części i najprzydatniejszych narzędzi, ale wiedział, że trzeba to odłożyć do następnego razu, kiedy pojmie już sens i znaczenie wszystkich tych ekranów i tablic rozdzielczych. No dobrze, można iść.

Kiedy już zabierał się do wyjścia, jego uwagę przykuło słabe migotanie na bocznym pulpicie, przysłoniętym przez fotel operatora Oleg ostrożnie, jak do dzikiego zwierza, zbliżył się do tego miejsca.

Na pulpicie miarowo rozbłyskiwało zielone światełko Zapalało się i gasło.

Oleg spróbował zajrzeć za skośną tablicę, żeby zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, ale nic z tego nie wyszło Wtedy usiadł w fotelu i zaczął naciskać guziki na tablicy. Nadal nic się nie zmieniło. Światełko migotało nadal. Co to znaczy? Po co to światełko? Kto je zostawił? Komu ono jest potrzebne? Dotknął dźwigienki, która lekko przesunęła się w prawo. I wtedy zza cienkiej siatki obok światełka rozległ się cichy ludzki głos:

— Mówi Ziemia... Mówi Ziemia... — Potem pisk do taktu z migocącym światełkiem, pisk pełen jakiegoś nie zrozumiałego sensu, a po minucie znowu: — Mówi Ziemia... Mówi Ziemia...

Oleg stracił poczucie czasu. Wciąż od nowa czekał na głos, któremu nie mógł odpowiedzieć, lecz który wiązał go z przyszłością, z chwilą, w której będzie mógł odpowiedzieć.

Do rzeczywistości przywołał go dzwoneczek zegarka naręcznego, który Dick znalazł w swojej kajucie i oddał mu. Zegarek dzwonił co piętnaście minut. Może tak powinno być, a może zegarek był po prostu zepsuty.

Oleg wstał i powiedział głosowi Ziemi.

— Do widzenia.

I ruszył w stronę wyjścia ze statku, ciągnąc za sobą pół worka instrukcji i podręczników, z których nie rozumiał nawet słowa.

Dick i Marianna już na niego czekali pod włazem.

— Już chciałem po ciebie iść powiedział Dick. — Chcesz tu zostać na zawsze?

— Chętnie bym został — odpowiedział Oleg. — Słyszałem, jak mówi Ziemia.

— Gdzie?! — wykrzyknęła Marianna.

— W kabinie radiowej. Powiedziałeś jej, że tu jesteśmy?

— Oni nie słyszą. To tylko jakiś automat. Łączność przecież nie działa, zapomniałaś?

— A może teraz sama się zreperowała?

— Nie — odpowiedział Oleg — Ale na pewno będzie działać.

— Ty to zrobisz?

— Patrz — pokazał Oleg na worek z książkami. Ja się tego wszystkiego nauczę.

Dick mruknął coś pod nosem.

— Dick — przeciągnęła błagalnie Marianna. — Ja tylko polecę tam i posłucham głosu. Na jednej nodze. Chodźmy razem, co?

— Kto to wszystko będzie niósł — powiedział kłótliwie Dick, patrząc na worek z książkami. Wiesz, ile śniegu jest na przełęczy.

Znowu czuł się najważniejszy. Zza pasa sterczała mu rękojeść blastera, ale kuszy rzecz jasna nie wyrzucił.

— Doniosę — powiedział Oleg i położył worek na śniegu. — Chodź, Marianna, posłuchasz głosu. Tym bardziej, że oczywiście zapomniałem o najważniejszej rzeczy W szpitalu jest jakiś niewielki mikroskop.

— I to nie jeden — odpowiedziała dziewczyna.

— Dobra — powiedział Dick. To i ja pójdę z wami.

* * *

Zapręgli się w trójkę do sań i ciągnęli je najpierw w górę stromym zboczem kotliny, potem przez płaskowyż, a wreszcie w dół. Padał śnieg i ciężko im się szło. Nie było jednak zbyt wielkiego mrozu i mieli mnóstwo jedzenia. Pustych puszek po konserwach nie wyrzucali.

Na czwarty dzień, kiedy zaczęli schodzić ciasną doliną potoku, usłyszeli nagle znajome beczenie.

Koza leżała pod skalnym nawisem nad samą wodą.

— Czekala na nas! — krzyknęła Marianna.

Koza wychudła na szkielet i wyglądała tak, jakby miała za moment zdechnąć. Trzy puszyste kozłątka usiłowały dobrać się jej do sutek.

Marianna szybko odrzuciła namiot okrywający sanie i zaczęła szukać w workach jakiegoś pożywienia dla kozy.

— Tylko jej nie otruj! — powiedział Oleg. Koza wydała mu się bardzo ładna. Ucieszył się na jej widok prawie tak samo, jak Marianna. I nawet Dick się nie złościł, bo był człowiekiem sprawiedliwym.

— To dobrze, żeś mi uciekła — powiedział. — Na pewno bym cię zabił, a tak to cię teraz zaprzężemy.

Inna rzecz, że kozy nie udało się zaprząć do sań. Bydlę nadymało trąbę i wrzeszczało tak, że aż skały się trzęsły, a w dodatku kozłeta zaczęły wtórować matce. Poszli więc dalej tak: Dick z Olegiem ciągnęli sanie, Marianna podtrzymywała je z tyłu, a na końcu szła koza z małymi i zebrała, bo ciągle chciało jej się jeść. Nawet kiedy weszli już do lasu, gdzie były grzyby i korzonki, nadal dopominała się skondensowanego mleka. Chociaż tak samo jak ludzie nie wiedziała jeszcze, że ta biała słodka masa nazywa się skondensowanym mlekiem.

BIAŁE SKRZYDŁA KOPCIUSZKA.

Nad Pawłyszem zawisło jakieś fatum i nic się na to nie dało poradzić. Biedny Pawłysz siedział w bufecie i liczył: na „Cecere” spóźnił się, więc musiał polecieć „Kompasem” i w rezultacie trafił do smoków, łącznie stracił w ten sposób ponad trzy miesiące urlopu i ani na krok nie zbliżył się do Korony. „Kompas” uległ awarii — znów prawie dwa miesiące straty. Jeśli dodać do tego dodatkowe przeloty, będziemy mieli niemal dokładnie pół roku. Cholery można dostać. Na domiar złego nasłuchiwał się dobrych rad i dobrowolnie zakotwiczył w takim miejscu, gdzie statki po prostu się nie pojawiają.

Wszystkiemu winien był Bakow, stary znajomy dowodzący teraz ratownikiem.

— Sława — powiedział Bakow. — Jednak będziemy musieli odholować „Kompasa”, bo nie ma sensu zaśmiewać obcych planet własnym sprzętem. Minie głupie tysiąc lat, ktoś tam znajdzie szczątki statku i zacznie budować fantastyczne teorie. Wiesz przecież, do czego to może doprowadzić...

Siedzieli na brzegu. Znów zachodziło słońce i znów iskierkę latarni nawigacyjnej można było dostrzec gołym okiem. Latarnia mrugnęła raz i drugi, przypominając o dniach tak zda się odległych, jakby upłynęło od nich co najmniej dwa lata. Podszedł Bauer. Był rozczochrany i wściekły.

— Słuchaj — zwrócił się do Bakowa, którego poznał jeszcze na pokładzie „Segeży”. Jeśli zamierzacie wyciągnąć stąd „Kompasa”, to już dawno powinniście zatroszczyć się o plastik i aparaturę. Przecież nie możemy tu siedzieć do końca świata!

— Właśnie to Sławie mówiłem. Za jakieś dziesięć godzin ruszamy na naszą bazę. Nie ma sensu, żebyś tam leciał, bo nie wiadomo kto i kiedy wystartuje stamtąd na Ziemię. Nam na bazie zejdzie co najmniej miesiąc.

W związku z tym proponuję ci następujące rozwiązanie wyrzucimy się na planetoidzie koordynacyjnej „Askor” W ich układzie pracuje przynajmniej pół tuzina wypraw badawczych, więc statki snują się tam bez przerwy, zupełnie jak na kosmodromie pierwszej klasy Nie zdążysz się obejrzeć, kiedy zabrają cię do domu albo do Koronów — do wyboru. Jeśli do nich trafisz, przekaz im z łaski swojej moje serdeczne pozdrowienia.

— Nie da rady — powiedział Pawłysz. — Koronów muszę odłożyć do lepszych czasów, bo ledwie mi starczy urlopu na powrót do domu.

— No, tośmy się dogadali — powiedział Bakow.

...Pawłysz siedział na planetoidzie już trzeci dzień. Zdążył tam poznać wszystkich i wszyscy jego znali. Chodził w gości, wypił morze herbaty, wygłosił pogadankę o reanimacji i zagrał symultane szachową. Przepracował nawet pół dnia w szklarni i przez pół dnia dyżurował zamiast bufetowej Klary, która w tym czasie zajmowała się swoją właściwą pracą, a mianowicie badaniami z zakresu fizyki próżni. Trzy dni okazały się nieskończenie długie i nieskończenie nudne. Może dlatego, że Pawłysz w ciągu ubiegłego półrocza wyczerpał cały swój zasób ciekawości świata i teraz był skłonny największe nawet cudo potraktować jako zjawisko całkowicie banalne.

Bakow pomylił się, bo na planetoidzie był tylko raz i to akurat wtedy, kiedy cumowały tam trzy statki. Najczęściej nie było tam ani jednego. Na przykład żaden nie pojawił się przez ostatnie trzy dni.

Pawłysz siedział w bufecie, czytał nieśmiertelne dzieło Machiavellego „Historia Florencji” i florentyńskie intrygi też go śmiertelnie nudziły Geolog Ninoczka stała za ladą baru i wymyślała Krokotowowi, który miał dyżur poprzedniego dnia i zapomniał wymyć szklanki.

Planetoid drgnął. Mignęły lampy pod sufitem.

— Kto przyleciał? — zapytał Pawłysz z nadzieją człowieka siedzącego na zapadłej stacji w samym środku wojny domowej, kiedy pociągi już nie chodzą, ale jeszcze można się spodziewać, że w każdej chwili jakiś jednak przyjedzie.

— Miejscowy — powiedział ponury mechanik Achmed, wpatrując się w widelec zawieszony nad talerzem pełnym konserwowanych parówek. — Towarowiec czwartej klasy. Ninoczka odłożyła tablice pokreślone czerwonym pisakiem i nalała Pawłyszowi filiżankę kawy. Patrzyła na niego ze współczuciem i łagodnym rozculeniem. Pawłysz bardzo jej się podobał i przedwczoraj przez trzy godziny opowiadała mu, dlaczego uważa swoje dwudziestoczworoletnie życie za skończone, a każdy akapit swojej spowiedzi kończyła słowami: „Rozumie mnie pan? Tutaj nikt mnie nie rozumie”. Pawłysz umiał słuchać, miał dobre oczy, a poza tym najdalej za kilka dni stąd odleci.

— Kursują tu przebudowane rudowce — powiedział Achmed. — Ten jest albo z Piątej Planety, albo z Projektu nr 18. Znudziły mi się te twoje parówki. Nino. Patrzeć na nie nie mogę.

— Takie same one moje, jak i twoje. Kiedy wypadnie twój dyżur, wtedy zapewne spróbujesz wymyślić coś innego.

— Czy można zapytać — mechanik zwrócił się do Pawłysza — gdzie się pan ostatecznie wybiera? Bo jeśli na Ziemię, to bym panu dał malutką paczuszkę. Dla matki. Proszę się nie obawiać, nie jest ciężka.

— Wezmę z przyjemnością — powiedział bez entuzjazmu Pawłysz, w którego bagażu leżało już co najmniej piętnaście „malutkich paczuszek”

— Sława — powiedziała Ninoczka — jest pan tajemniczym wędrowcem, którego gwiazdny wiatr gna od planety do planety. Czytałam gdzieś o takim niewolniku przeznaczenia.

— Ma pani rację. Z pewnością jestem jeńcem i wędrowcem.

— I przeznaczenie zdecyduje za pana. Przeznaczenie stanęło w drzwiach bufetu. Tym razem przybrało postać niziutkiego, krępego mężczyzny o przenikliwych czerwonych oczach. Mężczyzna nazywał się Spiro i po raz ostatni Pawłysz widział go podczas Świąta Karnawału w Lunaporcie Spiro wyglądał jak prawdziwy wilk kosmiczny w swym starannie dopasowanym kombinezonie ze sprzączkami od pasów mocujących zbiorniki powietrza na ramionach i mnóstwem zamków błyskawicznych na wypchanych kieszeniach. Spiro uniósł się na palcach Jego kamasze były wyposażone w podkówki magnetyczne, które przy sparzały mu co najmniej dwa centymetry wzrostu i podwajały pewność siebie.

— No tak — powiedział Spiro głosem wilka kosmicznego, który dopiero co pokonał barierę świetlną i wrócił z sąsiedniej galaktyki. — Czym tutaj częstują? Czym odległy posterunek na rubieżach uraduje spragnionego myśliwca?

— Pan jest z ciężarówki? — zapytała Ninoczka.

— Tak, nasza stara łajba dowlokła się ostatkiem sił do waszych penatów.

— Cześć, Spiro — powiedział mechanik Achmed. — przywiozłeś midie?

— Nieurodzaj — odparł Spiro — Te ślimaki okropnie na coś chorują.

— Pewnie przehandlowałeś je fizykom — powiedział Achmed.

— To potwarz! — oburzył się nieszczerze Spiro. — Kiedy bym miał to zrobić?

Bufetowa postawiła na ladzie szklankę lemoniady. Spiro rozkołysanym krokiem podszedł do baru i wyciągnął rękę.

— Nie macie czegoś mocniejszego? — zapytał, doskonale wiedząc, że nie mają.

— Dopiero co byli tu kosmiczni piraci z Czarnej Gwiazdy — wtrącił się do rozmowy Pawłysz — Wyzłopali trzy beczki rumu i wysadzili w powietrze bimbrownię Przechodzimy na czystą wodę.

— Co? — sploszył się Spiro. — Piraci? Znieruchomiał na moment ze szklanka lemoniady w ręku, ale zaraz poznał Pawłysza.

— Słuchaj — powiedział — Ja cię znam. Razem likwidowaliśmy skutki wybuchu na Księżycu. Ty się nazywasz Sawieliew.

Pawłysz nie zdążył zaproponować bodaj słowem, kiedy już Spiro odwrócił się do Ninoczki i powiedział konfidencyjnym tonem:

— Jakież pół roku temu eksplodowała wielka kopalnia na Księżycu. Nie słyszała pani?

— Skąd! — odezwał się Achmed. W tej zabitej deskami dziurze?... — Dziwne — powiedziała bufetowa. — Niedawno był tu statek z Ziemi. Załoga opowiadała, że kopalnia jest na ukończeniu.

— Zgadza się! — ucieszył się Spiro. A więc pani wie. Był kolosalny wybuch. Odłamki leciały na wszystkie strony! Na ratunek szli tylko ochotnicy. Proszę sobie tylko wyobrazić: próżnia, butle tlenowe pękają jak banki mydlane, lawa tryska strumieniami, a dokoła tylko lód i skały Czy to nie ciebie przypadkiem. Sawieliew, niosłem na grzbiecie do windy?

Spiro poruszył ramionami, przypominając sobie, jak to niósł Pawłysza.

— Po pierwsze nie pan — powiedział Pawłysz bez irytacji. Spiro był znajomym, Spiro uosabiał idiotyczny los Pawłysza. Spiro pławił się we własnym bohaterstwie i szczodrze dzielił się nim z otoczeniem Gotów był nawet część własnej sławy odstąpić Pawłyszowi. — Po wtóre, nie mnie W ogóle nie byłem wtedy w kopalni Zostałem na górze.

— Zgadza się, nie poszedłeś — przypomniał sobie Spiro. Nie poszedłeś, bo nie dla wszystkich starczyło skafandrów. To nie ciebie wynosiłem.

— Sam pan też nie zjeżdżał. Był pan na górze.

— Jasne! Byłem na górze potem, kiedy przyjechałeś. A przedtem siedziałem na dole.

Na Spira nie było metody. Jego pamięć wyróżniała się niesłychaną selektywnością i zachowywała jedynie te okoliczności i wydarzenia, które ją mile łechtały Cała reszta bez śladu się z niej ulatniała Pozwalało to Spirowi zawsze żyć w zgodzie z samym sobą, żyć w sympatycznym świecie własnych sukcesów i bohaterskich dokonań. Spiro nie kłamał, tylko po prostu nie wszystko pamiętał.

— Wypij ze mną — zaproponował Pawłyszowi. — Panienska jeszcze nam naleje.

— Przyjeżdżam ci ja kiedyś na zapomnianej przez Boga i ludzi stacyjkę — przedrzeźniał go Achmed — i wyobraźcie sobie, spotykam starego przyjaciela, z którym matowaliśmy kopalnię na Księżycu. No i strzeliliśmy sobie po jednym...

— O mnie pan mówi? — zdziwił się Spiro. — A co w tym dziwnego? Przecież ja Sawieliewa nie widziałem od pół roku. Tyle wody upłynęło... Co porabiasz, gdzie jesteś? Dlaczego odszedłeś z Księżyca?

Nie czekał na odpowiedź Pawłysza, bo jej zwyczajnie nie potrzebował i dlatego bez pauzy ciągnął dalej — A u mnie mnóstwo zmian. Na Księżycu byłem tylko przejściowo. Potem poszedłem do Geworkiana. On mi to właśnie powiedział: Spiro, jesteś potrzebny na rubieży, na pierwszej linii. Ruszyłem zatem na pierwszą linię, gdzie najniebezpieczniej.

Spiro potoczył po obecnych tak płomiennym wzrokiem, że słowa najdelikatniejszego bodaj protestu uwięzły im w gardłach.

— I wszystko na moich barkach — ciągnął kosmiczny wilk. — Za wszystko odpowiadam. Może masz trochę czasu, co? Tak z tydzień. Potrzebuję człowieka na pierwsza linię. Niejednegośmy dawniej wspólnie dokonali, więc może i teraz pójdziesz do mnie?

Pawłysz pomyślał, że przeznaczenie mogłoby przybrać mniej malownicza postać. W tym momencie głośnik zaszeleścił i odezwał się głosem dyspozytora:

— Pawłysz, doktorze Pawłysz, proszę do mnie przyjść. Mam tu dla pana pewną propozycję.

Przepraszam — powiedział Pawłysz do Spirona.

— Doktor? — zdziwił się Spiro. — Jasne, że doktor, przecież wynosił rannych.

Pawłysz szedł do wyjścia, a za nim biegły słowa Spirona:

— Będę tu na ciebie czekał, krokiem się stąd nie ruszę. Jesteś mi potrzebny jak manna niebieska. Słyszysz, Sawieliew?

— To nie jest Sawieliew, tylko Pawłysz — poprawiła go Ninoczka.

— A u nas nazywali go Sawieliew — powiedział Spiro. — Pawłysz to nazwisko tylko dla krewnych.

Pawłysz wspiął się po wąskim trapie do dyspozytorni.

— Siadaj — powiedział dyspozytor. — Podchodzi jeszcze jeden statek.

— Skąd? dokąd?

— Obawiam się, że nic ci po nim. Idzie z Ziemi-14, to zresztą cię niezbyt interesuje... Ważne jest co innego: statek wylądowuje wyposażenie dla stacji na Projekcie-18, a potem przeskoczy na Sentiper. Dwudziesty trzeci sektor, tam nieprędko doczekasz się na okazji do domu. Na Koronę też stamtąd nie latają. Zresztą może coś się trafić, ale ja bym na twoim miejscu nie ryzykował...

— Ale przecież Sentiper to duży port? Nigdy tam nie byłem, ale słyszałem, że port jest duży.

— Duży, ale nie dla nas. Byłem tam dwa razy i wolałbym nie być po raz trzeci. Tamtejsi mieszkańcy nie są humanoidami. Kule o średnicy poniżej metra. Wszystko, łącznie i toaletami, jakoś przerobili, żeby humanoidzi nie wyzdychali już pierwszego dnia, więc da się jakoś wytrzymać... Aha, byłbym zapomniiał, ciężenie wynosi półtora „g”. Ale jeśli poczekaś tam ze dwa tygodnie...

Dyspozytor aż się przeraził na myśl, że Pawłysz może spotkać taka koszmarna przygoda, zmrużył oczy i wykrzywił swoją malutką tamilsko twarzyczkę w tragicznym grymasie.

— Cóż mi zatem chcesz zaproponować? — zapytał Pawłysz.

— Po pierwsze naszą gościnę.

— Bardzo to z waszej strony mile.

— Po drugie świeże owoce i warzywa przez okrągły rok. Z naszej własnej szklarni.

— I wreszcie konkretny termin odlotu na Ziemię, mam nadzieję!

Dyspozytor otworzył grube tomisko dziennika dyżurów. Dyspozytor był konserwatystą, a poza tym, jak wielu ludzi małych i drobnych, miał słabość do solidnych przedmiotów.

— Jeśli wszystko potoczy się normalnie — oświadczył, kiedy jego palec dotarł w końcu do odpowiedniej rubryki — za sześć dni przycumuje tu liniowiec „Moskwa”.

— I polecą wprost na Ziemię?

— O ile się nie mylę, tak.

— Warto się nad tym zastanowić.

— Z powodzeniem możesz tu spędzić ten tydzień Zrobisz nam przyjemność. Możesz skoczyć na Projekt-18. Akurat przyleciał stamtąd transportowiec. Oni tam będą przyjmować urządzenia z Ziemi. Jest na co popatrzeć... Zwłaszcza ty, jako biolog, znajdziesz tam wiele rzeczy godnych obejrzenia.

— Polecę na Projekt-18, a tymczasem „Moskwa” odleci beze mnie.

— „Moskwa” nie zjawi się tu przed upływem pięciu dni. Dzisiaj mieliśmy z nią łączność. Jeszcze nie wystartowała z Stentipera.

— A więc radzisz mi zostać...

— Wręcz namawiam.

— Pozwolisz mi się trochę zastanowić?

— Proszę cię bardzo, ale pamiętaj, że „Astrolabium” odlatuje stąd za jakieś dwie godziny.

Pawłysz wrócił do bufetu, ośrodka życia towarzyskiego planetoidy. Nie miał wątpliwości, że dyspozytor udzielił mu życzliwej rady i że sam jego pomysł był rozsądny. Ale posłuchać go,

oznaczało spędzić kolejny tydzień w całkowitej beczynności, co było perspektywą zupełnie przerażającą. Koncepcja urlopu składającego się z długich okresów całkowitego spokoju, tylko od czasu do czasu przerywanych dla okraszy krótkimi dniami czy najwyżej tygodniami większej aktywności, zupełnie go nie urządziła. Zamierzał zdrowo sobie popracować na Koronie, a tymczasem przekształcił się w banalnego wczasowicza, zmuszonego do wymyślania sobie jakichkolwiek rozrywek.

Lecieć na Sentiper, gdzie wszystko przystosowane jest do potrzeb istot o innych kształtach i wymiarach, też nie miało większego sensu. A jednak Pawłysz, który już zaczynał czuć się w bufecie jak stały składnik jego wyposażenia, coś w rodzaju stołu lub ekspresu do kawy, z każdą chwilą coraz bardziej skłaniał się ku myśli, żeby odlecieć przypadkowym statkiem na ten okropny Sentiper. Niech się dzieje co chce. W każdym razie lepszy jest jakikolwiek ruch niż ten zapyziały bufet... Pawłysz zapomniał, że nie dalej jak pół godziny temu uznał Spirona za swoje przeznaczenie. Ale przeznaczenie o nim nie zapomniało.

Spiro stanął w drzwiach bufetu, Płonął gniewem, jego czerwone ślepka miały błyskawice i zda się, przepalały plastikowy blat baru,

— To jest śmierć! — powiedział z głębokim przekonaniem w głosie. — Śmierć i zguba. Ja osobiście umyłam ręce!

Pokazał, jak umywa ręce i Ninoczka odłożyła książkę, patrząc na niego z wielkim zainteresowaniem.

— Jeśli on tu wpadnie — powiedział Spiro — to powiedzcie mu, że i tak go znajdę, a wówczas żywy z tego nie wyjdzie.

Odwrócił się na pięcie i zniknął, nie wyjaśniając komu należy przekazać jego groźne ostrzeżenia.

— Nie przejmuj się, Pawłysz — powiedziała bufetowa. — On zawsze tak.

— Co on robi na Projekcie-18?

— Oni są tam przekonani, że nikt lepiej od niego nie potrafi zdobyć dla ich stacji niezbędnego zaopatrzenia. Przynajmniej raz w tygodniu pojawia się tutaj, konfiskuje nam cały zbiór ogórków, zabiera ze wszystkich statków pocztę i urządzenia, swoje i cudze. Krótko mówiąc jest głównym sprawcą zamieszania w naszym układzie.

— Na Projekcie trwa jakaś duża budowa? — zapytał Pawłysz.

— Nie, ale przez naszą planetoidę zaopatruje się cały układ, osiem planet, a przecież na sześciu pracują grupy badawcze, poza tym tankują u nas statki miejscowych linii, a czasami wychodzą z podprzestrzeni liniowce dalekiego zasięgu. Tak się przyjęło. Czasami spotyka się u nas do pięciu statków na raz. Wtedy tak się człowiek w bufecie narobi, że potem przez trzy dni musi przychodzić do siebie.

— To już koniec! — wykrzyknął Spiro, który znów pojawił się w bufecie niczym diablak wyskakujący z pudełka. Stał we framudze drzwi jak w owalnej ramie i trzymał pod pachą niewielki tobołek. — I nikt nie ma pojęcia, co będzie dalej! Gdyby tak Geworkian się o tym dowiedział!

— Znalazł je pan? — zapytała uprzejmie bufetowa, podając Spironowi kolejną szklanicę lemoniady.

Spiro wypił ją jednym haustem, odrzucając głowę do tyłu, jakby wlewał w siebie wyjątkowo wstrętne lekarstwo.

— Nie! — odparł, odstawiając szklanekę na bar. — Praca stacji została totalnie uniemożliwiona, nad ludzkimi istnieniami zawisła śmiertelna groźba. A oni po prostu zapomnieli zabrać z Ziemi-14 dwa kontenery. Nie jeden, tylko dwa! W dokumentach te kontenery są, w ładowni ich nie ma. Możecie to sobie wyobrazić?

— Jakiś ważny ładunek? — zapytał Pawłysz.

— Ważny? — głos Spirona wibrował. Pawłysz przestraszył się, że wilk kosmiczny zaraz sarkastycznie się roześmieje.

Ale Spiro się nie roześmiał, tylko zagapił się na Pawłysza. Pawłysz poczuł się jak malusieńka myszka, która nieopatrznie weszła w drogę ogromnemu i okropnie głodnemu kocurowi.

— Sawieliew? — zapytał surowym tonem. — Lecisz na Senpiterę?

— Ja?...

Spiro wcale go nie słuchał.

— Uratujesz nas. Jasna rzecz, że nas uratujesz. Na Senpiterze w drugim magazynie leżą zapasowe kontenery. Nie wiedziałem, że mogą się przydać, ale nikomu ich nie oddałem. Miałem przecucie, że właśnie one nas uratują! Skoczysz tam i stracisz tylko dzień na to, żeby wydusić je z Helenki, przedstawicielki Floty. Helenka będzie się z początku opierała, powie ci...

— Spiro, daj człowiekowi spokój! — powiedziała Nina. — Doktor niczego z Helenki nie wydusi, bo przecież te kontenery nie są twoje.

— Są moje, bo bez nich wszystko przepadło!

— No to leć sobie po nie.

— A kto odwiezie ładunek na Projekt? Ty?

— Nie, wszyscy mamy dość własnej pracy.

— Przecież mówię! No więc słuchaj, Sawieliew...

— Po pierwsze nie jestem żaden Sawieliew, tylko Pawłysz — powiedział Sława — a po wtóre nie mam najmniejszego zamiaru lecieć na Senpiterę. Czekać na statek idący w stronę Ziemi.

— Co? Wybierasz się na Ziemię?

Spiro zaczął szybko kalkulować, jaką też korzyść może przynieść mu Pawłysz, jeśli leci na Ziemię. Myśli tak intensywnie kłębiły się w jego mózgu, że aż od tego zaczął miarowo wachlować uszami, a włosy stały mu dęba. Pawłysz mimo woli zaczął podziwiać energię tego człowieka.

— Na Ziemię... — powtórzył Spiro — Jasne. Polecisz „Moskwą”, która będzie tu w piątek Wylecimy na jej spotkanie, jak obiecaliśmy. To znaczy, że do piątku nie masz nic do roboty. Nie zaprzeczaj i nie kłam!

Pawłysz nie zaprzeczał, bo nie mógł tego zrobić. Przecież dopiero co, przy świadkach, odmówił wyprawy na Senpiterę.

Do bufetu zajrzał młodzieniec w roboczym skafandrze kosmicznym i wyjściowej czapce mundurowej Floty.

— Pan tutaj. Spiro? — zapytał. — A ja szukam pana po całej bazie. No i jak będzie?

— Chwileczkę.

Spiro podszedł do lady, przy której siedział Pawłysz i rzucił mu przed nos ciężki toból.

— To dla ciebie — powiedział i szybko, nie oglądając się, wybiegł za kosmonautą.

Toból rozsypał się i na polerowaną powierzchnię blatu wypełzły jak żywe niezliczone koperty, paczki i paczuszki. Cały ten kram usiłował spaść na podłogę, więc Pawłysz wspomagany przez bufetową zaczął łowić niesforne przesyłki i wpychać je na powrót do torby.

— On tak zawsze obchodzi się z torbą — powiedziała Ninoczka tonem pełnym potępienia — Narobi hałasu, rzuci jak popadnie i ucieknie A ludzie tak czekają na listy!

Pawłysz z rezygnacją upchał w torbie przesyłki. Nie był zły na Spirona ani też przytłoczony jego elokwencją, tylko po prostu ciekaw, czym się to wszystko skończy.

— Tu jest jeszcze jeden list — powiedziała Ninoczka, podając Pawłyszowi kopertę z videokartą, czy też płaską kasetą Na kopercie widniał adres: „Marina Kim Projekt-18 Laboratorium Centralne”. Pawłysz starannie schował przesyłkę.

Do pokoju znów wpadł Spiro.

— No więc tak — powiedział od progu. — Ja teraz lecę na Senpiterę. Bez kontenerów nie mam

co wracać.

Nie znasz doktora Dimowa. I lepiej, żebyś go nie poznał! Mam dwadzieścia minut czasu. Zaraz ci dam konosament i pokażę, gdzie zaparkowałem ciężarówkę. Potem pobierzesz warzywa od ogrodnika. Nie będę cię z nim zapoznawał. Helga to zrobi. Załadujesz wszystko i odwieziesz na Projekt-18. Nie bój się, ciężarówka jest automatyczna i sama zawiezie cię na miejsce, ale towaru musisz strzec jak oka w głowie!... Wiem wszystko! Dyspozytor powiedział mi, że i tak czekasz na „Moskwę”, a jej nie przegapisz. Wrócę za pięć dni albo i wcześniej, może nawet właśnie „Moskwą!”. Nie zapomnimy o tobie! Słowa Spirona to mur-beton i tytan. Resztę przekażesz Dimowowi ustnie. Zobaczysz, że będzie miał kupę frajdy! I nie zapomnij przed odlotem porozmawiać z dyspozytorem. On też ma coś do przekazania na Projekt. Jasnej Tylko się nie opieraj! I tak już wszystko zostało bez ciebie zdecydowane, a poza tym nie możesz przecież sprawić zawodu starym przyjaciółom... Czyżbyś zapomniał, jak razem wyciągaliśmy poparzonych z księżycowej kopalni? Nie, nie zapomniałeś, więc się nie sprzeciwiaj i nie mów nic, bo kosmonauci nie porzucają przyjaciół w biedzie, a ty jesteś tu jedynym wolnym człowiekiem z wykształceniem kosmicznym. Kto prócz ciebie może dociągnąć ciężarówkę do planety? Nikt. Nie opieraj się...

Spiro błagał, groził, pochlebiał, zalewał Pawłysza potokami słów i wykrzykników. Nie liczył wprawdzie na zgodę Sławy, ale też nie widział innego wyjścia.

— Chwileczkę! — powiedział Pawłysz i musiał to powtórzyć, bo Spiro usłyszał w jego głosie zdecydowanie i już przygotowywał się do wystrzelenia kolejnej salwy argumentów. — Chwileczkę! Uspokój się wreszcie i słuchaj — ryknął pełnym głosem i rąbnął pięścią w bar. — Zgadzam się lecieć na Projekt! Bez żadnego namawiania polecę na Projekt! Czy nie przyszło ci do głowy, że od dawna marzę tylko o tym, żeby polecieć ciężarówką na Projekt-18?

Spiro zamarł, a jego czerwone ślepka zwilgotniały. Zabulgotał dziwnie i wykrztusił:

— Dziękuję ci, chłopcze...

Ale zaraz wziął się w garść i dorzucił:

— Wobec tego zabieraj się ze mną. Szybko. Nie mamy chwili do stracenia.

— Dobrze pan robi! — wykrzyknęła z aprobatą Ninoczko — Sama bym z chęcią poleciała, ale ciągle nie ma czasu. Może jednak na dniach się wybiorę. Wówczas się tam zobaczymy.

* * *

Przepisy wymagały, aby na pokładzie towarowego planetolotu czwartej klasy znajdował się człowiek. Nie znaczyło to bynajmniej, że ta obecność była konieczna ze względów technicznych. Nic podobnego: ciężarówka sama potrafiła pokonać zadaną trasę, ale automaty nie mogą ponosić odpowiedzialności za wszystkie błędy popełnione przez ludzi przy załadunku towarów i programowaniu toru statku, za zmiany planów wprowadzone w ostatniej chwili i za inne obłądne pomysły, które zrodzić się mogą jedynie w umyśle istoty tak niedoskonałej jak człowiek.

Ciężarówka podeszła do planety Projekt-18 od nocnej strony i upłynęło dobrych parę minut, zanim mglisty horyzont globu rozświetlił się białym blaskiem, a słońce, w którego stronę mknął stateczek, wypełniło całe niebo, zgasiło wszystkie gwiazdy i odbiło się w gładkim oceanie, tak ogromnym, że oczy same natychmiast zaczynały wyszukiwać w nim Jakiegokolwiek punktu zaczepienia: wyspy, skraju lądu, góry, czegokolwiek, co tylko różniłoby się od tej nieskończonej oceanicznej równiny.

Pawłysz wyhamował i wszedł na orbitę stacjonarną. Następnie wcisnął klawisz radiostacji i wywołał gospodarzy.

Wiedział, że Stacja prowadzi ciężarówkę i czekał na charakterystyczny szum w głośniku,

oznaczający, że pasmo łączności zwolniło się dla pilota.

Jakieś ciemne punkciki przemknęły po gładzi oceanu. Pawłysz pomyślał, że to małe wysepki. Zza kratki głośnika rozległ się przytłumiony szum.

Stacja — powiedział Pawłysz. — Stacja. Podchodzę do lądowania.

— Spiro, masz coś z gardłem? — zapytała radio.

— To nie Spiro — odparł Pawłysz — Spiro poleciał na Senpiterę, a ja go zastępuję.

— Jasne! — powiedziała Stacja.

— Przejdę na ręczne sterowanie — zameldował Pawłysz — Łajba jest trochę przeładowana i obawiam się, że może sama nie trafić do kei.

Z prawej strony nad pulpitem sterowniczym obracał się globus planety Zawieszony nad nim czarny punkcik — ciężarówka — wolno zbliżał się do światelka oznaczającego Stację.

— Ani mi się waż! — warknęła Stacja.

— Nie martwcie się — powiedział Pawłysz, patrząc na przyrządy pokładowe.

Facet wyraźnie mija szczyt krzywej! — odezwał się jakiś zaniepokojony głos, po czym zwrócił się wprost do Pawłysza — Proszę wykonać jeszcze jeden obrót. Statek jest niezawodny i sam potrafi znaleźć drogę do domu Niech pan lepiej nie manewruje, bo to się może źle skończyć.

— Jestem z Floty Dalekiego Zasięgu — odpowiedział Pawłysz — i na tych ciężarówkach wylatałem parę godzin więcej niż Spiro.

— Nie o to chodzi — powiedziała Stacja, ale Pawłysz już się wyłączył. Tego tylko brakowało, żeby ktoś poddawał w wątpliwość kwalifikacje personelu Floty! Nawet najskromniejsi jej funkcjonariusze dostają wysypki na myśl, że mogliby sobie nie poradzić z pilotowaniem statku towarowego czwartej klasy.

W dole przepląnęła grupa wysepek rozsianych na lustrze oceanu Na przymglonym horyzoncie majaczyła stacja Ciężarówka zbyt wolno traciła wysokość, więc Pawłysz zablokował automaty i na moment włączył silniki hamujące. Przeciężenie wdusiło go w fotel. Statek wszedł w lekkie pierzaste obłoczki Pawłysz zerknął na kontrolkę temperatury poszycia Pancerny nagrzał się bardzo nieznacznie, bo Projekt-18 miał rozrzedzoną atmosferę, a obłoczki z pewnością składały się z luźnych kryształków dwutlenku węgla.

— Co ty wyprawiasz! — oburzyła się Stacja — Przecież ci mówiliśmy, żebyś szedł na autopilocie!

Pawłysz nie odpowiedział, bo nie czuł się winny. Zrobił przecież tylko to, co na jego miejscu zrobiłby każdy inny pilot. Po co ciągnąć jeszcze jeden obrót, marnować niepotrzebnie paliwo, kiedy można wylądować z biegu?

Statek spadał na planetę po stycznej, jak bolid. Rakiety hamulcowe wprawiały go w wibrację, której Pawłysz starał się nie zauważać, stosując rodzaj autohipnozy, pomagającej jedynie tym, którzy wierzą w jej skuteczność.

Ciężarówka nie potrafi się odpowiednio zatroszczyć o upartych pasażerów. Nie przeszkadza to Spironowi, który z pewnością nie ma zielonego pojęcia o autohipnozie, ale też na pewno nigdy nie przejmuje sterów statku. Gdyby Pawłysz był bardziej zdyscyplinowany, też wylądowałby komfortowo i w dodatku nie naraziłby się załodze Stacji.

Na skraju kamienistej wyspy ukazała się podkowiasta dolina zamknięta w głębi skalistymi urwiskami. Bliżej pienistej linii przyboju połyskiwał krąg lądowiska. Po chwili ciężarówka dotknęła podwoziem gruntu Pawłysz szcęknął ponownie przełącznikiem radiostacji.

— W co mam się ubrać? — zapytał. — Jaka tam u was pogoda?

Włączył wideofon. Na ekranie ukazała się szeroka płaska twarz mężczyzny z ogoloną czaszką Dyżurny miał wąskie, przymrużone oczy, cienkie brwi o kształcie przestraszonych ptaków i w ogóle wyglądał jak Dżyngis-chan, który akurat dowiedział się, że jego ulubiona orda została

wyrżnięta w pień przez niewiernych.

— I kto takich tu przysyła? — zapytał, mając na myśli Pawłysza. — Dlaczego tacy ludzie nigdy nie potrafią uszanować życzeń gospodarzy?

— Zaoszczędziłem dwie tony paliwa — odparł skromnie Pawłysz — Przyprowadziłem statek na godzinę przed czasem, nie sędzę zatem, abym zasłużył na szczególne potępienie. W cóż więc ubieracie się tutaj, kiedy wychodzicie na dwór?

— Spiro zostawił tam swoje ubranie — odpowiedział Dżyngis–chan.,

— To wdzianko będzie na mnie nieco przykuse — zauważył Pawłysz — Przewyższam go wzrostem.

— No dobra — mruknął Dżyngis–chan — Zaraz do pana przyjdę. Potrafi pan otworzyć właz?

Aluzja do niezbyt wysokich umiejętności krnąbrnego pilota była aż nazbyt przejrzysta, ale Pawłysz wysłuchał jej bez drgnienia powiek.

— Potrafię — powiedział.

— Proszę zatem otworzyć zewnętrzną pokrywę. Będę u pana za trzy minuty.

Pawłysz odpiął pasy, wyjął z bocznej skrytki fotela pocztę i książki przekazane przez dyspozytora, wstał, otrzepał się lekko, bo ciężenie na planecie nie przekraczało chyba połowy ziemskiego. Drzwi kabiny odjechały w bok i do środka wszedł Dżyngis–chan w ocieplonym kombinezonie i masce tlenowej zakrywającej dół twarzy. Brzeg grubej pilotki przylegał ściśle do brwi, widoczne były jedynie oczy, nadal wściekle i pogardliwe. Dżyngis–chan nie był sam. Tuż za nim do kabiny wśliznął się wysoki, szczupły mężczyzna o wyblakłych oczach ukrytych pod nawisłymi czarnymi brwiami.

— Niech pan przymierzy — warknął Dżyngis–chan. — Powinien pasować.

— Z pewnością będzie pasował — powiedział drugi mężczyzna, podając Pawłyszowi rękę — Jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu, o to jest mój zapasowy kombinezon. Proszę wybaczyć, ale nie spodziewaliśmy się pana.

— Dzień dobry — powiedział Sława. — Nazywam się Pawłysz. Byłem akurat na planetoidzie, kiedy Spiro musiał polecieć na Senpiterę. Zgodziłem się w jego zastępstwie podrzucić tu wasze ładunki Nie przypuszczałem, że będzie to źle widziane...

Skłonił się ze sztywną godnością. W końcu z własnej nieprzymuszonej woli pomógł ludziom, nie wyrządzając im przy tym żadnej krzywdy. Ciężarówka jest na miejscu, ładunek nietknięty, a przeciążenia odczułem tylko ja.

— Naturalnie, naturalnie — powiedział nerwowo chudy. — Nazywam się Dimow. Dymitr Dimow. Doktor Dimow Kieruję tutejszym oddziałem naszego instytutu. Widzę, że jesteście kolegami po fachu.

Wskazał długim, szczupłym palcem pianisty plakietkę ze żmiją oplatającą puchar, odznakę lekarza umieszczona na piersi Pawłysza tuż nad naszywkami z nazwami statków, na których służył.

— Tak, nie myli się pan.

— Wanczidorż — przedstawił Dimow Dżyngis–chana. — Proszę się na niego nie gniewać. Doskonale rozumiemy, że chciał pan jak najlepiej, ale na pana miejscu nie sprzeczałbym się z naszym dyżurnym, ponieważ, jak pan zapewne doskonale wie, chodziło mu jedynie o pańskie bezpieczeństwo...

Dimow musiał przyznać rację obu uczestnikom niespodziewanego konfliktu i sprawiało mu to widoczną przykrość.

— Proszę się ubierać, bardzo proszę — ciągnął, nie pozwalając Pawłyszowi wtrącić bodaj słowa — Jesteśmy panu niezmiernie wdzięczni, bo stale mamy trudności ze Spinorem. To wprawdzie autentycznie wspaniały człowiek i świetny fachowiec.

Dzyngis–chan, to znaczy Wanczidorz parsknął pogardliwie, wyrażając w ten sposób dezaprobatę dla słów zwierzchnika.

— Tak, Wan — zwrócił się do niego Dimow — Tak to właśnie wygląda. Spiro przynosi nam znacznie więcej pożytku niż szkody i z wielką niecierpliwością czekaliśmy na tę raketę.

— Tu jest poczta — przypomniał sobie Pawłysz. No nią też pewnie czekaliście.

— Na nią również — przytaknął Dimow. — Jest pan gotów. — Pomógł Pawłyszowi umocować maskę, a potem dodał: — Mam nadzieję, że zostanie pan u nas przez parę dni? Będzie nam bardzo miło.

— Dziękuję — skłonił się Pawłysz.

Włączył ogrzewanie kombinezonu i poprawił maskę. Tlen dopływał bez zakłóceń. Kombinezon Dimowa był na niego nieco za szczupły, ale w gruncie rzeczy zupełnie wygodny. Pawłysz chciał zapytać, czy może zobaczyć się z Mariną Kim, ale zrezygnował z tego zamiaru. Dziewczyna mogła przecież pracować na jakiejś stacji podwodnej o wiele tysięcy kilometrów od bazy. Na wszystko przyjdzie pora. Teraz już mu nie ucieknie, teraz już na pewno ją odszuka. Wyszli na gładki, jakby wypolerowany grunt dolinki, obramowanej w odległości paruś metrów urwiskami skalnymi. Z drugiej strony zaczynał się ocean i fale przyboju z głuchym hukiem rozbijały się o czarny brzeg, przekształcając się w słupy białej piany. Pawłysz poprawił słuchawki, ale szum przyboju nadal brzmiał głucho i niewyraźnie, bo dźwięki gasły w rozrzedzonym powietrzu. Popatrzył w górę i złapał się na tym, że usiłuje dojrzeć czarny punkcik — smoka wypatrującego zdobyczy. Smoka nie było, tylko lekki, półprzezroczysty obłoczek zakrył na moment słońce i złagodził cienie, dotychczas bardzo ostre i głębokie.

Dzyngis–chan szedł przodem, przyciągając do boku worek z pocztą i ciągnąc za sobą wózek wyładowany warzywami i świeżą żywnością. Dimow został z tyłu. Zamykał włącz. Dzyngis–chan wszedł w cień skały i jakby się w nim roztopił. Wózek oświetlony ostrym słońcem wolno wpełzał za nim i nikał, pozornie wnikał w skałę. Pawłysz ruszył za nim i znalazł się przed wolno odtaczającymi się na bok metalowymi wierzejami, zamykającymi wejście do jaskini.

— Wykorzystaliśmy tu wyjątkowo sprzyjające warunki naturalne — mruknął Dzyngis–chan.

Pawłysz obejrzał się. Na zalanym słońcem lodowisku stał Dimow i patrzył w niebo.

— Proszę wejść — powiedział Dzyngis–chan. — Dimow przyjdzie później.

Wielki biały ptak wolno opadał w kierunku Dimowa.

Pawłysz omal nie krzyknął: „Uwaga! Padnij!” Ale Dimow ani myślał się ukrywać. Po prostu nie bał się białego ptaka. Ptak zatoczył koło nad jego głową, a Dimow uniósł rękę w geście jakby pozdrowienia. Ptak miał nieprawdopodobnie szerokie skrzydła i smukłe, delikatne ciało. Zdawało się, że Dimow rozmawia i ptakiem.

Pawłysz pomyślał, że tutaj ludzie nie zajęli cudzej niszy ekologicznej.

— Dokarmiacie je? — zapytał.

— Dokarmiamy?

— Tak, ptaki.

— Naturalnie!

Dzyngis–chan miał nieprzyjemny zwyczaj wydawania sarkastycznych parsknięć, tym bardziej irytujących, że zupełnie nie było wiadomo, czy jest rad, czy też mocno się gniewa.

Drugi ptak ukazał się nieco ponad pierwszym. Złożył skrzydła i lekko opadł na skałę nad Dimowem. Dimow poklepał go po skrzydle. Pierwszy z ptaków uniósł się w górę i przeleciał nad Pawłyszem i Dzyngis–chanem. Drugi wziął rozbieg po lądowisku, zeskokczył ze skalistego brzegu i wzbil się w powietrze wśród rozbryzgów piany przyboju.

Wnętrze jaskini urządzone było wygodnie i solidnie. Poszczególne pieczary z wielkim rozmachem i znakomitą smakiem zostały przekształcone w pomieszczenia robocze i mieszkalne,

przywodzące Pawłyszowi na myśl staroświeckie ilustracje do „Tajemniczej wyspy” Verne’a, której bohaterowie lubili rzetelny komfort, autor za i z upodobaniem i wszelkimi szczegółami opisywał, co i jak im się udało osiągnąć. Pawłysz pomyślał, że pokój Dżyngis–chana powinien mieć wykute w skale okno, przez które wpada wiatr od oceanu i z daleka widać nadpływający statek piracki.

Dimow powiedział:

— Mamy zbyt mało pomieszczeń mieszkalnych. W zeszłym miesiącu przyleciało sześciu młodych fizyków i zajęli wszystkie wolne pokoje, a nowych jeszcze nie zdążyliśmy urządzić. Zrobimy to w najbliższej przyszłości, jeśli tylko Spiro zdobędzie na Senpiterze urządzenia wiertnicze i wykładziny. Obiecał to załatwić.

— Zdobędzie — powiedział Dżyngis–chan. — Nie to, co trzeba, nie w tej ilości, ale na pewno zdobędzie.

— Tak, tak — zgodził się Dimow. — A więc, jeśli pan u nas zostanie, a zostanie pan, prawda? Nie, można przylecieć na taką planetę, jak Projekt–18, i natychmiast wracać! Jeśli więc pan u nas zostanie, będzie pan musiał pomieszkać w pokoju Wana. Nie ma pan nic przeciwko temu?

Pawłysz zerknął na Dżyngis–chana, który nawet nie odwrócił głowy, tylko nieruchomo wpatrywał się w ścianę i powiedział bez entuzjazmu w głosie:

— Ja naturalnie nie mam nic naprzeciw, ale obawiam się, że będę krępował gospodarza...

— Już to omówiliśmy — odparł Wan. — Ja zresztą rzadko bywam w swoim pokoju. Mam wiele pracy.

— Doskonale! — ucieszył się Dimow. — Byłem pewien, że się dogadacie Wan zaprowadzi pana do pokoju, bo ja niestety muszę już przeprosić.

Ruszył spiesznie korytarzem, a Wan rzucił sucho:

— Proszę tu chwilę zaczekać. Muszę odprowadzić wózek do kambuza.

Pawłysz został sam w przestronnym korytarzu, a właściwie podłużnej hali podziemnego miasteczka. Czuł się głupio. Znalazł się nagle w sytuacji człowieka, który nie tylko nie ma się czym zająć, ale nawet na co popatrzeć. Korytarz był pusty, jakby go kto wymiótł, a przyszły gospodarz zdecydowanie nie należał do najgościnniejszych. Pawłysz gotów był zrozumieć go i wybaczyć manieri młodzieńcowi, który poczuł się dotknięty, że przypadkowy pilot nie usłuchał go, ośmielił się wyrazić własne zdanie i wylądować nie tak, jak mu rozkazano. Czasami ludzie niezbyt w czymś biegli wręcz chorobliwie reagują na słowa i czyny, które ich zdaniem dyskredytują ich kwalifikacje lub zdolności. Reakcja Dżyngis–chana była więc zrozumiała. Tym bardziej, że przecież nie mógł wiedzieć, iż Pawłysz już w szkole latał na tych ciężarówkach i zaliczał pilotaż u samego Castlera, który lubił powtarzać „Nie obchodzi mnie, czy będziecie lekarzami pokładowymi, kucharzami, mechanikami, czy też kapitanami liniowców. Nic to również nie będzie obchodzić ludzi, którzy zrzędzeniem losu znajdą się na pokładzie planetolotu i których życie zależeć będzie od tego, jak dobrze nauczyłem lekarza pilotować ciężarówkę. Wyobraźcie sobie. I dalej Castler barwnie i szczegółowo opowiadał autentyczną czy też osobiście przez siebie wymyśloną historię o tym, jak to na statku, który uległ katastrofie na orbicie, z całej załogi pozostał przy życiu jedynie lekarz i on właśnie musiał uratować pasażerów. A dysponował jedynie planetarnym towarowcem nie przystosowanym do przewozu ludzi. Nie, Pawłysz nie miał pretensji do Wana, ale było mu przykro, że ich znajomość zaczęła się od konfliktu. Jak go jednak przekonać, że chciał tylko zaoszczędzić paliwo, a nie zrobić na złość dyspozytorowi?

— Chodźmy! — Wan bezszelestnie podszedł do Pawłysza. — Nie możemy bezmyślnie tracić czasu, kiedy ludzie czekają na pocztę. Muszę ją szybko posegregować.

Powiedział to takim tonem, jakby to Pawłysz był winien temu, że nie mógł dotychczas posegregować poczty. Pawłysz wzruszył ramionami i pospieszył za nim.

Pokój Wanczidorża wyglądał niemal dokładnie tak, jak go sobie Pawłysz wyobraził. Był wielokrotnie większy od standardowych klatek innych stacji badawczych i zaopatrzonej w wąskie, wysokie okno wykute w litej skale, przez które do wnętrza wlewały się potoki światła słonecznego. Pawłysz podszedł do niego i zobaczył, jak u podnóża skały rozbijają się oceaniczne fale miarowo płynące do brzegu. Ale pirackiej fregaty nie było.

— To jest pańskie posłanie — powiedział Dżyngis–chan, wskazując najprawdziwsze w świecie, szerokie, wygodne łóżko, którego zagłówek sporządzony był z kamiennej płyty pokrytej skomplikowaną płaskorzeźbą.

— A pan? — zapytał Pawłysz. Drugiego łóżka w pokoju nie było.

— Przyniosę. Nie zdążyłem.

— Wobec tego ja będę spał na łóżku, które pan przyniesie — powiedział Pawłysz. — Gościnnosć też musi mieć swoje granice.

— Pozwoli pan, że ja te granice określe — burknął Dżyngis–chan. — To zresztą nie jest z mojej strony żadna ofiara.

Wysypał pocztę na stół i zaczął ją segregować.

— Proszę pana — powiedział Pawłysz — jeśli gniewa się pan na mnie za to, że nie usłuchałem polecenia, gotów jestem pana przeprosić. Ale proszę mi uwierzyć, że nic się nie mogło stać, bo ja te ciężarówki znam od dziecka. Po co więc miałem robić jeszcze jeden oblot?

— Nie ma o czym mówić — odparł Wan, nie odrywając się od pracy. — Tyle tylko, że jeśli ktoś opracował jakiś program, to trzeba go przestrzegać. Mam nadzieję, że nigdy już nie będzie pan pilotował statku lądującego na Projekcie.

— Nie o to chodzi...

— Spiron powinien wytłumaczyć panu w czym rzecz — powiedział Wan. — To jego wina. Porozmawiam sobie z nim,

— Współczuję mu! — Pawłysz spróbował obrócić wszystko w żart.

— Po nim, wszystko spływa jak po kaczce woda. Raz złapałem go w ostatniej chwili nieomal za rękę, kiedy zamierzał wysadzić w powietrze chmurę.

— Chmurę?

— Dimow lepiej to panu wytłumaczy. A ja muszę posegregować pocztę...

Pawłysz odszedł od okna. Wzdłuż zewnętrznej ściany pokoju, wygrozonego z obszernej pieczary, stało wielkie biurko. Na jego blacie leżały płytki różowego i jasnozielonego nefrytu. Na jednej z nich był naszkicowany rysunek ptaka z ogromnymi skrzydłami. Nefryt ciepło świecił w słońcu. Muszla, podobna do połówki gigantycznego włoskiego orzecha, rzucała na sufit wielobarwne, perłowe zajaczki. Wan pospiesznie segregował pocztę, rozkładając ją na równe stosiki. Jego drugie biurko stało pod boczną ścianą naprzeciw łóżka. Nad biurkiem wisało kilka półek zastawionych przedmiotami, które mogą przydać się człowiekowi o dziwnych w swej różnorodności zainteresowaniach. O stosik mikrofilmów na drugiej półce oparta była fotografia Mariny Kim w ozdobnej ramce z masy perłowej pokrytej zawiłym wzorem. Marinę Pawłysz poznał od razu, chociaż sfotografowała się w jasnej peruce, która nadawała jej twarzy wyraz dziwnego uduchowienia, spowodowany zapewne kontrastem między bujnymi lokami kopciuszka a linią policzków i wykrojem oczu. Prawdziwe włosy Mariny Kim były czarne, proste i gładko ostrzyżone.

Pawłysz odwrócił się i zobaczył, że Wan patrzy na niego.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł mężczyzna w niebieskim kitlu i niebieskiej chirurgicznej czapeczce.

— Wan — powiedział — przepraszam, że wszedłem bez pukania. Podobno przyszła poczta. Spostrzegł Pawłysza.

— Dzień dobry — powiedział. — Wie pan, już od ponad dwóch tygodni czekamy na pocztę, a Wan jest tak dokładny, że będzie ją sortował do wieczora.

— Jak tam u was? — zapytał Wan. — Polepszyło mu się?

— Pletwy to są pletwy — odparł mężczyzna w niebieskim kitlu. W ciągu dnia nie da się ich wyleczyć. No więc co z tą pocztą?

— Już idę — odparł Wan. — Niewiele mi zostało.

— Jest coś dla mnie?

— Wszystko w swoim czasie. Nie bądź taki niecierpliwy.

— No dobra — powiedział chirurg. Przyglądził dłonią wąsiki, przesunął nią po spiczastej bródce i chrząknął.

— To pan przyprowadził ciężarówkę? — zwrócił się do Pawłysz.

— Tak. Zamiast Spirona.

— Bardzo mi miło, kolego. Długo pan zamierza u nas zostać? Bo jeśli tak, to znajdziemy dla pana jakieś zajęcie.

— To bardzo krzepiące — powiedział Pawłysz — ale wszędzie, gdzie się pojawię, natychmiast, proponuje mi się pracę, nawet nie pytając, jakim jestem pracownikiem.

— Dobrym! — powiedział kategorycznym tonem chirurg — Jestem fizjonomistą i potrafię określać takie rzeczy na pierwszy rzut oka. — Podał Pawłyszowi rękę i dodał.

— Nazywam się Jerychoński. Mój prapradziad był duchownym.

— No i co z tego?

— Zawsze tak mówię, żeby uniknąć pytań w rodzaju: „Lubi pan grać na trąbie?”, „Czemu ma pan taki cichy głos?”. To cerkiewne nazwisko.

Pawłysz znów zerknął na zdjęcie Mariny Kim. Pewnie niedługo zobaczy ją w naturze. Może nawet za parę minut. Czy się zdziwi na jego widok? Czy nie zapomniała? Można oczywiście zapytać o nią Wana. Już miał to zrobić, ale akurat wszedł chirurg...

— Skończyłem — powiedział Wan. — Idziemy. Pawłysz, pójdzie pan z nami? Zbiorą się tam wszyscy.

To mówiąc pakował przesyłki do dużej torby z licznymi przegródkami, każdy stosik do odrębnej kieszeni. Pawłysz zrozumiał, że i ta torba była roboty Wana, bo ten człowiek najwyraźniej lubił się otaczać wygodnymi, racjonalnie pomyślanymi przedmiotami, a jeszcze bardziej lubił takie przedmioty wykonywać sam.

— Udało mi się tu zmaistrować narty wodne — powiedział Jerychoński — ale Dimow nie ma duszy sportowca i rzuca mi kłody pod nogi. Albo mu szkoda paliwa, albo ma pilne zajęcie dla sternika motorówki...

Jerychoński gestem głowy wskazał Wana, jakby dając tym do zrozumienia, że i on należy do stonniactwa utrudniającego życie sportowcom.

— Gdybyś był na miejscu Dimowa, też byś nie pozwolił uganiać się na nartach wodnych po oceanie. Taka zabawa może skończyć się jedynie tym, że ty utoniesz, a motorówka ulegnie uszkodzeniu — powiedział Wan.

— I nie wiadomo przy tym — powiedział z gryzącym sarkazmem Jerychoński — co jest ważniejsze: moje lekkomyślne życie, czy też losy bezcennej motorówki.

— Twoje życie jest ważniejsze — odparł poważnie Wan. — Dlatego nie dostajesz motorówki. Ale motorówki też szkoda, bo jest nam potrzebna.

— Wiem — westchnął Jerychoński, — Z tobą trudno jest dyskutować, a już o pożartowaniu nawet nie ma mowy!

— To dlatego, że znam twoje żarciki na pamięć — odpowiedział Wan. — Już mi się serdecznie znudziły.

Weszli do obszernej sali, oświetlonej rzędem wykutych w skale okien. Podłoga była starannie wyrównana i wyłożona plastykiem. W najdalszym końcu sali stał długi stół otoczony podwójnym rzędem krzeseł. Było ich około czterdziestu i Pawłysz pomyślał, że załoga Stacji jest chyba niemal tak samo liczna. Pod ścianą, na której wisiało parę portretów, stał jeszcze stół do ping-ponga ze zdjętą siatką. Wan postawił torbę na stole i zaczął bez pośpiechu w pełnym nabożeństwa skupieniu, niemal rytualnymi gestami wyjmować z niej posegregowaną pocztę. Pawłysz poczuł, że ma coraz więcej sympatii dla Jerychońskiego, który miał po dziurki w nosie pedanterii Wana.

— Zawołam ludzi — powiedział Jerychoński.

— Poczekaj! — ofuknął go Wan, ale Jerychoński nie usłuchał, podszedł do ściany, otworzył niewielką wnękę i nacisnął guzik dzwonka, którego przerywany terkot przetoczył się przez korytarze i pomieszczenia stacji.

Pawłysz przyglądał się portretom. Ponury, czterdziestoletni mężczyzna o wystających kościach policzkowych: Iwan Grunik. Potem starzec i bardzo gęstymi, krzaczastymi brwiami: Armen Geworkian. Jeszcze jeden mężczyzna, młody, z wyrazem zdziwienia w błękitnych oczach: Mikołaj Dracz... Tych ludzi tutaj na Stacji znano i obdarzano szacunkiem. Zapewne już nie żyli, zginęli lub umarli własną śmiercią, ale dokonali czegoś ważnego w dziedzinie, którą zajmują się pozostali, ci, którzy pracowali z nimi dawniej lub wiedzą wszystko o tym, jak ci zmarli żyli, pracowali i dla czego umarli... A teraz przyjdą tu ludzie wezwani dźwiękiem alarmowego dzwonka. I wśród nich będzie Marina Kim. Pomyślawszy to, Pawłysz odszedł od stołu do ping-ponga. W jednym ze stosików dostrzegł długą błękitną kopertę zaadresowaną do Mariny Kim.

Na salę weszło dwóch medyków w niebieskich kitlach, takich samych, jaki nosił Jerychoński. Pawłysz starał się nie patrzeć na drzwi i myśleć o rzeczach postronnych. Na przykład o tym, jak gra się w ping-ponga przy niskiej grawitacji. Obciąża się piłeczkę? Medycy nie zauważyli Pawłysza i ruszyli wprost do stołu, ale Wan powstrzymał ich gestem ręki:

— Poczekajcie aż wszyscy się zbiorą...

— Jakie to ma znaczenie? — znów zbuntował się Jerychoński.

— Tak zawsze się robi — odparł Wan.

Zjawił się Dimow.

— Gdzie listy służbowe? — zapytał, podchodząc do stołu.

— Proszę chwilę poczekać. — Wan nie zamierzał odstępować od rytuału nawet dla zwierzchnika.

Pawłyszowi wydało się, że na salę weszła Marina. Dziewczyna była czarnowłosa i wiotka, ale na tym jej podobieństwo do Mariny się skończyło. Była Hinduską. Miała mokre włosy i białe sari oblepiało miejscami wilgotną skórę,

— Sandro, nie przeziębisz się? — zapytał troskliwie Jerychoński.

— Tu jest ciepło — odparła Sandra.

Mówiła wolno, jakby dopiero uczyła się składać głoski. Potem głucho westchnęła i odchrząknęła.

— Tu jest ciepło — powtórzyła dźwięcznym głosem.

Sala zapełniała się. Ludzie byli w roboczych ubraniach, jakby tylko na moment oderwali się od swoich zajęć i zamierzali zaraz do nich powrócić. Pawłysz wpatrywał się w twarze wchodzących, bo następna przecież mogła być Marina Kim.

Wan celebrował obrządek. Podsunął stertę oficjalnej korespondencji Dimowowi, a potem brał kolejno, poczynając od najgrubszego, pliki listów i przesyłek, odczytując głośno nazwiska adresatów. Nikt nie protestował przeciwko temu uświęconemu czasem rytuałowi poza Jerychońskim — zdeklarowanym buntownikiem.

Ludzie podchodzili i brali listy, swoje i adresowane do tych, którzy nie mogli oderwać się od

pracy i otaczający Wana tłum wolno się rozpraszał. Jedni rozsiadali się wygodnie, żeby przeczytać list, inni znów spiesznie wychodzili, żeby przesłuchać u siebie taśmę. Poczta się kończyła Mariny Kim nie było. Wan wziął garść przesyłek i podał ją Hindusce Sandrze.

— Dla stacji morskiej — powiedział. — Jest tam również list do ciebie. Nie wiedziałem, że przyjdiesz.

Pawłysz pochylił się do przodu, żeby sprawdzić, czy w tej paczusce nie ma błękitnej koperty, ale niczego nie udało mu się dostrzec Sandra odwróciła się od niego, szukając listu Wan wziął ostatni stosik.

— Sam przekażę — powiedział.

— Proszę się nie fatygować — powiedział Dimow, który choć sprawiał wrażenie całkowicie pogrążonego w lekturze, to jednak słyszał wszystko, co się wokół niego działo. — Zaraz idę na górę, to przy okazji jej przekażę. A ty zajmij się rozładunkiem ciężarówki. Weź sobie do pomocy hydrologów. Oni dziś nie mają nic do roboty. Czekają na sztorm, a sztormu nie będzie.

— Wiatr się wzmacnia — powiedział młodzieniec z długą blizną przecinającą na ukos czoło. — Może się doczekamy.

— Nie obawiajcie się, w razie czego damy wam znać — uspokoił go Dimow. — Zauważyłem, że hydrologi mają awersję do prac rozładunkowych. To dziwne.

— Dziwne — zgodził się Jerychoński. — Myśmy rozładowywali dwa kolejne statki.

— Cieszę się, że wszystko rozstrzygnęło się ku obopólnemu zadowoleniu — uśmiechnął się promiennie Dimow.

Wan był zmartwiony. Z kamienną twarzą podał plik listów Dimowowi, które ten wcisnął do bocznej kieszeni.

— Pawłysz — powiedział Dimow — kiedy wrócę, znajdę dla pana pół godziny na pytania i odpowiedzi. Domyślam się, że na razie żadnych pytań pan jeszcze nie ma. Może pan odprowadzić Sandrę, która i tak wraca na dół.

— Pójdę z wami — wtrącił Jerychoński. — Widzę, że niektórzy, zamiast wracać na swe stanowiska pracy, kierują się w stronę naszego gościa. Odpowiem za niego. Nie jest z Ziemi. Wie mniej od nas, co dzieje się w domu, nie zajmuje się sportem i nie zbiera znaczków pocztowych. Jest człowiekiem nieciekawym i źle poinformowanym. Całej reszty dowiedziecie się od niego przy kolacji. A powiedziawszy to, stłumił jego oburzenie, szepnąwszy na ucho:

— To dla pańskiego dobra, kolego. Bo inaczej nie odczepi się pan od nas do późnej nocy.

Kontynuował swoją myśl, kiedy już znaleźli się w tunelu:

— Gdyby nasza praca była nerwowa i pełna napięcia — ciągnął — gdyby na każdym kroku czyhało na nas niebezpieczeństwo, wtedy nie zauważalibyśmy upływu czasu. Ale pracę mamy spokojną, w warunkach nie odbiegających od badań w ziemskim laboratorium, a rozrywek mało. Dlatego właśnie tak garniemy się do nowych twarzy. A nowe twarze u nas się nie pojawiają.

— Nie masz racji, Eryku — powiedziała Sandra. — To tylko u was jest tak spokojnie. U innych wygląda to nieco inaczej.

— Masz na myśli siebie?

— Nie, u mnie też jest spokojnie.

Kręcone schody biegły po ścianach pionowej studni, oplatając szyb windy. Poszli pieszo. Ściana miejscami była wilgotna.

— Jestem filozofem — gadał niezrażony Jerychoński. — I muszę panu powiedzieć, kolego, że warunki mojej tutejszej pracy skłaniają do abstrakcyjnego myślenia. Za pozorną powszedniością naszego życia kryje się zarodek przyszłych burz i przewrotów. Ale to jest, powtarzam, za ledwie tło, o do tła człowiek szybko się przyzwyczaja. Sandra powiedziała przed chwilą, że inni nie mają tu zbyt spokojnego życia. Być może...

— Żartowniś — powiedziała Sandra. Szła przodem, a ponieważ szyb był słabo oświetlony, Pawłysz popuścił wodze swojej rozbuchanej fantazji i wyobraził sobie, że schodzi za piękną hinduską maharani do lochów jej rodowego zamku w Golkondzie, w których skarbów strzegą bengalskie tygrysy.

— Żartowniś — powtórzyła Sandra. — A kiedy byłam operowana w zeszłym tygodniu, bał się najbardziej ze wszystkich. Widziałam.

— Chciałem zastosować znieczulenie ogólne — powiedział Jerychoński. — A ty jesteś eksperymentatorką z gatunku tych, co to lubią stwarzać niepotrzebne problemy. Kiedy Dimow się pana spodziewa?

— Mówił coś o pół godzinie — odparł Pawłysz.

— Wobec tego pokażemy panu tylko akwarium i wracamy. Dimow mówi bardzo interesująco, ale okropnie nie lubi niepunktualnych.

— Dziwne — powiedział Pawłysz. — Wszyscy mówią tutaj o Dimowie jak o samowładnym tyranie, a on sprawia wrażenie człowieka bardzo spokojnego i delikatnego.

— Z nami trzeba być tyranem. Ja bym na miejscu Dimowa już dawno uciekł stąd gdzie pieprz rośnie. Ale ten facet ma stalowe nerwy.

— Eryk znów nie ma racji — wtrąciła Sandra, która zdawała się programowo negować każdą opinię Jerychońskiego. — Dimow jest człowiekiem wyjątkowo miłym i sympatycznym, tylko chce, żeby go słuchano, bo gdy ludzie nie będą słuchać, może wydarzyć się coś złego.

— No więc widzisz — mruknął Jerychoński — że to jednak ja mam rację!

Szyb się skończył. Pawłysz na kilka sekund oparł się o ścianę, żeby opanować zawrót głowy. Jerychoński zauważył to i powiedział:

— Umyślnie wiele chodzimy. Pracę mamy raczej siedzącą...

— Jak kto — powiedziała Sandra — do której Pawłysz już zawczasu się obrócił, oczekując kolejnej repliki, Moja praca wymaga dużo ruchu. A inni ruszają się jeszcze więcej.

— No, nie mówiłem o waszej grupie — odparł Jerychoński. — Wasza grupa to zupełnie co innego.

— A Marina Kim? — zapytała Sandra.

Pawłyszowi mocniej zabiło serce, bo po raz pierwszy to nazwisko zostało wymienione na głos, zwyczajnie, jak nazwisko Wana czy Dimowa. Z tych słów wynikało, że Marina Kim raczej nie należy do grupy, w której pracuje Sandra, ale że jest gdzieś tutaj, na Stacji, blisko, może właśnie w tej chwili Dimow oddaje jej list.

— Co tu ma do rzeczy Marina Kim? — zdziwił się Jerychoński i zwrócił się do Pawłysza, jakby szukając u niego poparcia — Czy to w ogóle można porównywać?

Pawłysz wzruszył ramionami. Nie wiedział, czy można porównywać Marinę Kim z Jerychońskim, chociaż jego pytanie oznaczało, że Jerychoński ma spokojne życie, a Marina Kim nie Jerychoński musi umyślnie biegać po schodach, żeby nie stracić formy, a Marinie to nie grozi.

— On przecież nie zna Mariny — powiedziała Sandra.

— Ach prawda! — wykrzyknął Jerychoński.

— Spotkałem ją kiedyś — powiedział Pawłysz — Dawno temu, na Księżycu Upłynęło chyba już ponad pół roku.

— To niemożliwe — zaproponował Jerychoński. Pan się musiał pomylić!

— Tak? Nie pamiętasz, co było w instytucie? — zapytała Sandra — Znowu o wszystkim zapomniałeś.

Weszli do obszernej hali przytłoczonej niskim stropem, podpartym gdzieniegdzie słupami. Ściana naprzeciw wejścia była przezroczysta. Za szybą widać było zielonkawą wodę.

— To jest nasze akwarium powiedział Jerychoński.

— Zostawię was tutaj — powiedziała Sandra. — Muszę oddać listy, a potem do pracy.

— Powodzenia, Sandro — powiedział Jerychoński nieoczekiwanie zmienionym głosem. — Nie przemęczaj się. Dziś wieczorem przebadam cię diagnostycznym.

— Zwariowałeś? — oburzyła się Sandra, odgarniając z twarzy długie czarne włosy. — Tego tylko jeszcze brakowało, żebym co wieczór chodziła do ciebie, jak na randkę!

— Troszczę się tylko o twoje zdrowie.

— Załatw u Dimowa zlecenie na codzienne badania i wtedy będę cała twoja — powiedziała Sandra i szybko ruszyła w stronę zlewających się ze ścianą stalowych drzwi w głębi hali.

Jerychoński rozłożył ręce, westchnął i powiedział:

— Jestem starszy od większości załogi. Przekroczyłem już czterdziestkę i czasami czuję się jak sterany życiem starzec, który nie potrafi śmiać się z dowcipu, bo nie rozumie, co w nim śmiesznego. Zaraz wrócę.

I pobiegł za Sandrą.

Pawłysz podszedł do przezroczystej ściany. Na odległość wyciągniętej ręki przemknęło stadko małych rybek. Promienie słońca przenikały przez wodę i załamywały się na falach. Rzadkie pęczki wodorostów kołysały się na podwodnym wietrze, Dno oceanu łagodnie opadało w głębinę, a tam, ledwie widoczne, wznosiły się ostre, strome skały. Ogromna płaszczka czy też zwierzę przypominające płaszczkę uniosło się z głębin i wolno, majestatycznie podpłynęło do szyby. Zaraz potem pojawiło się takie samo, nieco mniejsze zwierzę. Pawłysz pomyślał, że nie mogą go zobaczyć, bo w hali jest niemal ciemno, ale też miał cichą nadzieję, że szyba jest wystarczająco mocna. Potem nagle pomyślał, że niektóre ziemskie płaszczki mogą obezwładniać swe ofiary przy pomocy wyładowań elektrycznych i cofnął się o krok od akwarium. To było bez sensu, gdyż budowniczy Stacji z pewnością pomyśleli o takiej ewentualności, ale strzeżonego... Gigantyczna płaszczka jakby dostrzegła ruch Pawłysza, bo otworzyła paszczkę wypełnioną kilkoma rzędami ostrych, drobnych zębów. Zaraz jednak z gracją zaskakującą u takiego olbrzymiego stworzenia odwróciła się i popędziła za przyskającym we wszystkie strony rybim drobiazgiem.

Gdzieś z boku, z niewidocznego przez szybę akwarium otworu, wypłynęła Sandra. Była w lekkim gumowym kostiumie, płetwach i zasłaniających pół twarzy okularach. Nie widziała płaszczki i Pawłysz zaniepokoił się o nią.

— Sandro! — krzyknął, rzucając się do szyby.

Mniejsza z płaszczek ruszyła w stronę dziewczyny, w jej niespiesznych, pełnych gracji ruchach wyczuwało się pierwotną siłę. Płetwy zwierzęcia miały z pięć metrów rozpiętości, a długi ogon zakończony był ostrym, zagiętym kolcem.

Sandra nie słyszała Pawłysza. Zawróciła i popłynęła naprzeciw płaszczce, której ani w głowie było na nią napadać. Po prostu wolno sunęło w jej kierunku, aż wreszcie zatrzymała się w miejscu, leniwie łopocąc płetwami. Sandra powiedziała coś do płaszczki. Pawłysz mógł przysiąc, że widział, jak otwierało usta! Potem uniosło się na pół metra w górę i opadła na grzbiet płaszczki. Zwierzę energicznie machnęło płetwami i popędziło w głębinę... Druga płaszczka pomknęła za nimi.

Pawłysz zorientował się nagle, że stoi w niewygodnej pozycji z czołem przyciśniętym do szyby. Przeciągnął dłońmi po skroniach, bo wydawało mu się, że potargał sobie włosy. Włosy były w porządku. Zastanowił się i znalazł prawdopodobne wytłumaczenie oglądanej przed chwilą sceny. Po prostu załoga Stacji oswoiła morskie zwierzęta. I Sandra... To chyba była jej praca. Pawłysz pomyślał, że podziela niepokój Jerychońskiego, który pewnie gdzieś z sąsiedniej hali patrzy na to, jak Sandra ujeżdża płaszczkę. Patrzy bezradnie, bo gdyby się coś stało...

Pawłysz zerknął na zegarek. Minęło prawie pół godziny od rozstania z Dimowem. Dimow nie

lubi niepunktualnych. I chociaż Pawłysz nie miał podstaw, aby bać się Dimowa, to jednak wolał, skoro już znalazł się między wronami, krakać jak i one. Raz już spróbował się odezwać głosem i naraził się Wanowi. Postanowił odszukać Dimowa tym bardziej, że miał już do niego co najmniej dwa pytania. Pierwsze dotyczyło Mariny Kim, a drugie Sandry. Sandra mówiła pod wodą. A to mogło znaczyć, że oddycha pod wodą. Ciekawe czy ma wszczepione skrzela, czy też jakieś urządzenia w ustach wydające drgania odbierane przez płaszczki i brzmiące dla nich jak rozkaz? No cóż, z tymi pytaniami można już zaczynać rozmowę.

* * *

Nie umawiał się z Dimowem co do miejsca spotkania, więc wjechał na górę windą i bez trudu odnalazł jadalnię, ale nikogo w niej nie zastał. Wówczas postanowił pójść do pokoju Wana, pomyślawszy, że Dimow najłatwiej właśnie tam go odszuka.

Wana też nie było. Widocznie nadal rozładowywał z hydrologami ciężarówkę. Pawłysz od razu podszedł do półki z portretem Mariny. Marina patrzyła ponad jego ramieniem z wyraźnym błyskiem zaciekawienia w oczach, jakby za jego plecami działo się coś interesującego, a może nawet śmiesznego. Kąciki pełnych warg uniosły się do góry — to jeszcze nie był uśmiech, ale już początek uśmiechu. Minęło już niemal czterdzieści minut a Dimow się nie pojawiał. Pawłysz podszedł do okna. Nad oceanem zrywał się wiatr i białe grzebienie piany pokrywały go aż po horyzont. W pokoju było bardzo cicho. Cicho było również w korytarzu, bo przez uchylone drzwi nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk. I nagle rozległ się cichy terkot, jakby bliskie granie obudzonego nagle świerszcza. Pawłysz popatrzył w tamtym kierunku. Na końcu długiego biurka stała maszyna do pisania. Zwykła maszyna sterowana głosem. Maszyna pracowała. Krawędź kartki wysunęła się nad karetkę, ukazując wydrukowany wiersz. Maszyna szczyknęła i odcięta notatka wpadła do kosza odbiorczego. Pawłysz pomyślał, że to może być wiadomość dla niego od szukającego go Dimowa. Podszedł do maszyny, spostrzegł podłączony do niej kabel biegnący po kamiennej ścianie i skrywający się w stropie, i wziął do ręki karteczkę.

„Wan — przeczytał — Jak nazywa się pilot ciężarówki? Jeśli Pawłysz, to nie mów mu o mnie. Marina”.

Notatka dotyczyła bezpośrednio Pawłysza, ale była przeznaczona nie dla niego. Notatka świadczyła o tym, że Marina znajduje się gdzieś w pobliżu, ale nie chce się z Pawłyszem widzieć. To znaczy, że już go widziała, ale z daleka, bo inaczej nie miałaby wątpliwości, że widziała właśnie jego. A może usłyszała przypadkiem jego nazwisko od Jerychońskiego lub Dimowa?

Pawłysz stał, trzymając karteczkę w ręku. Marina nie chce go widzieć. Jest na niego obrażona? Za co? I jak.

Jak się ma teraz zachować, kiedy już wie, że Marina jest gdzieś w pobliżu?

— A, jest pan — powiedział Dimow. — Dobrze pan zrobił, że pan tu wrócił. Byłem niemal pewien, że tu pana znajdę... No i jak, był pan na dole?

— Byłem — odparł Pawłysz. Trzeba było odłożyć notatkę na miejsce. Zrobił krok w stronę maszyny.

— Coś się stało? — zapytał Dimow. — Widzę, że jest pan zdenerwowany.

Dimow mówił miękkim, jakby przepraszającym tonem, ale tak, że nie sposób było mu nie odpowiedzieć.

— Proszę mi to pokazać — dodał — widząc, że Pawłysz jednak zwleka z odpowiedzią.

Pawłysz podał mu notatkę.

— Aha — powiedział Dimow po przeczytaniu karteczki. — To jest ich prywatna korespondencja — wskazał maszynę. — A pan przypadkowo wziął ją do ręki, bo maszyna do

pisania akurat ruszyła i uznał pan, że to wiadomość dla pana ode mnie, nieprawdaż?

Pawłysz skinął głową.

— I rzecz jasna bardzo się pan zmartwił. Nic dziwnego, każdemu z nas jest przykro, jeśli ktoś nas nie chce widzieć. Nawet jeśli są po temu poważne powody.

Dimow przechwycił wzrok Pawłysza rzucony na fotografię Mariny.

— A więc pan ją zna?

— Tak.

— Kiedy pan ją poznał? Przepraszam za nadmierną dociekliwość, ale jeśli to nie sekret, chciałbym wiedzieć Marina Kim jest moją podwładną i co za tym idzie...

— Nie ma w tym żadnej tajemnicy — odparł Pawłysz. — Poznałem Marinę Kim nieco ponad pół roku temu podczas karnawału w Lunaporcie...

— Pół roku?

— Tak.

— Naturalnie, naturalnie. Teraz sobie przypominam Ona wówczas dopuściła się poważnej niesubordynacji...

— Znajomość była krótka i absolutnie przypadkowa... Pawłysz zdziwił się, że mówi to Dimowowi Jakby się przed nim tłumaczył.

— Wiedział pan, że ona tu jest?

— Prosiła wówczas, żebym jej nie szukał. To znaczy, żebym jej nie szukał przez dwa lata.

Pawłyszowi wydało się, że w oczach Dimowa dostrzegł cień uśmiechu.

— A jak się pan dowiedział, że ona tu jest?

— I tak bym tu przyleciał. Spiro poprosił mnie, żebym doprowadził tu ciężarówkę, a ja miałem akurat trochę czasu. Kilka listów wypadło z worka pocztowego i na jednym z nich zobaczyłem nazwisko Mariny Kim. Pewnie powinienem zapytać o nią od razu, ale nie czułem się do tego upoważniony... Prawie jej przecież nie znam...

— Taak... — Dimow odłożył notatkę do pojemnika maszyny. — Widziałem ją przed chwilą, kiedy oddawałem ten właśnie list. Wzięła go i natychmiast odleciała. To ja jej powiedziałem, że Spiro nie przyleciał. Spiro obiecał jej coś przywieźć. Zapytała mnie, kto dostarczył pocztę, więc powiedziałem jej, że nazywa się pan Pawłysz. Nie pomyliłem się?

— Nie.

— Nie zauważyłem jednak, aby to ją zmartwiło. Widzi więc pan, że okazała się sprytniejsza ode mnie. Natychmiast rzuciła się do maszyny i ostrzegła Wana. A ja teraz, zupełnie nie mam pojęcia, co mam zrobić.

— Ona ma prawo mnie unikać... — zaczął Pawłysz.

— Nie mam zamiaru negować jej praw, bo w pełni się z nią zgadzam. Tym bardziej, że i tak nie mógłby jej pan zobaczyć. Marina poleciała do siebie...

— Daleko?

— Nie bardzo. Nie chce pana widzieć... Tak... Ma widać swoje powody... — Dimow głośno myślał. — Z drugiej strony ja na jej miejscu... Proszę mi powiedzieć jaki charakter miała ta wasza przelotna znajomość. Zresztą nie, nie trzeba. To zupełnie mnie nie dotyczy, jako że w tej chwili mamy do czynienia nie ze znajomością jako taką, lecz z jej emocjonalnymi następstwami... I po jakiego diabła pana tu przyniosło?!

— Co? — na takie dictum nawet Pawłysz się zdziwił.

— Przepraszam, bardzo pana przepraszam! To była tylko głośno wypowiedziana myśl, absolutnie nie przeznaczona dla pańskich uszu. Tak, absolutnie nie przeznaczona, chociaż istotnie pańska obecność tutaj wprowadza pewne komplikacje. Będę musiał dobrze się zastanowić, zanim podejmę w tej sprawie jakąś decyzję. Proszę się na mnie nie gniewać. Tak... Wie pan co? Może

porozmawiajmy na razie o naszej Stacji. Dla pana, jako biologa, powinno to być niezmiernie interesujące. Zresztą na pewno ma pan już jakieś pytania...

Pawłysz nie potrafił rozgniewać się na Dimowa, bo je go szczerość była doprawdy rozbijająca.

— Moje pierwsze pytanie brzmiało następująco — powiedział Pawłysz. — Gdzie jest Marina Kim i jak mogę się z nią zobaczyć? Liczyłem, że przyjdzie odebrać pocztę, ale nie przyszła.

— Tak, nie przyszła — zgodził się Dimow.

— Teraz to pytanie zostało chwilowo wycofane z porządku dziennego, pozostało więc drugie. Byłem na dole, coś tam zobaczyłem, ale niewiele zrozumiałem, bo Sandra wkrótce odpłynęła na płaszczce, a Jerychoński zniknął...

— Dlatego, że niepokoi się o Sandrę — zakończył za niego Dimow, wyraźnie zadowolony, że Pawłysz zgodził się zmienić temat rozmowy.

— Mogłem zatem dojść do wniosku — ciągnął Pawłysz — że zajmujecie się badaniami i zagospodarowaniem oceanu i wykorzystujecie do tego celu miejscowe zwierzęta. To biosugestia czy tresura?

— Ma pan na myśli...

— Płaszczki. Widziałem, jak Sandra popłynęła wierzchem na płaszczce.

— Aby uniknąć zbędnych pytań, zacznijmy od samego początku. Zna pan prace Geworkiana?

Pawłysz przeraził się, że głęboko dotknie Dimowa, wyznając, że zna tylko nazwisko, nic więcej.

— Jedynie w ogólnych zarysach — powiedział, patrząc na Dimowa swymi niewinnymi, błękitnymi oczami, które już nieraz ratowały go w trudnych sytuacjach życiowych. — Rozumie pan, na statku ma się niewiele czasu na lektury...

— Jasne — powiedział Dimow z pobłażliwą przenikliwością — Ja też nie zawsze jestem wystarczająco zorientowany w osiągnięciach pokrewnych dziedzin biologii. Ale o biofarmacji pan słyszał?

— Naturalnie! — odparł skwapliwie Pawłysz.

— W ogólnych zarysach, jak sędzę — skwitował Dimow. — Proszę się tylko nie usprawiedliwiać. Bo na przykład w czym pan się specjalizuje, poza naturalnie pańską działalnością praktyczną? Zadaję to pytanie, bo wiem, że musi się pan czymś zajmować, gdyż inaczej byłby pan zdeklarowanym leniem, wiecznym pasażerem.

— Ostatnio pracowałem u Singha nad pewnymi aspektami regeneracji. A u was znalazłem się dlatego, że nie mogłem dotrzeć na Koronę, gdzie jego grupa ma ośrodek reanimacyjny. Singh ma wielkie osiągnięcia i jeszcze większe perspektywy.

— Słyszałem o profesorze Singhu. Pracuje w Bombaju, prawda?

— W Kalkucie.

— No właśnie. Sandra była u niego na stażu... Natomiast o Koronie mam bardzo słabe pojęcie i to wcale nie dlatego, żeby mnie ta dziedzina nie interesowała. Po prostu brak czasu. Proszę mi zatem wybaczyć, że opowiem panu o naszych sprawach nieco szczegółowiej, niż się to panu wyda niezbędne. Jeśli pan będzie coś z tych rzeczy wiedział, proszę łaskawie udawać, że pan nie wie... Organicznie nie znoszę, kiedy mi się przerywa...

I uśmiechnął się z zażenowaniem, jakby przepraszając za swe nieznośne usposobienie.

— Kiedy — kontynuował Dimow — powstawał nasz instytut, jakiś dowcipniś zaproponował, żeby naszą naukę nazwać ichtiandrologią. Był kiedyś taki bohater literacki — Ichtiander, Diabeł Morski, człowiek-ryba z wszczepionymi skrzelami. Nie czytał pan przypadkiem?

— Czytałem.

— Ale naturalnie ten pomysł nie przeszedł. Uczonym potrzebne są uczone słowa. To nasza słabość. Zostaliśmy nazwani Instytutem Bioformacji. Nowe nauki, jak pan zapewne zauważył,

powstają czasem na czole lawiny. Gromadzą się jakieś fakty, doświadczenia, idee, a kiedy ich ilość przekracza dopuszczalny poziom, wtedy powstaje nowa gałąź wiedzy. Nauka ta drzemie do czasu pojawienia się dyscyplin pokrewnych lub nawet nader od niej dalekich, jej idee unoszą się niejako w powietrzu, coraz częściej piszą o niej dziennikarze, ale nauka nie ma jeszcze nazwy i skryształowanego ośrodka. Uprawiają ową raczkującą dyscyplinę na razie poszczególni entuzjaści i dziwacy. Tak tamo było z bioformacją. Pierwszymi bioformantami były wilkołaki. Baśniowe wilkołaki zrodzone z pierwotnej fantazji, która widziała w zwierzętach swoich bliskich krewniaków. Człowiek jeszcze wówczas nie wyodrębnił siebie z natury... Widział siłę w tygrysie, przewrotność w wężu, chytryść w lisie. Przekształcał je w totemy i wierzył, iż w zwierzętach kryją się duchy ludzi. Siłą swą wyobraźni przesiedlał w zwierzęta ludzkie dusze i opatrywał je w baśniach ludzkimi cechami. Szczytowym wykwitem tego rodzaju fantazji stali się czarnoksiężnicy, czarownicy, którzy wedle własnej woli przybierali postać zwierząt i złych wilkołaków. Słucha mnie pan?

Pawłysz kiwnął bez słowa głową. Pamiętał, że obiecał nie wtrącać się, nie przerywać.

— Wilkołaki okazały się niesłychanie żywotne. Ludzie pragną latać i latają we śnie. Ludzie pragną pływać jak ryby. Wobec tego zżerana zawiścią ludzkość zaczęła zapożyczać od zwierząt ich metody. Powstał aeroplan podobny do ptaka, powstała łódź podwodna — rekin.

— Zawiść nie była chyba głównym motorem tych wynalazków.

— Pawłysz, proszę mi nie przeszkadzać! Ja wiem, że nie mam racji, ale chcę wykazać, że ludzkość wybrała zdecydowanie niewłaściwą drogę. Usprawiedliwia ją jedynie to, że nie miała wystarczającej wiedzy i możliwości, aby pójść drogą właściwą. Człowiek kopiował poszczególne funkcje zwierząt, ale samego siebie pozostawiał w nienaruszonym stanie. Diabeł Morski pozostawał jedynie marzeniem. Jednak taka sytuacja nie mogła trwać wiecznie. Medycyna osiągnęła pewien poziom, który umożliwił przeszczepianie narządów i tworzenie narządów sztucznych. W życiu ludzi coraz większe znaczenie zaczęła odgrywać biologia, genetyka, sterowane mutacje i tak dalej. Ludzie nauczyli się restaurować, naprawiać swoje organizmy, ale zawsze było to jedynie przywracanie ich stanu poprzedniego, stanu czysto ludzkiego.

Pawłysz miał ochotę powiedzieć coś w rodzaju: „Wszystko to jest od dawna znane, już wiem, o czym chce pan mówić dalej”, ale doskonale rozumiał, że jest dla Dimowa darem losu, niespodziewanym audytorium, przy którym można się wygadać. Podejrzewał, iż Dimow jest urodzonym pedagogiem, którego okoliczności pozbawiły rozkoszy wygłaszania wykładów i rzuciły w otoczenie, które samo wszystko wie i za nic w świecie nie będzie słuchało wykładów nawet z szacunku dla lektora. Zamyślił się i przegapił kilka pełnych pasji słów Dimowa.

— ...— Geworkianowi los wyznaczył rolę zbieracza faktów, człowieka, który zestawiał w spójną całość wszystkie te przykłady, o których panu dopiero co opowiedziałem i sformułował zadania, kierunki badań i cele bioformacji. Jest oczywiste, że nie tyle go wyśmiano, ile nie potraktowano poważnie. Bo co innego niewielkie jednostkowe zmiany ciała ludzkiego, a co innego zasadnicza jego przebojowa. Jeśli jednak ubiegłowieczni uczeni musieli dowodzić swoich rewolucyjnych racji całymi dziesięcioleściami i zyskiwali uznanie gdzieś koło osiemdziesiątego roku życia, to Geworkian miał do dyspozycji Bazę Oceaniczny Nairi, gdzie pracowało już dwunastu podwodników i wszczepionymi skrzelami.

— Sandra jest podwodniczką? — zapytał Pawłysz.

— Naturalnie — powiedział Dimow, jakby zdziwiony niedomyślnością rozmówcy. — Czyżby pan nie zauważył, jak ona specyficznie, głucho mówi?...

— Tak, zauważyłem,

— Sandra przeszła do nas niedawno, ale kiedyś pracowała w Nairi. Na czym to stanąłem?... Aha! Wytworzyła się paradoksalna sytuacja. Ludzie-ryby są nam potrzebni, wyposażamy więc

podwodników w skrzela i znajdujemy dla nich mnóstwo pracy w oceanie. Dziennikarze piszą już o rasie ludzi morskich, chociaż naukowcy doskonale rozumieją, że jeszcze za wcześnie o tym myśleć, bo podwójny układ oddechowy tak dalece komplikuje organizm, że jego zrównoważenie jest niezwykle utrudnione. Geworkian od samego początku był przeciwny temu, aby skrzela nurków pozostawały częścią ich ciała do samej śmierci. „Nie — mówił Armen Aszotowicz — niechaj ciało ludzkie będzie jedynie powłoką, jaką zgodnie ze swą wolą zechce przyoblec rozum ludzki. Powłoką, którą w razie potrzeby można zrzucić i powrócić do normalnego życia”. Teraz rozumie pan różnicę, między nurkami a bioformantami?

Pawłysz zmilczał. Zresztą Dimow nie czekał na odpowiedź, bo odpowiedział sam:

— Bioformant to człowiek, którego struktura cielesna została zmieniona w ten sposób, aby mógł on lepiej wykonywać swoją pracę w warunkach, w jakich normalny człowiek nie może egzystować...

Pawłysz przypomniał sobie, skąd zna nazwisko Geworkiana. Oczywiście jeszcze z lat studenckich. To było jakieś piętnaście lat temu. Potem spory ucichły... A może Pawłysz zajmował się akurat czymś innym...

— Spory i dyskusje koncentrowały się wokół problemu numer jeden — kontynuował Dimow — Po co zmieniać strukturę ciała ludzkiego, co jest rzeczą niełatwą i czasami niebezpieczną dla obiektu transformacji! Skoro można wymyślić maszynę, która spełni wszystkie żądane funkcje. No dobrze, iluś tam nurków przyda się w oceanologii, ale co dalej? Chcecie stworzyć Ikara? — pytano nas. — Ikara z prawdziwymi skrzydłami? Wyprzedzimy go na lotni. Chcecie stworzyć człowieka-krabę, który mógłby zejść do Tuscarory? Opuścimy tam samobieżny batyskaf. Ale... — Dimow zawiesił głos, lecz Pawłysz zepsuł mu cały efekt, kończąc za niego zdanie: „Kosmos to nie ziemski Wszechocean”.

Dimow odkaszlnął i zamilkł oburzony, niczym znany aktor, któremu jakiś cham podpowiedział z widowni „Być albo nie być”...

— Przepraszam — powiedział Pawłysz — ale nieźle pamiętany ówczesne dyskusje.

— Tym lepiej — odrzekł lodowatym tonem Dimow.

Wszedł Wan.

— Ciężarówka rozładowana — powiedział.

— Masz wiadomość od Mariny — powiedział Dimow. — Niechący ją przeczytałem.

Wan podszedł do maszyny i przeczytał notatkę. Potem zerknął na Pawłysza.

— Pawłysz zna jej treść — zauważył Dimow. — Przeczytałem ją na głos.

— To jest wiadomość dla mnie — mruknął Wan.

— Wiem. Już cię przeprosiłem. To naprawdę było niechący. Kiedy maszyna ruszyła, natychmiast do niej podszedłem. Wiesz przecież, że to jest u mnie odruchowe.

— Nie to miałem na myśli...

— Marina nie wiedziała, że Pawłysz jest w tym pokoju, a on już wie, że ona jest tutaj.

— I co mam jej teraz powiedzieć?

— Prawdę. Powiedz, że to moja wina i że Pawłysz bez jej zgody nie będzie próbował się z nią spotkać. Obiecał mi to.

Pawłysz wprawdzie niczego podobnego nie obiecywał, ale uznał, że Dimow wie lepiej, co jest dobre lub złe na Stacji,

— On ją zna? — zapytał Wan Dimowa, jakby Pawłysza nie było w pokoju.

— Sam go o to zapytaj.

— Tak. Znam ją.

Wan usiadł na wolnym krześle.

— Nie przeszkadzam? — zapytał.

— Nie, Opowiadam Pawłyszowi o bioformacji. To cię nie zainteresuje.

— Zainteresuje — powiedział Wan i jeszcze raz przeczytał notatkę.

— No dobrze. — Dimow znów zwrócił się do Pawłysza. — A więc Kosmos, jak pan powiedział, nie jest ziemskim Wszechocceanem. To prawda, wobec czego Geworkian zyskał poparcie Dalekiego Zwiadu Kosmicznego. Nawet pan sobie nie wyobraża, ile zgłoszeń napłynęło, kiedy opublikował swój syntetyczny referat!

— Trzy — powiedział rzetelny Wan, który musiał doskonale znać całą tę historię.

— Nieważne — machnął ręką Dimow. — Z początku były trzy zgłoszenia, ale potem kilkadziesiąt. A co najważniejsze do Geworkiana pospieszyli ze wszystkich stron chirurdzy i biolodzy. To były trudne lata! Wszystkim zależało na konkretnych wynikach, a my nie przyjmowaliśmy ochotników. Mieliliśmy jednak głębinnego psa, a właściwie rybę–psa. Potem jeszcze trzy lata doświadczeń i dopiero wtedy mogliśmy z pełnym przekonaniem zagwarantować bioformantowi powrót do jego pierwotnej postaci ludzkiej. Wówczas to, sześć lat temu zaczęliśmy doświadczenia z ludźmi. Pracowałem wtedy u Geworkiana...

— Dimow był pierwszy — powiedział Wan. — Geworkian z początku nie chciał go wziąć, bo w ogóle był wówczas przekonany, że minie co najmniej dwadzieścia lat, zanim pierwszy bioformant stanie się realnością.

— Nie byłem pierwszy — zaproponował Dimow. — Pierwszy był kierowca Polaczek, który do dziś pracuje w Instytucie, na Ziemi. Żywa kronika bioformacji. Bardzo lubi udzielać wywiadów.

— A kto był pierwszym bioformantem? — zapytał Pawłysz.

— Było ich dwóch — odparł Dimow. — Series i Sapajew. — Przygotowano ich do pracy pod wodą na głębokości do dziesięciu kilometrów. Nie mogli przekonać sceptyków, których przekonał dopiero przypadek.

— Zupełnie jak jabłko Newtona — powiedział Wan.

— Tak, bo Newton wiedział, że jabłko spadnie — powiedział gorąco Dimow. — Jestem przekonany, że wszystko już sformułował i czekał tylko na wizualne potwierdzenie.

— No i wybrał się do ogrodu — powiedział bez uśmiechu Wan.

— Dobra — ciągnął Dimow. — Przypadek się zdarzył. Pamięta pan, jak ratowano batyskaf w Rowie Filipińskim?

— Kiedy to było?

— A więc nie pamięta pan. Dla bioformacji to kamień milowy. Batyskaf stracił sterowność, wpadł do szczeliny i został zasypany. Łączności nie było. Słowem klasyczny przykład bezradności techniki. A nasi chłopcy do niego dotarli... Mam gdzieś wycinki prasowe i zdjęcia z tamtego okresu. Jeśli będzie pan miał ochotę, mogę później pokazać...

Dimow mówił o tym, jak o zamierzchłej historii. A przecież od opisywanych przez niego wydarzeń upłynęło zaledwie nieco ponad pięć lat.

— W tym czasie w Instytucie pracowało już kilku ochotników. Wie pan, nawet przy naszych możliwościach proces bioformacji jest niezmiernie trudny. Powiedzmy, że mamy Grunina. Ochotnika, kosmonautę. Ma pracować na planecie, gdzie ciśnienie atmosferyczne dziesięciokrotnie przekracza ziemskie, a temperatura na powierzchni wynosi przeciętnie plus trzysta stopni. Gdzie w dodatku poziom promieniotwórczości jest sto razy wyższy od normy, o ponadto bez przerwy szaleją burze i erupcje wulkanów. Naturalnie możemy posłać na tę planetę robota odpornego na te warunki, a nawet niesłychanie skomplikowany pojazd z człowiekiem w środku. Jednak możliwości tego człowieka będą bardzo ograniczone. Grunin uważa, że powinien pójść na tę planetę sam. Zupełnie sam. Dotknąć własnymi rękami, zobaczyć na własne oczy, bo jest badaczem, pionierem, uczonym. Zatem przyjmujemy Grunina. Sprawdzamy, jakim warunkom winno odpowiadać jego nowe ciało, jakie obciążenia musi ono wytrzymać. Obliczamy algorytm

takiego ciała, szukamy analogii, na jakich możemy się oprzeć, badamy ekstremalne zagrożenia i wreszcie w oparciu o modele biologiczne zaczynamy przekształcać Grunina... — Zamilkł.

— Grunin zginął — powiedział Wan.

— Wszystkiego przewidzieć nie sposób. I nie sędzę, żeby można było o to obwiniać Geworkiana. Tworząc bioformę na bazie konkretnego człowieka, należy pamiętać, że zewnątrz owej formy pozostaje mózg tego właśnie człowieka ze wszystkimi jego ograniczeniami...

— Potem był Dracz. Też przygotowywany na tę samą planetę. I Dracz też zginął — powiedział Wan.

— Proszę bez demagogii! — warknął z irytacją Dimow. — Przecież pan wie, że Dracz zginął na Ziemi, kiedy już wrócił ze swojej wyprawy.

Pawłysz przypomniał sobie portret Dracza w jadalni Stacji. Grunina nie mógł sobie przypomnieć, chociaż jego portret też tam wisiał, a Dracz stanął mu przed oczami jak żywy.

— Wrócił — powtórzył Dimow. — Miał na powrót przybrać ludzką postać. Wszystko by się dobrze skończyło, ale na Kamczatce zaczęło się trzęsienie ziemi i trzeba było odetkać wulkan. Wejść do krateru i wysadzić w powietrze skalny korek. Wulkanolodzy poprosili Instytut o pomoc. Geworkian kategorycznie odmówił, ale Dracz słyszał tę rozmowę. Poszedł, zrobił wszystko co należało, ale nie zdążył wrócić... I Geworkian...

— To był najcięższy rok w historii Instytutu — powiedział Wan, aby wypełnić przeciągającą się pauzę.

— Geworkian miał chore serce — powiedział Dimow — i ukrywał to. Tak bardzo chore, że nawet w Moskwie nic już nie mogli zrobić. Ale Instytut istniał, miał kilka laboratoriów i wielu bioformantów.

— Były już nawet legendy — powiedział Wan. — Wie pan, zrobiliśmy speleologa, który mógł widzieć w ciemnościach, przemykać się przez najciaśniejsze tunele i zalane wodą niedostępne grotty. Był malutki i zaginął.

— Po pierwsze — przerwał mu Dimow — speleolodzy–bioformanci istnieją, wcale nie są tacy mali i żaden z nich nie zaginął. A legenda, po wtóre, mówi o tym, że jeden z nich nie chciał stawić się na retransformację. Czas przebywania w cudzym ciele jest ściśle określony i jeśli go przekroczyć, organizm z najwyższym trudem powraca do stanu pierwotnego, a w skrajnych przypadkach odtworzenie w ogóle może się nie udać. Takie nieszczęście nigdy dotąd się nam nie przydarzyło, ale zawsze należy się z nim liczyć. Otóż owa legenda utrzymuje, że speleolog, kiedy nadszedł czas powrotu, ukrył się w bezdennych kredowych grotach Quintana Roo, Ukrywa się tam dotychczas, tylko regularnie podrzuca na powierzchnię artykuły naukowe, wydrapane zabytkowym gwoździem na wygładzonych płytkach wapieniaka.

— A po trzecie to nie jest żadna legenda — zakończył Wan. — Ten grotolaz siedzi tam do dziś, mimo trwających trzy lata poszukiwań. Nazywa się Cellini. To Włoch.

Dimow machnął na niego jak na uprzykrzoną muchę, a Pawłysz pomyślał, że w tym na poły żartobliwym sporze rację może mieć Wan, a Dimow i cały reprezentowany przez niego Instytut po prostu nie chce pogodzić się z godną pożałowania rzeczywistością. Wyobraził też sobie szczęśliwego speleologa pływającego w lodowatym podziemnym jeziorze i pełzającego z jaskini do jaskini w pogoni za ślepym robakiem nie znanym jeszcze nauce. Ale jak wygląda on sam?

— A jak on wygląda? — zapytał na głos.

— Kto? — nie zrozumiał Dimow.

— Brzydko — powiedział Wan. — Bardzo brzydko. Większość bioformantów nie grzeszy urodą. Mogę panu potem pokazać zdjęcia z instytutowego archiwum. Najbrzydszy jednak był Dracz. Znałem go.

Uroda jest rzeczą względną — zaoponował Dimow. — Komu ja mogę się podobać? Mojej

żonie, dzieciom? Czy mogę się podobać narzeczonej Wana?

— Nie mam narzeczonej. A poza tym, Dymitrze, nie podoba się pan nawet własnej siostrze Cóż robić, takie jest życie...

— No właśnie. Zatem brak urody nie może stanowić argumentu przeciwko bioformantom.

— To nie jest argument, tylko moja prywatna opinia — zauważył Wan,

— Wszyscy bez wyjątku są tacy pokraczni?

— Ależ nie. Sam pan zresztą wie... Na przykład Stanisław Fere...

Dimow roześmiał się.

Przez uchylone drzwi zajrzał Jerychoński.

— Aha, tutaj jesteście — powiedział. — Szukałem Pawłysza po całej Stacji. Wybieramy się kutrem na Krzywą Górę. Pomyślałem, że Pawłysz może to zainteresować.

— Kto się wybiera? — Dimow popatrzył na Wana.

— Wiem o tej wyprawie — powiedział Wan. — Jadę z nimi zaraz po obiedzie.

— Sandra i Staś pokażą nam Błękitną Grotę — powiedział Jerychoński. — Popłynęli tam i rano będą na miejscu.

— Słuchaj, Jerychoński — powiedział Dimow. — Jak uważasz, czy Staś jest ładny, czy pokraczny?

— Staś jest funkcjonalny — odparł Jerychoński... — Możemy więc zabrać Pawłysza ze sobą?

— Naturalnie, jeśli tylko ma na to ochotę. Pawłysz jest naszym gościem i może robić, co chce. Niech pozna bliżej Ferego i wyrobi sobie własną opinię o jego urodzie. Akurat rozmawialiśmy o bioformacji...

— Wyobrażam sobie, jak go zagadaliście!... A zresztą Pawłysz już zna Ferego.

— Co?

— Widział go na dole, kiedy z Sandrą pokazywaliśmy mu akwarium.

— Jakoś sobie nie przypominam... — powiedział niepewnie Pawłysz.

— To ten, z którym odpłynęła Sandra wyjaśnił Jerychoński. — Był tam poza tym Poznański.

— Płaszczki?

— Tak, jest jakieś podobieństwo do płaszczyk.

— Ale to są ludzie?

— Naturalnie, że ludzie, a właściwie bioformanci. Stanisław Fere pracował już przez kilka miesięcy na bagnach Sieny. Został zaprogramowany do pracy na tych bagnach. To jest dopiero przerażający świat!...

— Staś mówił mi — wtrącił Jerychoński — że tutaj czuje się jak w uzdrowisku Ani niebezpieczeństw, ani konkurentów. Jest silniejszy i szybszy od wszystkich mieszkańców oceanu.

— To przecież oznaczało całkowitą przebudowę organizmu! — wykrzyknął Pawłysz.

— Tak — zgodził się Dimow. — Niemal całkowitą. Można powiedzieć, że obecnie istnieje na świecie Fere w dwóch postaciach. Jeden tutaj, w oceanie. Drugi pozostał na Ziemi, zakodowany do ostatniej komórki w pamięci Ośrodka Reanimacji. Ale dość tych pogaduszek, bo za moment zleci się tu cała Stacja... Mam nadzieję, że ma pan teraz ogólne pojęcie o tym, czym zajmuje się nasz Instytut. A kiedy minie pierwsze zaskoczenie, pojmie pan i zrozumie jeszcze więcej.

* * *

Kuter odbił od ściany podwodnej grotty i światła przystani zamigotały w wypukłych iluminatorach. Zaraz potem kuter poszedł ostro w dół i za iluminatorami zrobiło się ciemno. Wan siedział przy sterze i odbłask lampek kontrolnych nadawał złowieszczy wygląd jego i tak już diabolicznej twarzy. Kuter przemknął pod skałą nawisającą nad wejściem do grotty, zaczął

stopniowo się wynurzać i woda przybrała najpierw niebieską, a potem zielonkawą barwę.

Kuter wyskoczył na powierzchnię i nabrał szybkości. Fale załomotały o dno, jakby jakiś niezmordowany kowal bił w nie wielkim młotem.

Młody, silny i dobrze odkarmiony zoolog Pfluge liczył pojemniki i puszki w swojej torbie polowej.

— Nawet pan sobie nie wyobraża — powiedział do Pawłysz — ile tam jest żyjątek. Gdyby Dimow pozwolił, osiedliłbym się na stałe pod Krzywą Górą.

— I żywiłbym się ślimakami — dodał Jerychoński.

— Na tej wyspie jest niebezpiecznie — powiedział Wan. — Nie można tam mieszkać. To jest teren sejsmiczny. Raj dla geologów, którzy mogą obserwować, jak rodzi się kontynent.

— Dla mnie to też jest raj — powiedział Pfluge. — Znaleźliśmy się tu akurat w momencie, kiedy tworzą się duże obszary lądu, a świat zwierzęcy dopiero zaczyna je zasiedlać.

Na prawo od kursu, jakieś dziesięć kilometrów za horyzontem, pojawił się szary słup dymu.

— Wulkan podwodny — wyjaśnił Wan. — Tam również będzie wyspa.

— Dlaczego waszą Stację zlokalizowano właśnie na tej planecie? — zapytał Pawłysz.

— Ta planeta nie jest gorsza od wielu innych — powiedział Jerychoński. — Warunki tu nie są wprawdzie, ekstremalne, ale wystarczająco trudne, w sam raz na poligon. Atmosfera rozrzedzona, temperatura opada nocą do minus stu dwudziestu stopni, większa część powierzchni pokryto praoceanem. Wszystko jest jeszcze młode, niestabilizowane. Dzięki temu możemy wypróbować nowe metody, poszukiwać uniwersalnych form. Możemy też trenować bioformantów, którym przyjdzie pracować w prawdziwie trudnych warunkach. Słowem jesteśmy z tej naszej kałuży bardzo zadowoleni...

Wyspa pokazała się po jakichś trzech godzinach jazdy. Od Stacji było do niej około pięciuset kilometrów. Wyspa wyglądała jak przekrzywiona głowa, która, zda się, długo i z wielkim wysiłkiem przebijała się przez wodę i wydobyła na — powierzchnię dopiero wówczas, gdy „podparła się jednym ramieniem. Drugie pozostało pod falami i dlatego głowa góry była przechylona na bok, a za krawędzią szczytu otwierała się półkilometrowa przepaść. Natomiast przeciwległy brzeg wyspy był łagodny i otoczony szeroką plażą, usianą kamieniami i złomami skalnymi. Wan rozpedził kuter, uniósł go w powietrze i przerzucił nad szeroką wstęgą przyboju, pieniacego się wokół wystających nad powierzchnią raf. Po chwili zwodował na płyciznie.

W miejscu, gdzie plaża przechodziła w łagodne zbocze góry stała niewielka szara kopuła.

— To nasza chatynka — powiedział Jerychoński. Wan wyłączył silnik i doprowadził kuter do brzegu.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział.

Naciągnęli kombinezony i założyli maski. Wiał silny wiatr niosący tumany drobnego, ostrego śniegu. Woda przy brzegu była pokryta cienką skorupą lodu.

— Rano lód będzie miał grubość ręki. Dobrze jeszcze, że woda jest tu bardzo słona — powiedział Wan. — Teraz tylko kolacja i spać — powiedział Pfluge, który pierwszy zeskoczył na brzeg z nawisającego nad piaskiem dziobu kutra. Potem wyciągnął ręce i Wan, pochylony się, podał mu torbę z pojemnikami. Wiatr był bardzo zimny i wszyscy, poza Pawłyszem, opuścili na twarze przezroczyście przyłbice.

— Odmrozi sobie pan twarz! — ostrzegł Jerychoński. Jego głos brzmiał w hełmofonie głucho, jakby dobiegał z bardzo daleka.

Wan otworzył drzwi schronu. Kopułę od wewnątrz podtrzymywały masywne metalowe wsporniki.

Widzę, że domek jest wcale solidny! — zauważył Pawłysz.

— W najgorszym razie wstrząs tektoniczny zerwie go i fundamentów i wyrzuci w morze —

powiedział Jerychoński — A stamtąd go po prostu wyłowimy.

Włączył ogrzewanie i puścił powietrze. W domku od razu zrobiło się cieplej.

Kopuła była przedzielona przepierzeniem na dwie części. W pierwszej, przytykającej do śluzy, znajdowały się stanowiska robocze, maszyny i aparatura kontrolna. W drugiej był magazyn i sypialnia.

— Zaraz przygotujemy kolacyjkę — powiedział Pfluge, zacierając ręce. — Moje ulubione konserwy! — On nie żartuje — powiedział Wan — Naprawdę gotów jest żywić się samymi konserwami. No cóż, bywają rozmaite zboczenia...

— A jutro wyruszymy na poszukiwanie skarbów — dokończył pogodnie zoolog.

— Kto jadł moją łyżką, kto spał w moim łóżku? — zapytał surowym tonem Jerychoński, podchodząc do ustawionego w kącie stołu. — Kto nas odwiedził?

— Przecież wiesz — odparł Wan.

— Ale przecież prosiłem, żeby nikt nie dotykał mojej maszyny. Sam ją regulowałem i tylko ja wiem, jak się nią posługiwać.

Jerychoński oskarżycielskim gestem wskazywał przenośny diagnostat, z którego wystawała zadrukowana taśma. Pod stołem poniewierał się jeszcze cały kłęb poplątanej taśmy.

— Uszy poobrywam temu hipochondrykowi! — wykrzyknął.

— Czy mogę przespacerować się po okolicy? zapytał Pawłysz. — Obiecuję nie oddalać się od domu, nie kapać się w morzu i nie walczyć ze smokami. Popatrzę tylko na zachód słońca i wrócę.

— Niech pan idzie — zezwolił Wan. — Tylko, rzeczywiście, proszę nie zajmować się amatorskimi badaniami, bo to niebezpieczne, chociaż smoków tu nie ma.

— Smoków nie ma — zgodził się z nim Pfluge — ale w gruncie rzeczy jeszcze nie wiemy, co tu naprawdę jest. Nie jest wykluczone, że jakieś nieznanne nam zwierzęta mogą się napatoczyć. Wobec tego byłoby dobrze, gdyby pan istotnie zbytnio się nie oddalał.

— Ale pistoletu panu nie dam — powiedział Wan.

W razie czego będzie pan musiał liczyć wyłącznie na własne nogi.

— Tak nastraszyliście człowieka — powiedział Jerychoński — że chyba będę musiał go eskortować.

Pawłysz widział, że Jerychoński powiedział to jedynie z wrodzonej uprzejmości, bo zupełnie nie miał ochoty na spacer. O wiele bardziej zajmowały go upstrzone cyframi taśmy diagnostatu.

— Do widzenia — powiedział. — Będę starał się spacerować tak, żebyście mogli mnie obserwować przez to okienko.

Wskazał iluminator, w którym widoczny był brzeg.

— Słusznie — powiedział Wan.

Pawłysz założył maskę i wszedł do śluzy.

Słońce wisiało nad zboczem góry zakrywającej pół nieba. Śnieg padał tak gęsto, że trzeba było opuścić przyłbicę. Ostre kryształki lodu rozbijały się o nią z jednostajnym stukiem i Pawłyszowi wydawało się, że otacza go gęsty rój białych, nieprzyjemnie brzęczących much. Odwrócił się bokiem do wiatru i zszedł nad wodę. Osłonięta łańcuchem raf laguna była spokojna, fale wolno toczyły się ku brzegowi i równie leniwie odpełzały, pozostawiając na plaży strzępy wodorostów, drobne muszelki i kawałki porowatego pumeksu. Obejrzał się. Za kamienistą plażą sterczały czarne zębiska skał, piarżyste zbocze też wydawało się czarne, bo niskie słońce świeciło prosto w oczy, a bliżej szczytu z tej czerni tryskały strumyki pary i pracowity krater wypluwał rytmicznie pacyny jasnego, dymiącego błota. Błoto spływało w dół, tworząc na plaży dziwnie pofalowaną kałużę. Jeśli na tej wyspie żyją jakieś zwierzęta, to z pewnością są solidnie opancerzone i przystosowane do bytowania w mocno zmineralizowanych gorących źródłach. Muszą schodzić na brzeg, by wybierać tam skąpe owoce tutejszego morza.

Pawłysz ruszył brzegiem morza. Wiatr bił go w plecy, popychał i popędzał. Kopuła szybko oddalała się i wkrótce stała się niemal niewidoczna wśród innych skał i kamieni. Pawłysz szedł z taką samą szybkością, z jaką słońce staczało się, ze zbocza góry. Zamierzał dojść do mierzei i popatrzeć, jak będzie zapadać się za horyzont. Chmury zniknęły, jakby pospieszyły za słońcem tam, gdzie jest jasno i ciepło. Pawłysz wzmocnił ogrzewanie kombinezonu. Przybrzeżny lód już nie poddawał się słabym uderzeniom fal, nie pękał i nie spiętrzał się w długi zator wzdłuż krawędzi wody, lecz gładką jakby oleistą warstwą pokrył całą lagunę. Tylko gdzieniegdzie w tej matowej powłoce prześwitywały plamy żywej wody barwy wieczornego nieba. Zrobiło się nieprzyjemnie i Pawłysz postanowił wrócić.

Ze zbocza góry oderwał się kamień i podskakując przemknął o krok od niego, aby za chwilę wpaść do mono, wznosząc słup rozpylonej wody i startego na miazgę lodu. Pawłysz spojrział w górę. Nie, to nie była lawina. Kamień spadł dlatego, że potracił go schodzący wolno z góry tutejszy mieszkaniec. Szedł pewnie po to, aby pożywić się mrożonymi ślimakami wyrzuconymi na brzeg zatoki.

Tubylec był dość przerażający, ale na Pawłysza nie zwracał uwagi. Pawłysz widział go niezbyt wyraźnie, bo tubylec szedł po zacienionym zboczu, ale w każdym razie przypominał wysokiego na jakiś metr szczupłego żółwia. Na szczycie srebrzystego pancerza widniała półkolista kopułka, coś jakby głowa wbita po oczy w ramiona. Nóg nie było widać. Żółw z równym powodzeniem mógł ich mieć cztery lub sto.

Pawłysz nagle zrozumiał, iż żółw idzie nie wprost ku brzegowi, tylko do schroniska, odcinając mu drogę do domu. Zatrzymał się niezdecydowanie. Może to był czysty przypadek i żółw go nie widział, a może tylko udawał, że nie widzi. Tubylec dotarł do dwumetrowego uskoku i natychmiast spod pancerza wysunęły się długie błyszczące macki. Żółw lekko skoczył, zawisł na chwilę i miękko opadł na skalną półkę obok wulkanu błotnego. Wówczas Pawłysz spostrzegł, że zwierzę ma kilka par nóg, grubych i gibkich. Żółw nie był powolny i niezgrabny, tylko takiego udawał. Pawłysz ostrożnie, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi, ruszył brzegiem w stronę schronu, mając nadzieję, że żółw nie zdąży odciąć mu drogi odwrotu. Tymczasem zwierzę, jakby odgadując zamiar człowieka, szybko potoczyło się w dół po zboczu, pomagając sobie kończynami i mackami. Wówczas Pawłysz, ogarnięty irracjonalnym strachem przed pierwotną siłą emanującą z potwora, rzucił się do ucieczki. Nogi rozjeżdżały się na żwirze, śnieg łomotał w przyłbicę i przez jego chrzęst Pawłysz zdawał się słyszeć coraz bliższe kroki myśliwego. Pawłysz już wiedział, co czuje ofiara, zdobycza. W ciągu ostatniego półrocza doznawał tego uczucia parokrotnie i nie chciał przegrać tego wyścigu o kilka dni drogi od domu.

Biegł nad samą wodą, potykając się o chrzęszczący pod nogami lód. Wydało mu się, że w iluminatorze dostrzegł czyjąś twarz. Jeśli to Wan, to zdąży otworzyć drzwi...

Właz był otwarty. Pawłysz zatrzasnął go za sobą i oparł się o ścianę, żeby złapać oddech. Teraz wystarczyło tylko nacisnąć guzik, wpuścić do śluzy powietrze, otworzyć właz wewnętrzny, opowiedzieć wszystko Wanowi i usłyszeć od niego „Przecież uprzedzałem”. Jednak zanim zdążył nacisnąć guzik sprężarki, poczuł jak właz za jego plecami wolno się otwiera...

Najrozsądniejsze w tym momencie było ponowne zamknięcie zewnętrznych drzwi. Wystarczyło przesunąć dźwignię. Ale Pawłysz stracił opanowanie, bo zobaczył w szczelinie włazu błyszczącą czarną mackę. Rzucił się więc do przodu, aby otworzyć drzwi wewnętrzne i znaleźć się w środku kopuły. Wiedział, że drzwi wewnętrzne się nie otworzą, zanim śluza nie napełni się powietrzem, ale liczył na to, że Wan zdecyduje się wyłączyć automatykę.

Drzwi ani drgnęły. W śluzie zrobiło się ciemniej, bo żółw wypełnił sobą niemal całe światło włazu. Pawłysz odwrócił się, przywarł plecami do ściany i uniosł ręce na wysokość piersi, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę z tego, iż macki żółwia są zbyt silne, aby mógł sobie z nimi

poradzić. O jego życiu decydowały sekundy. Czy ludzie w środku zrozumieli, co się właściwie stało?

W służbie rozbłysło światło. Pawłysz zobaczył, jak żółw naciska macką dźwignię drzwi zewnętrznych i zamyka je. Druga macka dotykała wyłącznika. To żółw zapalił światło.

— Pędzę za panem od samego gejzera — powiedział potwór. — Nie widział pan mnie, czy może się przestraszył?

Powietrze z szelestem napełniało służę. Głos żółwia wydobywał się spod kopułki na jego pancerzu.

— Nie mogę krzyknąć, bo mam za słabą gadałkę — powiedział żółw. — Pan jest tu nowy? Jakoś sobie nie mogę pana przypomnieć.

Wewnętrzne drzwi służy odsunęły się w bok. Pawłysz zachwiał się i żółw musiał podtrzymać go macką.

— Uciekałeś, aż się za tobą kurzyło — powiedział Wan z nieukrywanym zadowoleniem. Pędziłeś jak na skrzydłach. Nic dziwnego, miejscowe formy życia zawsze tak działają na męnych kosmonautów.

— On wcale nie uciekał — odezwał się Pfluge znad kuchenki. — On po prostu wycofywał się na z góry zaplanowaną pozycję. — Niels, zjesz z nami kolację?

Bioformant odpowiedział głuchym, pozbawionym intonacji mechanicznym głosem:

— Pfluge, przestań się nade mną znęcać! Przecież doskonale wiesz, jak czasami tęsknię za tym, żeby nareszcie usiąść po ludzku do stołu. Dziwna rzecz: organizm tego nie potrzebuje, a mózg wszystko pamięta, nawet smak czereśni albo soku brzoźowego. Piłeś kiedyś sok brzoźowy?

— To w Norwegii jest sok brzoźowy? — zdziwił się Jerychoński.

— W Norwegii jest wszystko — odparł bioformant. Wyciągnął w stronę Pawłysza długą mackę, dotknął nią jego ramienia i dodał: — Umówmy się, że podałem panu rękę. Nazywam się Niels Christiansen. Nie chciałem pana nastraszyć.

— Jeszcze teraz trzęsą mi się nogi — powiedział Pawłysz.

— Mnie też by się trzęsły. To moja wina, bo zapomniałem powiedzieć panu o Nielsie — odezwał się skruszonym tonem Jerychoński. — Ale kiedy widzi się ich na co dzień, człowiek tak się przyzwyczaja do niezwykłości bioformantów i w ogóle wszystkiego, co nas otacza... Tym bardziej że Niels mocno mnie zdenerwował. Słuchaj, dlaczego uruchamiałeś diagnostat? Niepokoisz się o własne zdrowie? No to czemu mnie nie wezwałeś? Przecież natychmiast bym przyleciał. Zresztą Dimow też ma do ciebie pretensję, że się od trzech dni nie odzywałeś.

— Byłem w kraterze — odpowiedział Niels — Wyszedłem z niego dopiero godzinę temu. A z diagnostatu skorzystałem dlatego, że musiałem wypróbować się w wyższych temperaturach. Potem wszystko ci opowiem, a tymczasem wy powiedzcie mi, co nowego Listy z Ziemi były?

— Ja mam list — odparł Pfluge. Dam ci go, jak tylko przygotuję posiłek. Dobrze?

— Zgoda A ja tymczasem połączę się z bazą — powiedział bioformant i potoczył się w stronę stojącej w kącie radiostacji. — Muszę porozmawiać z Dimowem i sejsmologami. Który z nich jest w domu?

— Wszyscy — odpowiedział Wan — A co, będzie trzęsienie ziemi?

— Niemal katastrofalne. Obawiam się, że cała ta wyspa może wylecieć w powietrze. Nie, jeszcze nie dziś, bo naprężenia nie są jeszcze krytyczne. Muszę jednak skonsultować się z sejsmologami. Jedzcie, nie zwracajcie na mnie uwagi.

Niels włączył nadajnik. Wywołał Dimowa, a potem sejsmologów. Sypał wzorami i liczbami, jakby odczytywał je z kartki, a Pawłysz pomyślał ze zdziwieniem, jak szybko mija strach. Teraz zauważył mimochodem w duchu „Niels włączył nadajnik”, a jeszcze piętnaście minut temu uciekał przed tym Nielsem na złamanie karku.

— Dracz był do niego podobny. Grunin też. Pamięta pan, co Dimow opowiadał? — powiedział cicho Jerychoński.

— O świcie będzie tu lotnia z sejsmologami — powiedział Niels wyłączając radiostację. — Dimow prosił o ostrzeżenie podwodników.

— Będą tu dopiero rano — odpowiedział Wan i zwrócił się do Jerychońskiego. — możesz ostrzec podwodników?

— Nie. Sandra nigdy nie zabiera nadajnika. Powiada, że jej przeszkadza. — Jerychoński był nie na żarty zaniepokojony.

— Przepraszam, a pan gdzie mieszka? — zapytał Pawłysz żółwia.

— Ja nie muszę nigdzie mieszkać — odpowiedział Niels. — Nie śpię i bardzo rzadko jem. Po prostu chodzę i pracuję. Czasami, gdy taki tryb życia bardzo mnie znudzi, zjawiam się tutaj. Jutro pewnie pojedę z wami na Stację. Chętnie zostałbym tutaj, ale Dimow nie pozwoli.

— Dziwisz się? — powiedział Jerychoński. — Dimow przyjaźnił się z Draczem i nabrał idiosynkrazji do wulkanów.

Szybko zjedli kolację, a potem położyli się na matach za przepierzeniem. Niels też został w środku, przy radiostacji i zaczął coś czytać. Kładąc się spać, Pawłysz jeszcze raz spojrzął na niego. Metrowa półkula, pokancerowana kamieniami, wysmagana wiatrem i spieczona żarem przetoczyła się pod ścianę, a po chwili przycisnęła do niej macką otwartą książkę. Potem od czasu do czasu przewracała stronicę drugą macką, błyskawicznie wyskakującą spod pancerza.

W przedziale sypialnym było prawie ciemno. Pfluge posapywał już zwinięty w kłębek, a Jerychoński spał spokojnie z rękami złożonymi na brzuchu. Wan posunął się, robiąc miejsce Pawłyszowi,

— Wie pan — powiedział szeptem, kiedy Pawłysz już się położył — dlaczego pana prawie znieawidziłem?

— Chyba dlatego, że pana nie usłuchałem.

— Nie, wcale nie dlatego, chociaż tak się panu wydało. Dlatego, że rozerwał pan chmurę.

— Co?!

— Widzi pan, Dimow nie zdążył tego powiedzieć. Ja zresztą też, chociaż już się z pańską obecnością pogodziłem, zwłaszcza po liściku Mariny...

Za przepierzeniem rozlegał się miarowy szelest stronic książki. Regularnie co dziesięć sekund. Pawłysz wyobraził sobie, jak macka wyskakuje spod pancerza.

— Krótko mówiąc Spiro wie, i wszyscy tutaj to wiedzą, że chmury trzeba omijać. Ale naturalnie nie przyszło mu do głowy, żeby pana o tym uprzedzić, ja zaś nie pomyślałem, że polecą pan na przelaj. Zachowałem się niewłaściwie. Przepraszam.

— No dobrze, zapomnijmy o tym. Ale ja nadal nie rozumiem, o co chodzi z tymi chmurami.

— Te chmurki są organiczne. Mamy tu naturalnie i zwyczajne obłoki, ale te pierzaste są w istocie kłębami pajęczyny. Mikroorganizmy żyjące w górnych warstwach atmosfery cierpią energię od słońca, a z dołu docierają do nich popioły wulkaniczne i para wodna. No więc te żyjątka plotą pajęczynę. Tak ją nazywamy, chociaż te nitki są wielokrotnie cieńsze od pajęczyny...

— I ja rozdarłem chmurę?

— Rozdarł pan. A one regenerują ją bardzo długo. Tracimy mnóstwo sił na ich podkarmianie i badanie, pan za jednym zamachem... Dobrze jeszcze, że nie powiedziałem o tym Dimowowi...

— Chciał mnie pan oszczędzić?

— Mówiąc prawdę, to nie. Siebie i Sotrona. Dostałoby się nam, bo pan przecież nie wiedział.

— Pora spać — odezwał się Niels z za przepierzenia, jeśli się go nie widziało, można było pomyśleć, że mówi zwyczajny człowiek.

— Odkąd to zacząłeś się troszczyć o nasz sen? — zapytał Wan.

— Wcale się o to nie troszczę — odpowiedział Niels. — Po prostu lubię od czasu do czasu coś komuś powiedzieć. Nie wzór czy liczbowe wyniki obserwacji, tylko coś powszedniego. Na przykład to, że pora spać...

Wan zasnął od razu, jakby słowa Nielsa były rozkazem.

Pawłysz odczekał parę minut, a potem zapytał szeptem:

— A Marina jest daleko stąd?

Wan nie odpowiedział. Spał.

* * *

Pawłysza obudził wstrząs podziemny. Pozostali byli już na nogach. Pfluge znów hałasował swoimi puszkami, bo wybierał się na polowanie. Jerychoński parzył kawę. Niels powiedział:

— Pójdę już. Widzicie, że zaczęło trząść.

— Może poczekaj na chłopców...

— Nie. Oni wiedzą, gdzie mnie szukać. Będę przy automatach. Wezmę radiostację, a w przypadku nie wyłączajcie pelengatora. Chociaż, jeśli coś mi się stanie, i tak nie zdołacie mi pomóc.

— Dlatego mówię, żebyś poczekał na chłopców.

— Nie, żartowałem. Nic się nie stanie. Jeszcze na to za wcześnie.

— Pawłysz, obudziłeś się? — zapytał Jerychoński.

— Idę.

Zza przepierzenia zapachniało kawą.

— Możesz umyć się w miednicy — powiedział Jerychoński. — Przyniosłem trochę lodu.

Miednica stała pod oknem wychodzącym na morze. Woda w niej była lodowato zimna i gęsta od kawałków kry. Brzeg przez noc zmienił się nie do poznania. Był pokryty śniegiem i sięgał aż do raf, o które biły fale otwartego oceanu. Lodowy pancierz zatoki poprzecinany był ciemnymi szczelinami. Po śniegu bez pośpiechu toczył się Niels zostawiając za sobą dziwny ślad przypominający głębokie koleiny. Słońce ledwie przeświecało przez chmury.

— Zimno tam? — zapytał Pawłysz.

— Minus osiemdziesiąt — odparł Jerychoński. — Ale nie ma wiatru. Można wytrzymać.

— Idę — powiedział Pfluge dopijając kawę — Bo inaczej zeżrę wszystkie suchary. Mam przedziwny organizm, który odczuwa głód, gdy tylko pokaże mu się jedzenie. Mogę obywać się bez pokarmu przez dwa tygodnie, jeśli tylko go nie widzę...

— Klamczuszek! — powiedział Jerychoński.

Wan wygramolił się z jakiejś wielkiej skrzyni czy szafy, na którą Pawłysz dotychczas nie zwrócił uwagi. Trzymał na dłoni białą kulę przypominającą kłębek puszystej wełny.

— Popatrz, Pawłysz — powiedział. — To jest właśnie to, co usiłowałeś zniszczyć.

Pawłysz wziął ostrożnie kulę do ręki. Kłębek dosłownie nic nie ważył, był ciepły i bajecznie miękki w dotyku. Lekko podrzucił go do góry i kłębek uniósł się w powietrze, a potem popychany oddechem popłynął w bok.

— Ta pajęczynka jest bezcenna — powiedział Jerychoński. — To najlżejszy i najtrwalszy materiał we Wszechświecie. Gdybyśmy potrafili ją hodować, to nasza planeta stałaby się ośrodkiem handlu galaktycznego.

— Trochę tej pajęczyny zbieramy — powiedział Wan, chwytając kłębek i odnosząc go do szafy — ale to kropla w morzu potrzeb. Dla mnie prawie bez mleka.

Po śniadaniu Pawłysz ubrał się i wyszedł na dwór. Słońce wreszcie wydobyło się zza chmur i śnieg zaczął tajać. Nad czarnym zboczem unosiło się lekka mgiełka. Śnieg pokrył się cienką

skorupką wiosennego lodu i rześko poskrzypywał pod butami.

Pfluge przykucnął i coś wygrzebywał nożem ze śniegu.

— Niech pan chwilę poczeka. Niebawem wszystko staje i wówczas dokonamy co najmniej trzech wielkich odkryć zoologicznych — powiedział do Pawłysza. Jego głos w hełmofonie brzmiał jak uroczysta trąba jerychońska.

— Dlaczego tylko trzech?

— Tak już jest. Byłem tu już siedmiokrotnie i za każdym razem odkrywałem po trzy zupełnie nieznanie nauce gatunki albo nawet rodziny. Czy to nie wspaniałe?

Pawłysz przyznał, że to wręcz cudowne.

Na niebie pojawiła się czarna plamka Lotnia. Słońce przypiekało coraz bardziej i Pawłysz zmniejszył ogrzewanie kombinezonu. Po niebie wolno pełzła biała półprzezroczysta chmurka i lotnia, podchodząc do lądowania, zanurkowała pod nią.

Z sejsmologami przyleciał Dimow.

— Gdzie jest Niels? — zapytał Pawłysza zaraz po przywitaniu. Uznał za rzecz oczywistą, iż Pawłysz jest już we wszystkim zorientowany. — Pewnie w kraterze?

— Wziął ze sobą nadajnik — powiedział Pawłysz.

— Mam złe wiadomości — powiedział jeden z sejsmologów, którego Pawłysz nie mógł rozpoznać pod maską i przyłbicą. — Niels miał rację. Naprężenia w skorupie rosną szybciej, niż się tego spodziewaliśmy. Epicentrum będzie jakieś sto kilometrów stąd.

Wskazał ręką w stronę słońca. Ocean był spokojny. Lód z zatoki już prawie zniknął.

Drugi sejsmolog pospieszył do kopuły.

— Spróbuję połączyć się z Nielsem — powiedział.

— Kiedy mieli być podwodnicy? — zapytał Dimow Pawłysza.

— Nie wiem dokładnie — odparł Pawłysz. — Podobno rano.

— Do diabła z taką precyzją! — oburzył się Dimow i pobiegł za sejsmologami.

— Widzi pan — powiedział radośnie Pfluge, wyciągając spod śniegu długi sznur wodorostu — Już stał się pan jednym z nas. Jeszcze wczoraj Dimow traktował pana niezwykle uprzejmie, a więc obojętnie. Burczeniem wyraża swoją sympatię, proszę zatem się nie obrażać.

— Ani mi to w głowie — odparł Pawłysz — Cieszę się, że Dimow się na mnie złości.

Kiedy wrócił do kopuły, trafił akurat na koniec bitwy Jerychońskiego z Dimowem.

— Kto mógł przypuścić — wykrzyknął Jerychoński, gestykulując ręką, w której trzymał filiżankę kawy — że akurat dzisiaj zechce się panu urządzać trzęsienie ziemi?

— Proszę mi dać tę kawę — odwarknął Dimow. — I tak parzyliście ją dla gości.

— Naturalnie, bardzo proszę... — Jerychoński postawił kawę przed Dimowem. — I niech pan nie myśli, że przygoda Sandry i podwodników zupełnie mnie nie niepokoi.

— Wcale tak nie myślałem — powiedział złośliwie Dimow — Ale przecież nikt nie kazał panu żenić się i rybą.

— Dymitrze! — oburzył się Jerychoński.

— Sandra jest wspaniałą kobietą, doskonałym biologiem i sportowcem, ale ma skrzela, o czym chyba pan wie nie gorzej ode mnie, chociażby jako chirurg.

Wan uśmiechał się od ucha do ucha.

— Mógł pan przynajmniej dopilnować, żeby wzięli ze sobą nadajnik Tego przecież wymagają wszystkie instrukcje.

— A dlaczego pan sam tego nie dopilnował?

— Bo nie mogę kontrolować poczynań wszystkich pracowników Stacji. Przyznaję jednak, że ja też jestem tu winien.

— Dymitrze — wtrącił się do rozmowy Wan — nadajnik rzeczywiście jest niewygodny w

użyciu, a oni wyruszyli we trójkę. Doskonale wiesz, że oni we trójkę nie boją się nawet diabła, nie mówiąc już o jakimś głupim trzęsieniu ziemi.

Dimow machnął ręką, jednym haustem wypił kawę, oparzył się i przez chwilę nie mógł złapać oddechu. Wreszcie mu się to udało i powiedział:

— Mało brakowało, żebym wyzionął ducha. Nareszcie mielibyście spokój.

— Nie pozwolilibyśmy na to — powiedział Pawłysz. Jestem reanimatorem. W najgorszym razie zamroziłoby się pana i odeszło do ożywienia na Ziemię.

Sejsmolodzy poszli na górę i obiecali za godzinę wrócić. Dimow połączył się ze Stacją i przekazywał powszednie polecenia, których nie zdążył wydać z rana, bo wyruszył w drogę bardzo wcześniej. Jerychoński znów zajął się badaniem taśm diagnostatu, a Wan rozbierał jakiś aparat. Zachowanie pozostałych w kopule ludzi było pozornie zwyczajne, ale napięcie w schronisku z każdą chwilą rosło. Podwodnicy powinni zjawić się już ponad godzinę temu, ale nadal ich jeszcze nie było.

* * *

Drugi wstrząs nastąpił mniej więcej w godzinę po przylocie Dimowa z sejsmologami. Wan odezwał się od radiostacji.

— Niels mówi, że zwiększyło się wydzielanie gazów. Przyrost jest większy od przewidywanego.

— Może ewakuować schronisko? — zaproponował Jerychoński. Zostalibyśmy tylko we dwóch z Nielsem.

— Tylko bez paniki! — powiedział Dimow Wan, zapytaj Nielsa, co grozi wyspie.

Ziemia pod nogami dygotała, jakby ktoś stukał od dołu w podłogę.

— Jeśli nastąpi erupcja, strumień lawy popłynie w przeciwną stronę. Ale oczywiście niczego nie można za gwarantować.

Wrócił sejsmolog Gogia z taśmami zdjętymi z automatycznych urządzeń kontrolnych.

— Coś okropnego! — powiedział z nieukrywanym zachwytem — Jesteśmy świadkami prawdziwego kataklizmu. Nawet sobie nie wyobrażacie, co teraz dzieje się w oceanie!

Dimow wstał.

— Przykro mi — zwrócił się do Pawłysza. — Należałoby umożliwić panu powrót na Stację, ale nie mamy wolnego środka transportu. Jeszcze raz proszę mi wybaczyć.

Pawłysz nawet nie zdążył się obrazić, gdy Dimow nie zmieniając tonu odezwał się do Wana:

— Natychmiast wywołuj Szczyt. Niech tu przylecą.

— Po co? — zdumiał się Wan.

— Stukać. Będziemy ich szukać. Tu są niewielkie głębokości.

— Jasne.

— Nie znoszę bezczynności — powiedział Jerychoński. — Wyłynę im kutrem naprzeciw.

Dimow nie zwracał na niego uwagi.

— Co ze Szczytem? — zapytał Wana. Nikt nie odpowiada.

— To nic. Wywołuj ich dalej, ale potem. Na razie daj mi Stację. Niech wyślą lotnię na pół drogi od nich.

— Ale tam jest spokojnie...

— Lepiej zbadać każdą ewentualność. Niech nie odlatują, dalej niż na dwieście kilometrów. Została tam tylko jedna lotnia, a wiesz, jacy z nich piloci.

— Tak — westchnął Wan, a potem zapytał: — Może Pfluge podyżuruje przy nadajniku?

Jerychoński miotał się po schronisku. Ponieważ ciężenie było tu niższe od ziemskiego, jego

kroki, zamaszyste na początku, kończyły się dziwnie powolnie i jakby tanecznie.

— Po co?

— Popłynąłbym kutrem. Z Pawłyszern.

— Doskonale sobie z kutrem poradzę — zaproponował Jerychoński.

— Wątpię — powiedział Wan — Jesteś za bardzo zdenerwowany.

— Trudna sprawa. — zaczął Dimow, patrząc na Pawłysza.

— Lepiej, żebym to ja popłynął kutrem — powiedział Pawłysz. — Wprawdzie nigdy dotąd go nie prowadziłem, ale...

— Nie! — zdecydował się Dimow. Kuter weźmie Wan. Jerychoński popłynie z nim na ocean, a Pawłysz zostanie przy radiostacji i jeśli będzie trzeba, polecą lotnią.

Pawłysz podszedł do nadajnika i stanął za plecami Wana.

Wan wstał, mrugnął do niego porozumiewawczo i powiedział:

— Wszystkie sygnały wywoławcze są na tabliczce. Radiostacja jak widać jest zwyczajna, ze standardowego zestawu Zna pan ten typ?

— Naturalnie.

Wan zniżył głos i powiedział Pawłyszowi na ucho:

— Nie spieraj się z Dimowem, bo cię w zdenerwowaniu objedzie. Nadchodzi kataklizm, Jerychoński histeryzuje, a podwodnicy spokojnie zbierają perły w Błękitnych Grotach i nie wiedzą, co ich czeka, kiedy nareszcie się tu zjawią.

— Jesteś pewien, że to fałszywy alarm?

— Inne warianty są zbyt groźne, aby na nie stawiać — odpowiedział Wan, po czym wziął swój kombinezon i maskę.

— Sprawdziłeś skafander? — zapytał Dimow.

— Tak, zostawiłem go na kutrze.

Za oknem mignęło coś białego, jakby ktoś machnął wielkim prześcieradłem.

— Hej — powiedział Wan wyglądając na zewnątrz. — O wilku mowa! Przecież to Allan.

— Gdzie? — zapytał Dimow.

— Na dworze. Sam przyleciał. I niech mi ktoś teraz powie, że telepatia nie istnieje.

Pawłysz miał iluminator wprost przed oczami. Po czarnym, mokrym od stopionego śniegu piasku kuśtykał wolno ogromny ptak, dokładnie taki sam jak te, które Pawłysz zobaczył tuż po wylądowaniu. Nawet nie pytając Wana domyślił się od razu, że ptak jest bioformantem. Co więcej, połączył jego obecność z kłębkami białej puszystej nibypajęczyny. To ptaki ją tu przyniosły. I dalszy krok w rozumowaniu: wybuch gniewu Wana. Jeśli bioformant Allan pracuje w chmurach, to samowola Pawłysza mogła zagrażać jego istnieniu...

Odezwali się sejsmolodzy, a po chwili Niels podyktował serię liczb dla Dimowa.

Jerychoński już był ubrany, gotowy do wyjścia. Wan otworzył włącz kopuły Sejsmolodzy nie przekazali żadnych alarmujących wiadomości, więc nie było podstaw do szczególnego pośpiechu Dimow też założył maskę i powiedział do Pawłysza:

— Niech pan tu zostanie i nie odchodzi od nadajnika. Jeśli coś się stanie, proszę natychmiast mnie zawiadomić. Pójdę teraz porozmawiać z Allaniem, bo on tutaj nie może wejść.

— A kombinezon? — zapytał Wan, widząc, że Dimow zamierza wyjść na zewnątrz w samej masce.

— Teraz nie jest zimno — odparł Dimow — Puść mnie.

— Stacja zawiadomiła, że lotnia wystartowała na poszukiwanie podwodników i pytała, co tam nowego na wyspie Pawłysz odpowiedział, że na razie nic się nie dzieje.

Za oknem Dimow rozmawiał z ptakiem. Ptak sięgał mu ledwie do pasa, ale jego złożone skrzydła, opierające się końcami o rozłożysty ogon, miały co najmniej trzy metry długości Ptak

miął niewielką głowę z krótkim dziobem i nieruchome błękitne oczy.

Naczynia na stole zabrzęczały od kolejnego wstrząsu tektonicznego.

W głośniku odezwał się Niels.

— Stuchaj, Wan — powiedział swoim cichym, mechanicznym głosem — Gdzie właściwie jest ta Błękitna Grota?

— Wan odpłynął kutrem. Pewnie właśnie tam. A ja dokładnie nie wiem.

— Pawłysz? Wobec tego zapisz dokładne współrzędne epicentrum. Właśnie je z Gogią obliczyliśmy.

Za oknem Dimow przestępował z nogi na nogę i otulał się szczelnie kurtką. Najwyraźniej było mu bardzo zimno. Ptak zakołysał się, niezgrabnie wbiegł na wrzynającą się w wody zatoki płytę skalną i rozłożył skrzydła. Natychmiast przekształcił się w sześciometrowy żagiel nadymany porywami wiatru i uniósł się w powietrze, potężnymi machnięciami skrzydeł nabierając szybko wysokości.

Dimow hałasował w śluzie i dopiero po dłuższej chwili otworzył wewnętrzne drzwi, wpuszczając do kopuły kłęby pary. Trząśnięcie z zimna i mimo wysiłków nie mógł tego drżenia opanować.

— Myślałem, że zdechnę tam — powiedział — Nie przypuszczałem, że z Allana jest taki zuch!

— A co? — zapytał Pawłysz.

— Nie spodobały mu się fale w tym sektorze. Allan wymyślił graficzną teorię prognozowania wstrząsów tektonicznych. Zgodnie z nią przepowiada charakter i miejsce trzęsienia ziemi według kształtu fal, który z lotu ptaka jest doskonale widoczny. Od dawna kłóci się na ten temat z sejsmologami, którzy uważają, że jego teoria może mieć jedynie bardzo ograniczone zastosowanie. Pewnie zresztą mają rację... Było coś dla mnie?

— Niels przed chwilą przekazał współrzędne spodziewanego epicentrum.

— Daj mi je... Że też Allan przyleciał właśnie tutaj! Wprawdzie wczoraj wspominałem im, że wyruszacie na spotkanie podwodników, ale zawsze... A ja bardziej liczę na ptaki niż na nasz kuter i gdyby Allan nie przyleciał, musiałbym wysłać pana na poszukiwanie z powietrza.

Dimow rzucił okiem na liczby, zmiął kartkę, rzucił ją na stół, potem wziął ponownie do ręki, pieczołowicie wygładził i powiedział:

— Proszę z łaski swojej jeszcze raz wywołać Nielsa i zapytać, czy nic się nie zmieniło.

Niels odezwał się dopiero po dłuższej chwili i jego odpowiedź była bardzo lapidarna.

— Wychodzimy na zbocze, bo tu jest zbyt gorąco. Połączymy się za pięć minut.

— A więc się nie rozessie. — powiedział Dimow.

— Tu Szczyt. Szczyt wzywa Schronisko — odezwał się odbiornik. — Słyszycie nas?

— Tu Schronisko — odpowiedział Pawłysz.

Dimow podszedł bliżej.

— Mówi Samt Venante. Wylatujemy.

— Dobrze — powiedział Dimow. — Tylko nie zapomnijcie zabrać nadajnika.

— Wie pan — wyjaśnił Pawłyszowi — nadajniki, które nam przysłano, są dobre dla geologów i innych piechurów, ale bioformantom przeszkadzają. Spiro już dawno obiecał załatwić mikroradiostację, ale przecież pan go zna.

Pawłysz zupełnie nie znał Spirona, ale uznał, że nie czas teraz na spieranie się o drobiazgi.

— Jednym słowem pod byle pozorem starają się je gdzieś zostawić. Wcale im się nie dziwię, zwłaszcza bioformantom latającym, bo dla nich dodatkowe trzysta gramów obciążenia to nie bagatela.

Wrócił Pfluge. Długo krzątał się po śluzie, wzdychał, brzęczał swoimi puszkami i wreszcie z trudem precyzyjnie przeszedł przez właz.

— Niezwykły dzień! — powiedział radośnie, rozstawiając na stole swoje zdobycze — Wyrobiłem dziś co najmniej trzy normy.

Zobaczył, że Pawłysz siedzi przy nadajniku, i dorzucił.

— Widziałem odpływający kuter, ale nie zdążyłem zapytać. Podwodnicy jeszcze nie wrócili?

— Nie — odparł Dimow — Na wszelki wypadek proszę przygotować do pracy stanowisko medyczne.

— Ja to chyba zrobię lepiej — powiedział Pawłysz — A Pfluge niech tymczasem posiedzi przy radiostacji.

— Po pierwsze. Pfluge jest bardzo słabym łącznościowcem, a po wtóre, pan jest, jak podejrzewam, jeszcze gorszym weterynarzem. Zapomina pan, że nasi koledzy i znajomi nie są w tej chwili przejściowo antropoidami.

— To niestety prawda — odezwał się Pfluge. — Mam jednak nadzieję, że nic złego im się nie stanie.

Otworzył skrzynię stojącą w kącie pod przepierzeniem i zaczął wyjmować z niej leki i narzędzia, zerkając przy tym na swoje trofea. Rozpierało go pragnienie, aby pochwalić się komuś swoimi zdobyczami, a tu jak na złość nikt nie miał do nich głowy.

Nadeszła wiadomość z lotni, która przeleciała już trzydzieści kilometrów od Stacji, że na razie z jej pokładu nikogo nie zauważono.

— A jaka jest widzialność w głąb? — zapytał Pawłysz.

— Woda jest przezroczysta i niezbyt głęboka, my jednak nie liczymy na własne oczy. Wszyscy podwodnicy mają znaczniki izotopowe, które łatwo namierzyć. A gdyby to się nie udało, to pozostają jeszcze ptaki, które widzą na dziesięć metrów w głąb.

Pawłysz dojrzał przez okno sejsmologów zbiegających ze zbocza. Dopiero po chwili ukazał się Niels obładowany aparatami pomiarowymi ewakuowanymi z krateru.

— Co na kutrze? — zapytał Dimow Pawłysz wywołał kuter.

— Nieustannie nadajemy sygnały — powiedział Wan — Na razie bez skutku. A u was co nowego?

— Na razie nic.

— Schronisko! — włączył się nagle mechaniczny, monotony głos jednego z ptaków — Schronisko! Widzę Sandrę!

— Gdzie? — zapytał Pawłysz.

Wan, który nie zdążył się wyłączyć i wszystko słyszał, zawtórował mu.

— Gdzie?

— Południowy zachód, ku południowi od Krzywej Góry Trzydzieści mil, Słyszycie mnie?

— A co z nią? Co z nią?! — krzyknął Jerychoński.

— Utrzymuje się na wodzie. Zejdę niżej, bo mnie nie widzi...

— Kuter, w jakim jesteś kwadracie? — zapytał Dimow, odsuwając Pawłysza od radiostacji.

— 13-878 — odpowiedział Wan — Na północny zachód od wyspy.

— Siedemdziesiąt pięć mil — powiedział Dimow patrząc na mapę. — Potrzebujecie na dojsście tam co najmniej pół godziny.

— Ruszamy — powiedział Wan i wyłączył się.

— Pół godziny — powtórzył Dimow i natychmiast wywołał ptaki: — Możecie jej pomóc?

— Nie — odpowiedział któryś z bioformantów. — Jestem tu sama i nie mogę do niej dotrzeć. Ocean jest mocno sfalowany i boję się zamoczyć skrzydła, a Sandra jest chyba nieprzytomna...

Pawłysz pospiesznie naciągał kombinezon.

— Gdzie jest maska?

— Weź moją — powiedział Pfluge. — Masz. Dimow uniósł głowę znad radiostacji i zobaczył,

że Pawłysz właśnie kończy się ubierać — Znasz tę lotnię?

— Jak swoje pięć palców.

— Polecę z nim — powiedział sejsmolog Gogia. — Dobrze, że się nie rozebrałem.

Dimow powtórzył:

— Trzydzieści mil na południowy zachód, ku południowi od Krzywej Góry. — Potem obrócił się do mikrofonu i powiedział: — Za dwie minuty wystartuje do was nasza lotnia. Na miejscu będzie za jakieś dziesięć minut. Kuter nie zdąży szybciej niż za pół godziny. Pfluge szarpał się z włazem słuzy.

— Pospieszcie się — powiedział ptak bo zamiast jednej Sandry będziecie musieli ratować dwoje. Ten nadajnik ciąży mi jak kamień.

Pawłysz otworzył drzwi zewnętrzne i przystanął na chwilę, zdumiony, jak bardzo zmieniło się oświetlenie. Słońce przesłaniała czerwona mgielka, a czarna góra rysowała się ostro na niebie, jakby podświetlona od tyłu promieniem reflektora teatralnego. Sejsmolog pierwszy wskoczył do lotni. Pawłysz uniósł nogę, aby pójść za jego przykładem, kiedy drzwi kopuły otworzyły się i wyskoczył z nich Pfluge w samej kurtce i bez maski. Otworzył szeroko usta, starając się odetchnąć rozrzedzonym powietrzem i rzucił w ich stronę mały pojemnik z zestawem pierwszej pomocy. Zachwiał się i byłby się przewrócił, gdyby nie Niels, który chwycił go macką i wciągnął do środka.

— To nasza wina — powiedział sejsmolog. — Jak mogliśmy zapomnieć...

Pawłysz podniósł pojemnik, rzucił go sejsmologowi, wskoczył do lotni i powiedział do Gogii:

— Teraz się trzymaj! I kiedy będziesz opowiadał wnukom o naszej dzisiejszej wyprawie, nie zapomnij podkreślić, że wiozł cię były mistrz Moskwy w akrobatyce lotniowej.

— Nie zapomnę powiedział sejsmolog, dociągając do oporu pasy bezpieczeństwa.

Pawłysz wyszedł z wirażu i poleciał z maksymalną prędkością tak, żeby zostawić po lewej ręce słup różowobrunatnego dymu stojącego nad przeciwległą stroną wyspy.

* * *

W siedem minut później zobaczyli samotnego ptaka, krążącego o dwieście metrów nad falami.

Ptak zauważył lotnię, bo uniósł się wyżej i znieruchomiał w powietrzu, jakby wskazując punkt, w którym znajduje się Sandra. Pawłysz rzucił lotnię w dół i zawisł o jakieś dziesięć metrów nad grzebieniami fal, ale nawet z tej wysokości nie od razu dostrzegł Sandrę, której ciało nikło wśród piany urywanej przez wiatr ze szczytów grzywaczy.

— Widzisz? — zapytał Gogia, wpatrując się w wodę.

Wiatr znosił lotnię, więc Pawłysz musiał hamować jego porywy silnikiem, żeby nie stracić Sandry z oczu. Potem wypuścił drabinkę sznurową, która miękko rozwinęła się i chlupnęła do wody o metr od Sandry.

— Jak ją podniesiemy? — zapytał Gogia otwierając dolny właz,

— Pawłysz, co u ciebie? Dlaczego milczysz? — odezwało się radio.

— Poczekaj jeszcze minutę! — warknął Pawłysz. — Znaleźliśmy ją i musimy teraz podnieść na pokład. Wówczas wszystko powiemy.

— A co i nią?

— Nie wiem.

Pawłysz wyłączył nadajnik i powiedział do Gogii:

— Ani mi się waż sam wyciągać ją z wody. Po prostu obwiąż ją liną i przymocuj do drabinki. Wyciągnę was na pokład razem. Jasne?

— Tak. Masz rację — powiedział sejsmolog.

Ptak przeleciał tak blisko kabiny, że Pawłysz mógł zająrzeć w jego okrągłe, porcelanowe oczy.

Uniół rękę, dziękując mu tym gestem za pomoc. Ptak miał na piersi owalne pudełeczko nadajnika. Pawłysz przesunął ręką po własnej piersi, dając do zrozumienia ptakowi, żeby wyrzucił niepotrzebny już ciężar. Ptak zamknął potakująco oczy, ale nadajnika nie wyrzucił, tylko uniół się nieco wyżej, tak że jego cień od czasu do czasu zasłaniał Pawłyszowi słońce.

Sejsmolog schodził ze zwojem liny po drabinie i Pawłysz całą swoją uwagę skupił na tym, żeby nie pozwolić wiatrowi znieść lotni w bok. Sandra rozłożyła ręce i kołysała się na falach jak w hamaku. Leżała na plecach i miała zamknięte oczy. Zgubiła gdzieś swoje ochronne okulary. Minęło czternaście minut od chwili, kiedy wybiegli ze Schroniska.

Sejsmolog wczepił się jedną ręką w drabinę, a drugą usiłował doprowadzić pod ciało Sandry pętlę liny. Robił to tak niezgrabnie, iż Pawłysz pożałował, że nie może zostawić sterów. Sam zrobiłby to łatwiej i szybciej niż Gogia, który najwyraźniej nie był alpinistą. Dziwne, sejsmolog bez przygotowania wspinaczkowego?... Lina znów się ześliznęła, bo sejsmologowi brakowało wolnej ręki, żeby podsunąć ją pod ramiona Sandry. Gogia aż dygotał ze złości, że jest taki nieporadny i Pawłysz już chciał do niego krzyknąć, aby wspiał się na pokład i spróbował utrzymać lotnię w miejscu, chociaż doskonale rozumiał, że dla niefachowca jest to zadanie prawie niewykonalne, że człowiek posługujący się na co dzień wyłącznie auto pilotem nie poradzi sobie z ręcznym sterowaniem w trudnych warunkach. Nie zdążył jednak nic przedsięwziąć, kiedy ptak zdecydował się na niebezpieczną próbę; miękko poszybował pod wiatr, wyczekał momentu, kiedy ciało Sandry znalazło się na grzbiecie fali, chwycił swym krótkim dziobem pętlę liny i błyskawicznie przesunął ją pod ramionami dziewczyny.

Ciągnij! — krzyknął Pawłysz do sejsmologa. Gogia z najwyższym trudem utrzymywał równowagę na drabinie, ale usłuchał i pociągnął, zaciskając linę na łokciach Sandry. Bioformant cudem umknął przed grzbietem następnej fali. Kiedy przelatował przed dziobem lotni, Pawłysz zauważył, że nadajnik jednak poszedł do wody. Uniół kciuk do góry i ptak gwałtownie zaczął nabierać wysokości.

— Teraz poczekaj — zwrócił się Pawłysz do sejsmologa. — Teraz mogę włączyć autopilota. Ubezpieczaj ją, a ja do ciebie zejdę...

We dwóch wciągnęli Sandrę do kabiny. Minęło dwadzieścia minut od startu.

Radio wrzeszczało, domagało się informacji, błagało o wiadomość, co się stało. Pawłysz nie odpowiadał. Ułożył Sandrę na podłodze i usiłował odnaleźć puls. Sejsmolog otworzył apteczkę, ale Pawłysz postanowił nie ryzykować. Uniół tylko dziewczynie powiekę i zobaczył, że źrenica się zwięża. Sandra żyła,

— Mówi Pawłysz — włączył nadajnik. — Słuchajcie mnie uważnie. Sandrę mamy już, na pokładzie. Jest nieprzytomna...

— Jeśli nieprzytomna, to znaczy, że żyje. Nie przerywajcie mi. Najwidoczniej jej organizm ma podwójny krwioobieg. Niechaj Pfluge albo ktoś inny z miejscowych powie mi...

— Oho! — powiedział sejsmolog. — Widziałeś to?

Skafander Sandry był rozerwany na boku i przez dziurę widać było wielki siniak. Pawłysz dotknął go ręką i wyczuł kilka złamanych żeber.

— Słuchaj — powiedział Dimow. — Sandrę projektowaliśmy we dwóch z Geworkianem. Ale to w tej chwili nieważne. Nie czekajcie na kuter, tylko lećcie od razu do Schroniska. Sandrze nie udzielajcie żadnej pomocy, tylko załóżcie jej maskę tlenową i przykryjcie czymś ciepłym. I natychmiast ruszajcie tutaj...

Sejsmolog wyjął zapasową maskę i butlę tlenową. Sandra miała zamknięte oczy i błękitne cienie na policzkach. Gogia odgarnął jej z twarzy mokre włosy i drżącymi ze zdenerwowania rękami założył maskę. Pawłysz pędził w stronę Schroniska lotem koszącym. Wprost na kursie, niczym latarnia morska, wznosił się słup dymu. Ptak leciał w górze i niemal nie zostawał w tyle za

lotnią. Odbiornik był włączony i Pawłysz usłyszał, jak Dimow poleca kutrowi krążyć na razie w miejscu i nie wracać na wyspę.

* * *

Pfluge wraz drugim z sejsmologów czekali już na brzegu zatoki. Owiniętą w koc Sandrę ostrożnie wydobyli z lotni i biegiem przenieśli do kopuły. Właz był zawczasu odsunięty i po minucie dziewczyna leżała już na stole. Dimow czekał ubrany w sterylny kitel i rękawiczki chirurgiczne. Czekał również włączony diagnosta, którego czujniki zdawały się niecierpliwie drżeć, zawieszono przewidująco nad stołem.

— Będzie mi pan asystował — zwrócił się Dimow do Pawłysza. — Tam jest zbiornik z roztworem bakteriobójczym.

Przy radiostacji stał Niels.

— Wszystko w porządku — mówił. — Naprawdę, wszystko jest w porządku! Przecież wiesz, Eryku, że jeśli Dimow coś powie...

Wiatr za oknami zmienił już kierunek i brzeg oraz gładka powierzchnia zatoki pokryły się grubym kożuchem popiołu wulkanicznego.

* * *

Sandra spała. Oddech miała miarowy, twarz zaróżowioną, a na skroniach perliły się jej kropelki potu.

— Jest tu jej za gorąco — powiedział Dimow — bo przywykła do bardzo niskich temperatur.

— Jak długo będzie spać? — zapytał Pawłysz.

— Damy jej jeszcze dwie minuty. — Dimow odwrócił się w stronę nadajnika. — Niels, kuter jest już na miejscu?

— Tak, od dziesięciu minut. Na razie nie ma żadnych sygnałów.

— No, to rzeczywiście nie możemy czekać dłużej niż dwie minuty...

— Co się właściwie Sandrze stało? — zapytał Pawłysz, trzymając ręce w miednicy z zimną wodą, żeby złagodzić pieczenie, bo Pfluge w pośpiechu przygotował zbyt skoncentrowany roztwór bakteriobójczy.

— Włączył się układ bezpieczeństwa. Jeśli jej organizm pracuje na granicy możliwości i zachodzi niebezpieczeństwo utraty życia, wtedy wpada w stan pokrewny letargowi. Na razie możemy jedynie przypuszczać, że podwodnicy dostali się w strefę oddziaływania silnej fali sejsmicznej lub zostali zasypani, a Sandra jako jedyna z nich zdołała się uwolnić lub jako jedyna pozostała przy życiu... Ale została poważnie ranna. Ma złamane trzy żebra, rozległe stłuczenia i ranę pod kolanem, jak pan widział. To w sumie nic wielkiego, ale znacznie gorszy jest, zahamowany teraz, krwotok wewnętrzny, co przy podwójnym krwioobieganiu stanowi istotne zagrożenie. Najwidoczniej płynęła do bazy, ale zabrakło jej sił i musiała wynurzyć się na powierzchnię. Utonąć nie mogła, bo kiedy oddycha skrzelami, jej płuca działają jako pęcherz pławny. Jak tylko straciła przytomność, zapadła w letarg ze zmęczenia i ran, automatycznie wynurzyła się na powierzchnię oceanu...

— A czy w tym oceanie nie ma drapieźników?

— Takich, które mogłyby zagrażać Sandrze, chyba nie.

W każdym razie dotąd się z nimi nie zetknęliśmy. Ale proszę mi wierzyć, że z takim wypadkiem się nie liczyliśmy. Nasi eksplorery nie powinni tracić przytomności ze zmęczenia i ran...

— Ale jak widać taki wypadek może się zdarzyć — powiedział Pawłysz.

— Niestety. No cóż, pora ją budzić. Nie będzie to dla Sandry najprzyjemniejsze, ale nie możemy tracić czasu. Nie wiemy przecież, co się stało z pozostałymi podwodnikami.

— To znaczy, że kiedy ją wydobywaliśmy z wody, Sandra oddychała skrzelami?

— Tak, ale kiedy podłączył pan tlen, organizm przestawił się na oddychanie płucne.

Sandra ocknęła się od razu. Bólu nie czuła.

— Dimow — powiedziała — chłopców zasypało... Mówiła z trudem, niezbyt przytomnie.

— Byliśmy w Błękitnej Grocie i zaczęło się trzęsienie ziemi... Albo lawina kamienna... Zawaliło nas w grocie... głęboko... Byłam osobno... Staś jest ranny... nie może wypłynąć... nawet jeśli zdołali wydostać się spod zawału... nawet... Eryk nie wie?

Pawłysz podał Dimowowi automatyczną strzykawkę. Dimow przyłożył ją do przedramienia Sandry i pobudzający płyn wszedł pod ciśnieniem pod skórę.

Oczy Sandry gorączkowo rozbłysły.

— Mnie też... Staś wyciągnął... i sam ugrzązł... Głupia sprawa... Kto by się mógł spodziewać...

— Możesz podać współrzędne?

— Tak, oczywiście... Po to płynęłam...

— Niedobrze — mruknął Dimow. — Musimy kończyć!

— Nic mi nie będzie. — Sandra starała się uchwycić niknącą myśl. — Obiecaliśmy wam pokazać... Tak pięknie... Musiało mnie chyba znieść z trasy... Dwadzieścia mil na południowy zachód od wyspy... Grupa raf, dwie wystają nad powierzchnię...

Usnęła.

— Niels, wywołaj Wana. On powinien coś wiedzieć o tych skałach.

Ale najpierw w głośniku rozległ się głos Jerychońskiego.

— Co z Sandrą?

— Sandra śpi — powiedział Niels. — Czemu się denerwujesz? Dimow powiedział, że wszystko jest w porządku, a ty się ciągle denerwujesz...

— Bo jestem człowiekiem, a nie pancernym żółwiem!

— Dobrze już, dobrze — odparł Niels. — Daj mi Wana.

Kopuła drgnęła, ziemia na moment zapadła się pod nogami, a diagnosta odtoczył się od stołu, napinając przewody i czujniki. Dimow rzucił się do stołu, popychając przed sobą diagnostę i osłaniając Sandrę ciałem, jakby bał się, że zaraz z góry posypią się kamienie. Sejsmolog Gogia powiedział do Nielsa:

— Pójdę do Woszczynina.

— Co tam się u was dzieje? — zapytał Jerychoński.

— Nic. To tylko trzęsienie ziemi — odparł Niels. — Gdzie jest Wan?

Pawłysz usłyszał, jak Jerychoński, oddając mikrofon Wanowi, powiedział:

— Ta maszyna jest zupełnie pozbawiona wyobraźni! Nie wie, co może czuć bezradny człowiek...

— Wan, znasz dwie skały o dwadzieścia mil na południowy zachód od Schroniska?

— Jakoś nie bardzo sobie przypominam. Jesteśmy mniej więcej w tym kwadracie, ale nic takiego tu nie widzę. Zresztą gdyby to było coś większego, już dawno zaznaczylibyśmy to na mapie.

— Ale wiesz w przybliżeniu o jakim punkcie mowa?

— W przybliżeniu? Kilka mil od nas. Uniosę kuter w powietrze i polecę po spirali. Ale z takiego pułapu... Może któryś z ptaków będzie wiedział?

— Słusznie — powiedział Dimow, który wraz z Pflugem wyzwalał Sandrę z oplątujących ją

przewodów. — Wywołaj ptaki.

— Nie trzeba ich wywoływać — powiedział Niels. — Są tutaj.

— Są tutaj — potwierdził Pawłysz. — Jeden bioformant przyleciał tu za mną. Ten, który odnalazł Sandrę i wyrzucił potem nadajnik.

— Jeśli można prosić, niech pan wyjdzie i zapyta je o te skały...

Pawłysz założył maskę.

Wszystkie trzy ptaki siedziały na wielkim płaskim głazie opodal kopuły i cicho rozmawiały ze sobą, pochylając, z gracją zgrabne główki. Nad nimi wznosiła się czarna góra spowita dymem i obramowana krwawym blaskiem. Pawłysz pomyślał przelotnie, że ten baśniowy widok coś mu przypomina. Pewnie którąś ze skandynawskich sag — trzy ogromne białe ptaki, wulkan i nagi, mroźny brzeg.

Ptaki zauważyły Pawłysza i ruszyły mu naprzeciw.

— No i co? — zapytał jeden z nich.

— Sandra odzyskała przytomność — odparł Pawłysz. — Powiedziała Dimowowi, że zasypało ich w podwodnej grocie o dwadzieścia mil na południowy zachód od Schroniska. Tam powinny być skały, z których dwie wznoszą się ponad wodą. Wan jednak takich skał nie zna.

— Tam nie ma skał — powiedział drugi ptak. — Przynajmniej ich sobie nie przypominam. Saint Venante, może ty widziałeś tam jakieś skały?

— Nie, Allanie — odparł drugi ptak. — Nigdy nie widziałem.

Allan zwrócił się do trzeciego ptaka, na którego szyi wisiał pasek od zgubionego nadajnika.

— A ty?

Trzeci ptak powiedział:

— Chyba wiem, o co chodzi. Kiedy przeczesywałam ten rejon, spostrzegłam dwie rafy. Ich szczyty pokazywały się między falami. Myśle, że te skały wypiętrzyły się tam zupełnie niedawno.

— Dziękuję ci, Marino — powiedział Allan. — Zawsze mówiłem, że masz najlepszy wzrok.

— Oj! — pisnął trzeci ptak, jakby chciał powstrzymać Allana.

— Marina? — zapytał Pawłysz.

— Niech pan biegnie do Dimowa! — powiedział Allan.

— Marina... — powtórzył Pawłysz, ale ptak nagle rozpostarł skrzydła i wzbił się w powietrze.

— Marina Kim? — zapytał Pawłysz Allana.

— Tak, ale pan się chyba spieszy?

* * *

Pawłysz pilotował lotnię, na której pokładzie poza nim znajdował się jeszcze sejsmolog Gogia, Niels i Dimow. Pfluge z drugim sejsmologiem pozostali na wyspie Sejsmolog dyżurował przy nadajniku i obserwował wulkan. Pfluge zajmował się Sandrą.

Trzy białe ptaki szybowały przed lotnią na nieco wyższym pułapie. Powietrze było przesycone czerwonym popiołem wulkanicznym i przesączone przezeń światło kładło się na białych skrzydłach krwawym odbłaskiem pożogi.

Jeden z ptaków — Pawłysz nie potrafił powiedzieć który — był Mariną, Kopciuszkiem, który znowu zmienił postać, aby Pawłysz nie mógł go rozpoznać...

— Kto pójdzie z akwalungiem? — zapytał Niels, który zajmował środek kabiny, a pozostali siedzieli wokół niego niczym goście zgromadzeni dokoła imieninowego tortu. Niels leciał dlatego, że zdołał przekonać Dimowa, który wątpił, że bioformant poradzi sobie pod wodą. „Beze mnie — powiedział — pewnie się wam nie uda rozebrać zawału i dotrzeć do wnętrza grotty. Będziecie wysadzać skały materiałem wybuchowym? Wyciągać głazy gołymi rękami? A może zaczekacie aż

z planetoidy przerzucę wam robota podwodnego?”

— Mamy własnego i możemy go zmontować w ciągu paru godzin.

— Właśnie. Kilka godzin na montaż, parę godzin na transport kutrem... A wtedy może już być za późno! — Równy, płaski głos mechanicznej krtani kontrastował z pełnymi pasji słowami monologu Nielsa. — My tutaj jesteśmy jak w bajce. Pan jest niczym Iwan Carewicz albo Głupi Jasio. My zaś — jak przyjazne panu zwierzęta. Wie pan: idzie Głupi Jasio i spotyka na swej drodze zwierzęta, które za określone usługi obiecują mu swą pomoc. Ptak dostrzegł z nieba narzeczoną, a żółw ma po nią nurkować. Skoro już pan, a właściwie Instytut, podjął się roli Pana Boga i stwarza ludzi nie tyle na swój, ile chyba na diabelski obraz i podobieństwo, to proszę nie rezygnować ze skromnych usług swoich potworów.

— Masz rację, Niels — powiedział Dimow.

— A Marina od dawna jest na Stacji? — zapytał Pawłysz, kiedy zapadło milczenie.

— To nowicjuszka — odparł Dimow — zaledwie od miesiąca w powietrzu. Był tak pochłonięty myślami o podwodnikach, że najwidoczniej zapomniał o wczorajszej rozmowie i nie zapytał, skąd Pawłysz wie o tym, że Marina jest bioformantem.

Kuter kołysał się na falach, wystawiwszy na powierzchnię tylko kopułkę sterówki.

Pawłysz powziął decyzję natychmiast, zanim jeszcze ktoś zaczął się zastanawiać, w jaki sposób przedostanie się na pokład kutra. Włączył nadajnik i powiedział do Wana:

— Wynurz się.

— Ocean jest zbyt sfalowany.

— A twoja zabawka nie może zawisnąć w powietrzu?

— Nie.

— Wobec tego unieś się i leć nad wodą z minimalną prędkością.

— Po co?

— Siądę ci na pokład.

— To bardzo trudne.

— Znowu chcesz się ze mną kłócić?

— Dobrze, wychodzę.

Ptaki uniosły się tak wysoko, że wyglądały jak białe plamki na purpurowym stropie chmur. Potem poszybowały w bok i w dół.

— Pawłysz — powiedział Allan. — Dwie skały ledwie wystające nad wodę o półtora kilometra od ciebie. Lecimy w dół. Patrz.

— Dobra — odparł Pawłysz, ale patrzył w tamtą stronę nie on, tylko Dimow, bo sam obserwował, jak kuter burząc wodę wynurza się ponad fale. Potem zaczął stopniowo zmniejszać wysokość i zwalniać, żeby wyrównać prędkości lotni i kutra.

— Idź najrówniej, jak potrafisz — powiedział do Wana.

— Jak po nitce — odparł Wan.

— Trzymajcie się!

Lotnia opadła na pokład kutra tuż za sterówką. Pokład był mokry, wąski i obły, dlatego Pawłysz wypuścił stojaki awaryjne i ich pofałdowane przysawki ścisnęły boki stateczku.

— Przez jakiś czas się utrzymam — powiedział Pawłysz. — Niels, otwórz dolny właz.

Jerychoński wysunął się do pasa ze sterówki kutra i patrzył na lotnię.

Niels jako pierwszy zeskoczył na pokład i uważnie przestawiając kończyny ruszył w stronę sterówki. Macki zwiślały mu po bokach, w ten sposób się ubezpieczał. Kuter z dosiadającą go lotnią wolno leciał nad falami.

Pawłysz uniósł głowę wypatrując ptaków, ale ich nie dostrzegł. Pomyślał z nagłą irytacją, że znalazł się w idiotycznej sytuacji: nie mógł opuścić lotni, bo ją pilotował, pozostając zaś przy

sterach wyłączał się tym samym z dalszej akcji. Gogia stał przy włączaniu nie wiedząc, co ma dalej robić. Pawłysz zapytał Wana:

— Wszystko w porządku?

— Tak.

— Daj mi Dimowa.

— Słucham.

— Chciałbym pójść na dół z Nielsem. Jestem dobrym nurkiem, mam lepszą kondycję od innych i mogę się przydać.

— Nie — odparł Dimow — proszę pozostać na miejscu. Może się okazać, że będzie pan bardziej przydatny jako pilot lotni. Już wiemy, że bardzo dobrze daje sobie pan z nią radę...

— To fakt — powiedział Gogia.

Pawłysz poczuł do niego wdzięczność za te słowa. Można być najmądrzejszym i najskromniejszym pod słońcem człowiekiem, ale szczerą pochwałą zawsze jest miła.

— Nie wiemy kiedy i w jakim stanie odnajdziemy podwodników — ciągnął Dimow. — Każda sekunda może być droga, a wówczas trzeba będzie ich natychmiast odstawić na Stację. Dlatego ktoś musi dyżurować w lotni, aby w razie konieczności znów wylądować na pokładzie kutra. Proszę unieść się w powietrze i czekać przy odbiorniku.

— A ja? — zapytał sejsmolog.

— A Gogia?

— Gogia zostanie z panem. Już się dotarliście. No, na razie. Zanurzamy się. Proszę startować.

Pawłysz uruchomił silnik, oderwał wsporniki od pokładu kutra i lotnia wystrzeliła w górę. Kuter opadł z pluskiem do wody i poszedł w dół jak kamień rzucony ukośnie z brzegu.

Pawłysz popatrzył w jego kierunku i dojrzał trzy ptaki krążące nad oceanem, a kiedy uniósł się jeszcze o sto metrów w górę, spostrzegł białą kipieli, w której środku czerniały wierzchołki raf. Ruszył w tamtą stronę starając się nie tracić kutra z oczu i zawisł w punkcie, gdzie podłużny kadłub kutra rozpląnął się w zielonkawej wodzie wolno i ostrożnie, żeby nie rozbić się o skały, opadając na głębiny.

Wywołał Allana.

— Podziękuj od nas Marinie za to — powiedział — że tak precyzyjnie doprowadziła nas na miejsce wypadku.

Chciał po prostu jeszcze raz wypowiedzieć na głos jej imię.

— Dobrze — odparł Allan.

Sejsmolog Gogia usiadł obok i patrzył na ptaki unoszące się w powietrzu.

— Niels miał rację — powiedział. — Rzeczywiście jesteśmy jak z bajki. Najpierw niedźwiedź, potem ptak, a potem jeszcze ktoś inny.

— Diabelskie nasienia — uzupełnił Pawłysz.

— A co, może nie? Przecież wiem, Pfluge mi opowiedział, jakieś doktorze uciekał przed Nielsem. Nie, wcale się nie śmieję, ale proszę sobie wyobrazić naszych przodków...

— Jasne, gadające ptaki i tak dalej... Chociaż nie, starożytni wcale by się nie zdziwili. Żyli bliżej natury i zawsze gotowi byli uwierzyć w realność baśni. Dla nich gadający ptak czy ryba nie byłby niczym nadzwyczajnym, bo wychowani byli na baśniach, w których wszystkie zwierzęta przemawiały ludzkim głosem. Trudniej byłoby ludziom bliższym nam w czasie. Wyobraź sobie, Gogia, że powiedziałbyś jakiemuś dwudziestowiecznemu uczonemu lub kosmonaucie, iż za jakieś sto lat jego koledzy po fachu zaczną przybierać postacie nie zawsze przyjemne dla oka i w takim kształcie przez czas dłuższy funkcjonować. Mogliby poczuć się dotknięci w swych najgłębszych uczuciach, bo przecież dzisiejsze osiągnięcia nawet i my traktujemy czasem jako absolutny szczyt ludzkich możliwości...

— Austriackie gadanie! — parsknął Gogia, który był zbyt młody na to, aby bez oporów przyjąć czyjś punkt widzenia.

— Jest kontakt — powiedział Dimow — Podwodnicy są tutaj, pod lawiną.

— Co było do dowiedzenia — powiedział Gogia — Ani przez chwilę w to nie wątpię.

I otworzył swoją walizeczkę z sejsmologami, ponieważ ten obszar był dla niego niezwykle interesujący z zawodowego punktu widzenia. Tutaj przebiegała granica między dwoma ścisłymi płytami.

— Słuchaj, Pawłysz — powiedział Dimow. — Jesteśmy na głębokości czterdziestu dwóch metrów. Wan zostaje na kutrze. Ja z Nielsem schodzę na zawał. Jerychoński będzie nas ubezpieczał. Na wszelki wypadek włącz zapis, rejestruj wszystkie nasze ruchy. Jeśli coś się stanie, będziesz wiedział, co i gdzie Przygotuj się do tego, że może będziesz musiał ruszyć za nami z robotem do prac podwodnych. Już wydałem dyspozycję i na Stacji zaczęli go montować.

— Jasne — powiedział Pawłysz uruchamiając rejestr tor.

— Wychodzimy.

— Daleko mają do zawału? — zapytał Pawłysz Wana.

— Nie, doskonale ich widzę.

— Powiedz Wanowi, żeby nie leżał na dnie — powiedział Gogia. — W każdej chwili może nastąpić nowy wstrząs i wtedy skały przygniotą kuter.

— Słyszałeś? — zapytał Pawłysz.

— Słyszałem, ale mamy niewiele paliwa Nie spodziewaliśmy się, że będziemy musieli tak długo pływać. Zresztą lawina nas nie dosięgnie.

— Wan — wtrącił się Dimow. Jego głos brzmiał znacznie słabiej. — Słyszałeś? W najgorszym razie będziesz dryfował na powierzchni, a paliwo ci jakoś dostarczymy. Przecież ryzykujesz nie tylko własnym życiem...

— Odrywam się od dna — powiedział Wan. — Jerychoński, odjedź na bok, bo cię zaczepię.

Pawłysz wyobraził sobie tę scenę. Kuter wisi nad samym dnem, nad głazami, odłamkami koralu i kłębami splecionych wodorostów. O kilka metrów od niego unosi się Jerychoński. Promień z reflektora na jego kasku sięga Dimowa w obcisłym pomarańczowym skafandrze z garbem butli tlenowych na plecach i sunącego miarowo naprzód żółwia.

— Niels wziął latarkę? — zapytał Pawłysz.

Wan odpowiedział nie od razu, bo zajęty był akurat nadawaniem kutrowi pływalności zerowej.

— Nie, nie wziął — powiedział wreszcie. — Przy rozdzielności jego oczu latarka jest zupełnie niepotrzebna. Przecież konstruowano go między innymi po to, żeby mógł widzieć w ciemności.

— A gdzie są podwodnicy?

— No głębokości jakichś dwudziestu metrów pod zawałem.

— Dwudziestu?...

— Tak. Tam jest cały system jaskiń. Widocznie zeszli w dół, bo tam jest bezpieczniej W każdym razie przyrządy wykazują obecność znaczników izotopowych na takiej właśnie głębokości.

— Dotarliśmy do zawału — powiedział Dimow — Niels szuka wejścia. Gdzieś przecież musi być szczelina, którą Sandra wydostała się na zewnątrz.

Nastąpiła długa pauza.

— Sława — przerwał ją Gogia — zapytaj Schronisko, jak tam u nich wygląda sytuacja sejsmiczna.

Pawłysz połączył się z kopułą, gdzie wszystko było po staremu. Sandra spała Sejsmolog Woszczanin powiedział, że sytuacja w kraterze ustabilizowała się. Wypływa gęsta lawa i jeśli prędkość wypływu się nie zmieni, to niebawem powierzchnia wyspy wzrośnie w trójnasób. A za

jakieś Sto lat będzie na niej można posadzić gaje pomarańczowe,

— Bardzo się cieszę — powiedział Pawłysz i przełączył się na Wana: — Powiedz Jerychońskiemu, że Sandra śpi, a w Schronisku jest spokój.

— Dziękuję.

— Szukamy wejścia pod zawał — powiedział Dimow. — Na razie bez skutku.

Gogia oderwał się od swoich przyrządów i przesiadł się do Pawłysza.

— Nie zazdroszczę Jerychońskiemu — powiedział. — Ożenić się z kobietą, która większość życia spędza pod wodą. Kochać w gruncie rzeczy półtrybę...

— Ale przecież Sandra może powrócić do poprzedniej postaci...

— Może, ale nie zechce. Sandrze jej obecny stan bardzo się podoba. Jest po prostu zwariowana na punkcie oceanu. Kiedyś z pewnością pozna pan ich historię. Jest niesłychanie romantyczna. Poznali się, kiedy Sandra już pracowała pod wodą. Przyleciała kiedyś do nas do Tbilisi na konferencję, no i... spotkała Jerychońskiego. On, kiedy wszystkiego się dowiedział, usiłował namówić ją do rezygnacji z pracy podwodnika. Bez powodzenia. W rezultacie zaciągnął się na Projekt, żeby być przy niej. Tutaj też przyleciał, żeby być przy niej. Wcale nie mówię, że on jest złym chirurgiem. Wcale nie, to bardzo dobry chirurg, ale żeby tak cierpieć! I to się nazywa współczesny mężczyzna...

Gogia westchnął.

— A pan nie potrafiłby pokochać podwodnicy?

— Skąd mogę wiedzieć, skoro mam w Gruzji młodą żonę? Najzwyczajniejszą w świecie żonę.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

— Nie wiem — wyznał Gogia. — Sandra jest piękną i w dodatku mądrą kobietą.

— No, a... — Pawłysz wskazał ręką krążące opodal ptaki.

— To zupełnie co innego — odparł Gogia. — Córka Allana też pracuje w Instytucie. To jest jak tymczasowe zajęcie albo maska. Nikt z nich nie zamierza pozostać na zawsze żółwiem lub ptakiem. Dla bioformanta jego zmieniona postać to nic innego jak na przykład skafander kosmiczny, który można zdjąć po powrocie z wyprawy i znowu normalnie żyć.

— Aha — powiedział Dimow — jest szpara. Pawłysz trzymał radiostację na nasłuchu, wyłączywszy nadawanie, żeby jego rozmowa z Gogią nie przeszkadzała pozostałym.

— Co ja tam zresztą będę panu mówił — powiedział Gogia. — Był pan w pokoju Wana?

— Zakwaterowano mnie tam.

— Słusznie, to bardzo duży i ładny pokój. A więc w pokoju Wana wisi na ścianie portret Mariny Kim. Zauważył pan?

Gogia nie patrzył na Pawłysza i nie zauważył, że doktor się zarumienił. To okropne, kiedy człowiek tak łatwo się rumieni. Nawet medycyna nie może nic na to poradzić.

— Odwaliliśmy z Nielsem kamień — powiedział Dimow — Pod nim jest bardzo wąski korytarz, przez który nie zdołamy się przedostać. Na jego końcu, dwa metry niżej, znajduje się kolejny zawał z ruchomych kamieni...

Pawłysz przypomniał sobie czytaną kiedyś starą książkę o tym, jak saperzy unieszkodliwiali bombę czy jakiś inny pocisk. Pocisk był bardzo skomplikowanej konstrukcji i saperzy w każdej chwili mogli zginąć. Dlatego też opisywali przez radio każdy swój ruch, sekunda po sekundzie, aby ci, którym przyjdzie rozminowywać podobny ładunek, wiedzieli, w którym momencie został popełniony błąd.

— Doszliśmy do drugiego zawału — powiedział Dimow.

— No i? — zapytał Pawłysz Gogię. — Mówił pan, że w pokoju Wana wisi portret Mariny Kim...

— Tak. On jest w niej po wariacku zakochany. Poznał ją jeszcze na Ziemi, kiedy Marina

odbywała staż w naszym Instytucie. Ona też dobrze się do niego odnosiła ale w miarę. Mnie wtedy w Instytucie nie było, dopiero tutaj się do nich przyłączyłem, ale i tak wszystkiego się dowiedziałem, bo to żadna tajemnica. A potem Marina zaczęła mieć kłopoty. Nie bardzo zgadza się z ojcem.

— Dobra! — powiedział Dimow. — Kamień ruszył. Ostrożnie!

Pawłysz zamarł i zaczął w duchu liczyć sekundy.

Dimow westchnął z ulgą i powiedział:

— Ależ ty masz krzepę, Niels... On tu odwalił taki głaz, że to się po prostu w głowie nie mieści... Ale dalej jest następny...

— Mów dalej — powiedział Pawłysz.

Ale Gogia nie mógł mówić dalej, bo w głośniku odezwała się druga lotnia. Pilot pytał, czy ma wracać na bazę, czy też lecieć do nich.

Pawłysz nie pytając nikogo o zdanie, odesłał go z powrotem na Stację i kazał czekać, aż zmontują robota do robót podwodnych, bo może trzeba go będzie dostarczyć na miejsce wypadku.

— Słusznie — powiedział Wan, który słyszał tę rozmowę, ale się do niej nie wtrącał. Pawłysz znów wyłączył nadajnik. Gogia zauważył to i podjął opowiadanie.

— Nie znam szczegółów, wiem tylko, że jej ojciec jest okropnym pedantem, kapitanem statku. No więc ojciec zabronił Marinie pracować w naszym Instytucie. Powiedział, że się jej wyrzeknie i tak dalej... Jednym słowem bał się o nią i chciał ją w ten sposób powstrzymać, ale Marinę nie tak łatwo powstrzymać. Ona jest taka maleńka i spokojna, że nie ma na nią żadnej rady. No więc, kiedy nie usłuchała ojca, to on, jako człowiek z zasadami, powiedział, że nie chce jej więcej widzieć na oczy. Powiedział i koniec. Gdyby Dimow o tym wiedział, jakoś by to przed Mariną ukrył albo sam porozmawiał z Helem Kimem, ale nie wiedział i stało się. Marina postanowiła zobaczyć się z ojcem, jakoś go przekonać, wytłumaczyć, a Wan, który już wtedy gotów był za nią skoczyć w ogień, dowiedział się...

— Wchodzimy do szczeliny — powiedział Dimow. — Właściwie ja zostaję na razie na zewnątrz, a Niels próbuje dotrzeć do nich i zbadać sytuację...

— Co dalej? — zapytał Pawłysz.

— Pewnie to pana nie interesuje.

— I tak nie mamy nic innego do roboty.

— Wan pomógł Marinie wymknąć się na dzień z Instytutu.

— Na Księżyc? — zapytał Pawłysz.

— Skąd pan wie?

— To było pół roku temu?

— Tak, akurat pół roku. Marina była już przygotowana do bioformacji, a właściwie nawet już ją zaczęła. To znaczy, że fizjologicznie była jeszcze człowiekiem, ale przyjmowała już środki farmakologiczne ułatwiające przyszłą przemianę. Krótko mówiąc nie powinna uciekać, nie miała prawa opuszczać Instytutu, ale przyleciała na Księżyc, a jej ojciec albo o tym nie wiedział, albo nie chciał się z nią zobaczyć i wystartował swoim statkiem.

— On jest kapitanem „Cerery”?

— Nie wiem, ale czy to ważne? Zna go pan?

— Nie. Kapitan wiedział, że Marina się do niego wybiera?

— Nie wiem. Proszę zapytać Wana albo Marinę. Dobrze jeszcze, że ją na czas odstawili z powrotem...

— Niels? To ty, Niels? — rozległ się głos Wana. — Źle cię słyszę.

— Niels mówi, że ich znalazł — powiedział Dimow. — Znalazł ich.

— W jakim są stanie?

— Idę do niego — odparł Dimow. — Czekajcie.
— I czym się to wszystko skończyło? — zapytał Pawłysz Gogię.
— Co? Chodzi panu o Marinę? Niczym. Wybaczone jej. Wan całą winę wziął na siebie. Marina całą winę na siebie i wszyscy byli do obrzydliwości szlachetni. Marina pracuje, a ojciec, jak to ojciec, w końcu też jej wybaczy. Romantyczna historia.
— Na jakiej oni są głębokości? — zapytał Pawłysz Wana.
— Według znaczników izotopowych około dwudziestu metrów poniżej mnie, ale sygnały radiowe źle przechodzą. Musimy czekać.
— Najbardziej się teraz lękam — powiedział Gogia — kolejnego wstrząsu i obsunięcia skał. Wyobraźcie sobie...
— Nie kracz! — warknął Wan, który usłyszał jego słowa.
— Przecież ja nic nie mówię!...
— Nie martw się — powiedział Pawłysz. — W razie czego pójdziemy obaj i wyciągniemy wszystkich. Zresztą nic się nie stanie,
I nagle dobiegi ich wyraźny, mechaniczny głos Nielsa.
— Nie martw się, Gogia — zawtórował Niels Pawłyszowi. — Nie będziecie musieli iść. Ja przecież zostałem przystosowany do pracy nie w takich idealnych, cieplarnianych warunkach, lecz na prawdziwie trudnych planetach. Nie martw się więc i czekaj.
Ostatnie słowa utonęły w trzaskach zakłóceń. Całkiem niedaleko, zaledwie o parę kilometrów, płyty dna morskiego znowu zaczęły się wypiętrzać...

* * *

Pawłysz nie musiał przenosić podwodników na lotnię lub pędzić na Stację po chirurgów. Obyło się bez nadzwyczajnych akcji. Staś Fere prawie nie ucierpiał, jeśli nie liczyć paru stłuczeń i powierzchownych ran, które u płaszczyk błyskawicznie się goją. Drugi podwodnik był ranny o wiele poważniej, ale Dimow i Jerychoński napełnili wodą ładownię kutra i zoperowali go w skafandrach. Wan wynurzył kuter na powierzchnię i z ekonomiczną prędkością płynął na Stację. W momencie zakończenia operacji stateczek znajdował się już w podwodnej przystani na bazie.

Pawłysz tymczasem wrócił na wyspę, żeby ewakuować stamtąd Sandrę, Pflugego, sejsmologa i co cenniejszą aparaturę. Strumień lawy zmienił kierunek i zagrażał kopule.

Pfluge z Gogią przenieśli Sandrę na pokład lotni i zostali przy niej, a Pawłysz wrócił do schroniska, żeby zabrać aparaturę, wyłączyć zasilanie nadajnika i zaśrubować właz zewnętrzny. Teraz kopuła będzie stała pustką do chwili, kiedy ludzie znów będą mogli do niej wrócić. Sejsmolog wyskoczył z lotni, chwycił jedną ze skrzynek i pospieszył z powrotem. Został jeszcze jeden pojemnik, zbyt ciężki, aby go unieść w pojedynkę, Pawłysz więc usiadł na nim czekając na pomoc.

Wszystko dokoła się zmieniło. Jeszcze wczoraj zatoczka była cichym zakątkiem, w którym nic się właściwie nie działo. Fale nie zalewały brzegu, Krzywa Góra drzemała, lód poskrzypywał pod nogami jak na zapadłej stacji polarnej. Teraz nisko nad wyspą wisiały chmury popiołu i co chwila spadał silny, brudny deszcz. Wulkanik na stoku szalał, pluł błotem niczym prawdziwy wulkan, a pióropusze pary tryskały i niezliczonych szczelin góry. Przez nie prześwitywały płomienie wydobywające się z głównego krateru.

Jeden z ptaków wrócił za lotnią nad wyspę i teraz krążył nad głową Pawłysza.

Pawłysz pomachał mu ręką. Nie miał przy sobie nadajnika i nie mógł zapytać, który z bioformantów został z nim, ale miał nadzieję, że jest to Marina.

Gejzer nagle wystrzelił wysoko w powietrze ostrym strumieniem rzadkiego błota, więc ptak na

wszelki wypadek złożył skrzydła i poszybował w bok.

Sejsmolog powiedział:

— Weźmy tę skrzynię.

Pawłysz wstał, chwycił pojemnik za ucho i poniósł go z sejsmologiem w stronę Lotni. Ziemia drżała pod nogami.

— Mam takie wrażenie — powiedział Gogia — że wyspa lada chwila może wylecieć w powietrze.

— Nie bój się — odparł Pawłysz. — Zdążymy.

— Allan na wszelki wypadek nas obserwuje — powiedział sejsmolog. — Też się tego obawia.

— To jest Allan? Jak ty ich rozróżniasz?

— Po prostu myślę, że to Allan, bo to prawdziwy mężczyzna.

No jasne, że to nie może być Marina, pomyślał Pawłysz. Ona nie chce się ze mną spotkać. Kopciuszek też pewnie nie chciałby ukazać się księciu w codziennej sukieneczynie. Dwa lata, napisała — wtedy...

— Jak długo bioformanci muszą pozostawać w nieludzkiej postaci? — zapytał Gogię, który stał we władze lotni i ciągnął pojemnik do góry. Pawłysz stał na ziemi i podnosił skrzynkę ze swej strony.

— To zależy od typu bioformanta i od tego, gdzie ma pracować. Niels na przykład obliczony jest co najwyżej na rok. Za dwa tygodnie odlatuje na inną planetę, gdzie jest naprawdę trudno. Dla niego praca tutaj to po prostu wstępna aklimatyzacja i ostatnia próba. A ptaki pewnie jeszcze tu zostaną. Na rok albo...

Hełmofon tłumił panujący dokoła łoskot, ale w tym momencie we wnętrzu góry zrodził się tak złowieszczy, głęboki grzmot, że przebił się przez nauszники i zagłuszył ostatnie słowa sejsmologa. Pawłysz drgnął.

Człowiek w obliczu nagłej katastrofy zaczyna działać instynktownie, niemal bez udziału świadomości. Dopiero później, kiedy wszystko minie i na własne wrażenia nakładają się wrażenia innych ludzi, potrafi zrekonstruować w umyśle jej przebieg, a mówiąc ściślej skonstruować jeden z subiektywnych wariantów kataklizmu. Jeśli więc Pawłyszowi wydało się, że w zbocze góry uderzył niewidzialny topór i że pod tym ciosem zaczęła się ona rozpadać jak spróchniały pień, to sejsmolog, obserwujący to z otwartego wjazdu lotni, skojarzył sobie eksplozję z kurtyną teatralną, rozsuwającą się na boki wraz z ostatnim akordem uvertury, kiedy ze sceny przez rozszerzającą się szczelinę tryska jaskrawe światło reflektorów udających rozpalone słońce w letnie południe na wsi... Pfluge i Woszczanin nie zobaczyli tego momentu, bo kiedy do kabiny lotni dotarł łoskot wybuchu i ziemia podrzuciła aparat do góry, obaj rzucili się ku Sandrze, aby nie pokaleczyła się o porozstawiane wszędzie skrzynie i pojemniki.

Pawłysz, zafascynowany przerażającym widokiem, stał bez ruchu pewnie nie dłużej niż sekundę. Nie wiedzieć czemu nawet nie upadł, nie stracił równowagi i jego mózg zdążył odnotować, że góra rozpada się wolno, jak we śnie. W tym momencie fala powietrzna i nowa eksplozja ogłuszającego łoskotu uniosła go w górę i rzuciła na lotnię.

Sejsmolog wisiał we władze i coś krzyczał, ale Pawłysz go nie słyszał, bo patrzył na rozpadające się skały i widział, jak wicher porwał ptaka, białe piórko, podrzucił go, zakręcił i zaczął spychać do wody.

— Szybciej! — krzyczał sejsmolog. — Na pokład!

Wewnątrz góry widać było żółtą masę, miękką i ciągliwą, która puchła i wylewała się przez zręby skalne jak ciasto z dzieży.

Pawłysz nie mógł oderwać wzroku od kłębuszka białych piór spadających do wody.

— Dokąd?! — darł się sejsmolog. — Zwariowałeś?

Pawłysz biegł do wody. Ptak unoszony strumieniem powietrza opadał niczym liść zerwany z drzewa, wirując i hamując upadek, spadając gwałtownie o parę metrów i znów przez moment szybując jak nasionko klonu.

Ptak powinien upaść o jakieś sto metrów od brzegu, ale na szczęście gwałtowny podmuch szkwału odrzucił go w stronę lądu i Pawłysz bez zastanowienia wszedł do wody i pobiegł ku spadającemu ptakowi. Biegł tak grzęznąc w błocie, ślizgając się, potykając i starając się za wszelką cenę utrzymać równowagę, podczas gdy ziemia trzęsła się, usuwała się spod nóg w przerażających drgawkach.

Z początku dno opadało łagodnie i brudna woda sięgnęła kolan dopiero po dwudziestu krokach. Ptak spadł do wody. Jedno skrzydło miał złożone, a drugie niczym białe prześcieradło leżało na falach, tak, że bioformant sprawiał wrażenie miękkiego, nieożywionego przedmiotu... Dno obniżyło się gwałtownie i Pawłysz zapadł się po pas w wodę. Teraz każdy następny krok przychodził mu z wielkim trudem, bo woda w zatoczce burzyła się i wirowała, chociaż gęsty kożuch popiołu na powierzchni wygładzał fale niczym szumowiny w garnku kipiącej zupy.

Ptaka wolno spychało na środek zatoki, więc Pawłysz spieszył się wiedząc, że w swoim kombinezonie nie będzie mógł płynąć i błagając wszelkie moce niebieskie i piekielne, żeby dno już więcej nie opadało, żeby starczyło sił i czasu na dotarcie do białego prześcieradła.

Dosięgnął końca skrzydła i w tym momencie stracił grunt... Nie wypuszczając skrzydła i lękając się zarazem, że pióra mogą nie wytrzymać szarpnięcia, Pawłysz podpłynął skokami w stronę ptaka, z coraz większym trudem odbijając się od dna. Nie wiadomo, jak by się ta akrobatyka skończyła, gdyby Pawłysz nie poczuł nagle, że ktoś ciągnie go do tyłu. Przez parę sekund utrzymywał nietrwałą równowagę, wciąż ciągnąc za skrzydło, aż wreszcie bezwładność została przewyciężona i ptak lekko popłynął w jego stronę.

Nie wypuszczając skrzydła z ręki, Pawłysz się odwrócił. Gogia stał po pas w wodzie wczepiony z tyłu w jego kurtkę. Oczy miał nieprzytomne z przerażenia. Kilka razy bezdźwięcznie otwierał i zamykał usta, nim wreszcie zdołał wykrztusić...

— Ja... przecież mógł pan nie zdążyć...

Porwali lekkie, wymykające się z rąk ciało ptaka i pociągnęli do brzegu. Głowa ptaka bezwładnie opadło i Pawłysz wolną ręką podtrzymywał ją, żeby bioformant nie opił się wody. Oczy ptaka były przesłonięte półprzezroczystą błoną, a jego pierś unosiła się w szybkim, płytkim oddechu.

— Ogłuszyło go — powiedział Pawłysz.

Gogia nie patrzył na niego, tylko przed siebie, na brzeg. Pawłysz też popatrzył w tamtą stronę. Jęzor lawy wypływającej ze szczeliny w zboczu docierał już do brzegu. Jej odblaski nadawały ludziom i ptakowi krwawe zabarwienie.

— W lewo! — krzyknął Pawłysz.

Lotnia znajdowała się po przeciwległej stronie strumienia lawy i wyglądała jak bańka mydlana w promieniach zachodzącego słońca.

Musieli znów cofnąć się niemal po pas w wodę, żeby wyminąć ścianę pary wznoszącej się tam, gdzie język lawy spływał z brzegu. Para jednak dosięgła ich i wówczas Pawłysz, nie myśląc już o tym, że może uszkodzić ptakowi skrzydła, objął rękami jego lekkie ciało i unióś nad wodą. Gogia brnął obok niego, podtrzymując bezwładne skrzydło...

Pfluge stał we włazie lotni, wypełniając cały jego prześwit. Usiłował dojrzeć ich w rozszalałym żywiole i kiedy wreszcie zobaczył, zeskoczył na ziemię i pobiegł naprzeciw; nie dlatego, że to było potrzebne, tylko po prostu nie mógł ustać w miejscu z radości, że jednak nie zginęli.

Pawłysz potem z najwyższym trudem przypomniał sobie, jak wpychali ptaka do lotni, jak walczyli z bezwładnym skrzydłem, które w żaden sposób nie dawało się złożyć i utykało we

włazie... Ostatecznie włazu nie zamknęli i Pawłysz uniósł aparat nad wyspą i rzucił go w stronę morza, a kamienie z nowej erupcji bębniły po kadłubie lotni, zaś popiół i para całkowicie zasłaniały widoczność.

Pawłysz czuł, że lotnia go nie słucha, że traci prędkość i wysokość, i myślał tylko o tym, jak wyprowadzić ją ze strefy działania wulkanu...

Aparat opadł nad samą wodę, a Pawłysz z najwyższym trudem utrzymał go w powietrzu i ruszył lotem koszącym w kierunku otwartego oceanu. Lotnia wlokła się okropnie — widocznie któryś z kamieni jednak uszkodził silnik — ale leciała.

Pawłysz obejrzał się. Wyspa, wulkan, zatoka, wszystko spowite było dymem i parą. Kłęb czarnego dymu o średnicy dwóch kilometrów przechodził w ciemne chmury rozświetlane zygzakami błyskawic i zarzewiem rozpalonej lawy.

— Udało się... — powiedział Pawłysz. — Teraz już jakoś dociągniemy do domu.

Woszczynin wreszcie zamknął właz. Pfluge badał ptaka.

Pawłysz włączył nadajnik.

— Wyrwaliśmy się — powiedział.

— Jak tak można! — oburzał się ktoś znajomym głosem. — Jak tak można! Wywołujemy was od pół godziny, a wy się nie odzywacie. Cóż to za lekkomyślność!

— Mieliśmy co innego do roboty — powiedział Pawłysz. — Trzeba było zostać nieco dłużej na wyspie. Dimow wrócił?

— Zbliżają się — odparł znajomy głos. — Ale odpowiedzcie mi, dlaczego łamiecie zasady łączności radiowej? Co to za smarkateria? Kto pilotuje lotnię? To ty, Gogia? Zabronię ci latać i nawet sam Dimow nic ci nie pomoże. Wystarczy na trzy dni opuścić Stację, żeby wszyscy się rozpuścili!

— To pan, Spiro? — zapytał Pawłysz. Gogia głupio chichotał. Odreagowywał przeżyty strach i zdenerwowanie.

— Ja. A kto przy sterach?

— Pawłysz.

— Pawłysz? Aho. Pawłysz. Słuchaj, Pawłysz, nie uczyli cię we Flocie, że trzeba podtrzymywać łączność z bazą?

— Chwileczkę, Spiro — powiedział Pawłysz. — Lecę z małą prędkością, bo mam niesprawny silnik, więc nie denerwujcie się, że będziemy na miejscu najwcześniej za pół godziny. W razie czego wywołam cię.

— Stój, nie wyłączaj się! — wrzasnął Spiro. — Wystać ci na pomoc drugą lotnię?

— Nie. Powiedziałem, że damy sobie radę. Nie denerwujcie się.

Pawłysz wyłączył radiostację i odwrócił się.

— Co tam z Allanem? — zapytał Pflugego.

— Z kim?

— Z bioformantem.

— To nie Allan — odparł Pfluge. — To Marina.

— Co?

— Nic strasznego. Kontuzja od fali uderzeniowej. Chyba nie ma nawet jednego złamania. Zaraz się ocknie.

— No, teraz mamy prawdziwy babski lazaret — śmiał się Gogia, bo teraz wszystko wydawało mu się okropnie śmieszne. — Latający lazaret.

— Jest pan pewien, że to nic poważnego? — zapytał Pawłysz. — Bo możemy wezwać ze Stacji drugą lotnię.

— Po co? — zapytał rozsądny Pfluge — Zamierza ją pan przenieść na jej pokład w locie?

Pawłysz zerknął na przyrządy. Nie, lepiej wlec się dalej.

— No właśnie — mruknął Pfluge — Przecież mówiłem, że wszystko w porządku.

— Boli — powiedziała Marina. Znow ten mechaniczny, obcy głos.

— Co cię boli? — zapytał Pfluge.

— Skrzydło.

— Niedługo przestanie, to tylko stłuczenia — powiedział Pfluge.

— Sama jestem sobie winna — powiedziała Marina. — Nie powinnam za wami lecieć.

Pamiętam, że wulkan wybuchnął, a potem poczułam, że niesie mnie prąd powietrza. Wydało mi się nawet, że do krateru. Jak mnie wyciągnęliście?

— Pawłysz cię wyciągnął. Gdyby nie jego szybka orientacja moglibyśmy nie zdążyć.

— Kismet — powiedziała Marina. Nikt nie zrozumiał, co miała na myśli, tylko Pawłyszowi wydało się, że wie o co chodzi.

Wprost na kursie ukazał się czarny punkcik. Z przeciwka nadlatywała druga lotnia. Spiro jednak nie usłuchał Pawłysza i wysłał drugi aparat. Po co? Na wszelki wypadek. Zresztą Pawłysz na miejscu Spirona postąpiłby dokładnie tak samo. Za lotnią szybował Allan. Szukał Mariny.

* * *

Szczytem na Stacji nazywano wielką salę wykutą na wierzchołku góry i przystosowaną do potrzeb bioformantów-ptaków. Szerokie drzwi, które ptak mógł samodzielnie otworzyć, wychodziły na ocean. W sali było stanowisko diagnostyczne do badania ptaków, zapasy pokarmu dla nich oraz dyktafony i aparatura, której używali bioformanci. Ptaki czasami w tej sali odpoczywały, ale na co dzień wołały mieszkać na chmurach, gdzie mogły się wygodnie usadowić na mięciutkich kłębach nibypajęczyny.

Marina powiedziała do Pawłysza:

— Teraz rozumiesz, dlaczego Wan tak się z początku na ciebie wściekał?

— Rozumiem. Wcale nie chodziło mu o pajęczynę. Po prostu wyobraził sobie, że w tym obłoku mogłaś być ty.

Pawłysz i Marina siedzieli na Szcycie. Pawłysz na zwyczajnym krześle, a Marina w gnieździe z gęstej siatki, które Wan sporządził dla bioformantów.

— To wspaniały chłopak — powiedziała Marina Pawłysz za nic nie mógł się przyzwycząić do jej mechanicznego głosu. Doskonale rozumiał, że to tylko elektroniczna przystawka, bo ptaki nie mogą wydawać artykułowanych dźwięków, ale wciąż go to raziło i usiłował sobie przypomnieć prawdziwy głos Mariny, głos kopciuszka, którego spotkał na Księżycu.

— Wiem — powiedział. — Kochasz go?

— Nie.

Pawłysz chciał zapytać... ale nie zrobił tego. Biały ptak rozchylił skrzydła i znowu je złożył.

— Zaczynam mieć jakieś obce odruchy. Czasami zaczyna mi się wydawać, że zawsze byłam ptakiem. Nie potrafisz sobie wyobrazić, co to znaczy szybować nad oceanem, unosić się ponad chmurami.

— Ale pozostać ptakiem na zawsze.

— Może i zostanę.

— Nie wolno ci — powiedział Pawłysz — bo będę na ciebie czekał. Przecież pozwoliło mi cię odszukać po dwóch latach.

— Pamiętasz tę głupią pisaninę?

— Wcale nie była głupia!

— Kiedy ojciec odleciał, poczułam się okropnie samotna i zapragnęłam być komuś potrzebna.

— Nic się przez te pół roku nie zmieniło. To znaczy nie zmieniło się dla mnie.

— Ale ja nie istnieję.

— Za jakiś czas będziesz znowu istnieć.

— A jeśli będę inna? Przecież Sandra, jak wiesz... zmieniła się.

— Nieważne — powiedział Pawłysz. — Nawet gdybyś pozostała ptakiem. Ja wtedy będę żył jak Jerychoński. Zaciągnę się na Stację i będę się denerwował, że długo nie wracasz, że rozpełtała się burza, że wieje silny wiatr, że zaplątałaś się w pajęczynie...

— Oszalałeś? Przecież ja jestem ptakiem, a ty człowiekiem.

— Ile razy mam ci powtarzać, że jesteś człowiekiem! Marina zawsze będę na ciebie czekał...

Otworzyły się drzwi wewnętrzne i do sali wszedł Spiro. Widząc, że Pawłysz zajęty jest rozmową, podszedł do drugiego regału, na którym równymi rzędami leżały kłębki pajęczyny zebrane przez ptaki i przygotowane do wysyłki, i zaczął je przeliczać.

— Spiro, o co chodzi? — zapytał Pawłysz.

— Jesteś tutaj? A ja się zastanawiałem, gdzie się podziałeś! Za godzinę na planetoidę odlatuje ciężarówka. Poprowadzi ją Wan, ja zostanę. Może i ty jeszcze u nas pobędziesz?

— Nie — odparł Pawłysz. — Skończył mi się urlop. Ale postaram się jak najszybciej tutaj wrócić.

— Już lecisz? — zapytała Marina.

Spiro wyszedł na palcach i tak ostrożnie zamknął za sobą drzwi, jakby na sali spał ciężko chory człowiek.

Pawłysz nie odpowiedział Marinie, tylko podszedł do niej i pogładził po puszystym skrzydle.

— Ja chyba jednak jestem głupia — powiedziała Marina. — Wydawało mi się, że okropnie się rozczarujesz, jak mnie zobaczysz w takiej postaci i chciałam się gdzieś schować. I kiedy po raz pierwszy usłyszałeś moje imię od Allana i popatrzyłeś na mnie, wtedy chciałam zapaść się pod ziemię.

— Nie mówmy już o tym — powiedział Pawłysz. — Chciałaś, żebym zabrał list do twojego ojca.

— Tak. Już jest gotowy. Nagrałam go na kasecie. Szkoda tylko, że ojciec nie pozna mojego głosu i jeszcze raz niepotrzebnie się zdenerwuje.

— Nie martw się, wszystko mu wytłumaczę. Wiem, co mam mu powiedzieć.

— Co?

— Powiem mu, że oddaję list i zarazem proszę o twoją rękę.

— Zwariowałeś?!

— No dobrze, o twoje skrzydło.

— Sława!

— To podstęp wojenny. Ty zawsze możesz mi odmówić, ale kiedy to zrobię, ojciec uwierzy, że wrócisz do niego cała i zdrowa. Przecież mężny i przystojny kosmonauta z Floty Dalekiego Zasięgu, to znaczy ja, nie prosiłby go o rękę córki, gdyby nie miał pewności, że tę rękę, a nie skrzydło otrzyma.

— Do widzenia, Pawłysz — powiedziała Marina.

Biały ptak patrzył ponad ramieniem Pawłysza na drzwi.

Pawłysz odwrócił się. W drzwiach stał Wan. Musiał tam stać już od dawna i wszystko słyszeć, ale nie dał tego po sobie poznać. Powiedział:

— Ciężarówka jest gotowa. Odlatujemy.

Odwrócił się na piętach i podeszwy jego ciężkich butów wystukały równy, cichnący w dali rytm na stopniach kamiennych schodów.

— Wracaj szybko do zdrowia — powiedział Pawłysz. — Przecież Allan i Saint Venante nie

mogą wiecznie pracować za ciebie przy zbiorze pajęczyny.

* * *

Kiedy ciężarówka wylądowała na planetoidzie, Wan powiedział do Pawłysz:

— Idź, statek na ciebie czeka. Ja zostanę tutaj, bo muszę dopilnować wyładunku.

— Do widzenia, Wan. Pewnie się jeszcze zobaczymy.

— Pewnie tak. Galaktyka zrobiła się mała. Pawłysz podał mu rękę.

— Chwileczkę — powiedział Wan. — O mało nie zapomniałem.

Pochylił się i ze schowka pod pulpitem sterowniczym wyjął kwadratowe zawiniątko w plastikowej folii.

— To dla ciebie. Na pamiątkę.

— Co to jest?

— Nieważne, obejrzyj sobie na statku. Ale nie wcześniej. Coś, co powinno sprawić ci przyjemność...

* * *

W pół godziny po starcie „Moskwy” Pawłysz już w swojej kabinie rozwinął paczuszkę. Spod plastyku ukazał się portrecik kopciuszka w bogato rzeźbionej ramce z masy perłowej.